

Spokoju, pogody
i ciekawej lektury
życzy
zespół „Odgłosów”



Król Manhattanu

ANDRZEJ MAKOWIECKI

str. 10

Nr indeksu 36762 PL ISSN 0472-5042

Łódź Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 51 – 52 (1551 – 1552) ROK XXX 19 – 26 GRUDNIA 1987 ROKU CENA 40 ZŁ



Foto: Tomasz A. Włodkowski

Pisali lekko, jakby skacząc po ulicach Lwowa

TOMASZ A. WŁODKOWSKI

str. 9



Foto: Grzegorz Gałasiński

Na początku był gramofon z bajecznie kolorową tubą

WŁODZIMIERZ SKOCZYŁAS

str. 16

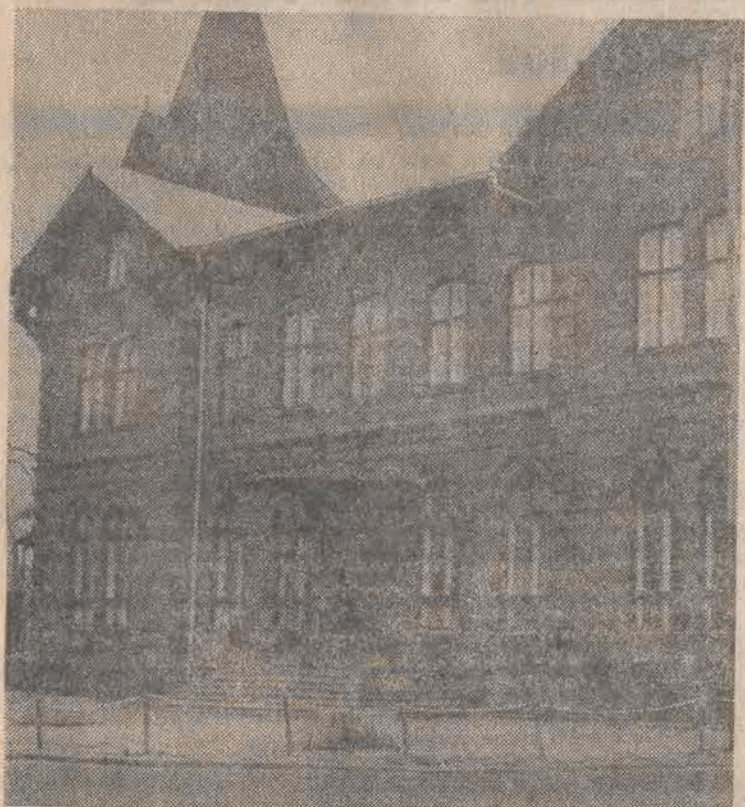


Foto: Grzegorz Gałasiński



Dagome iudex

ZBIGNIEW NIENACKI

str. 19

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Mówi: Hanka Bielicka

str. 7



Odgłosy

Adres redakcji:
90-113 Łódź ul. Henryka
Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny
36-52-44.

sekretarz redakcji,

fotoreporter: 36-80-99.

publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz
Włodkowski.

Zastępca redaktora
naczelnego: Edmund
Lewandowski.

Sekretarz redakcji:
Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu
literackiego: Henryk
Pustkowski

Redaktor techniczny:
Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski,
Dariusz Dorożyński,
Eugeniusz Iwanicki, Teresa
Jerzykowska, Andrzej
Karolczak, Roman Kubiak,
Jerzy Kwieciński, Bogda
Madej, Andrzej Makowiecki,
Paweł Tomaszewski,
Jolanta Wrońska,
Marian Zdrojewski.
Grafik: Janusz
Szymański-Glanc.
Fotoreporter: Grzegorz
Gałęsiński.

Korekta: Mariola Knaga,
Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują:
Tadeusz Błażejewski,
Bohdan Gadoski,
Grzegorz Gazda, Jacek
Głębski Witold
Kasperkiewicz, Andrzej
Kempa Wasyl
Kocznow (Iwanowo),
Marek Koprowski,
Włodzimierz Krzemiński,
Marek Mamos Zenon
J. Michalski, Ryszard
Nakonieczny, Adam
Ochocki, Jerzy
Panasewicz, Karol J.
Strwiński, Maciej Świerkocki,
Witold Werner.

Wydawca: Łódzkie Wydawnic-
two Prasowe RSW „Prasa-
Książka-Ruch” 91-103 Łódź,
ul. Sienkiewicza 3/5.

DRUK: Prasowe Zakłady Gra-
ficzne RSW „Prasa — Książka
— Ruch” Łódź, ul. Armii Czer-
wonej 28.

Redakcja nie zwraca nie za-
mówionych rekwizytów i zastrze-
ga sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. Dla
Instytucji i zakładów pracy —
zlokalizowane w miastach wojewód-
zkich i pozostałych miastach
w których znajdują się siedziby
Oddziałów RSW „Prasa —
Książka — Ruch” zamawiają
prenumeratę w tych oddziałach
— instytucji i zakłady pracy
zlokalizowane w miejscowościach
gdzie nie ma Oddziałów RSW
„Prasa — Książka — Ruch” o-
płacają prenumeratę w urzędach
pocztowych i u doręczycieli. 2.

Dla indywidualnych prenumera-
torów — osoby fizyczne zamiesz-
kałe na wsi i w miejscowościach
gdzie nie ma Oddziałów RSW
„Prasa — Książka — Ruch” o-
płacają prenumeratę w urzędach
pocztowych i u doręczycieli. 3.
Dla indywidualnych prenumera-
torów — osoby fizyczne zamiesz-
kałe w miastach — siedzibach
Oddziałów RSW „Prasa — Książ-
ka — Ruch” opłacają prenume-
ratę wyłącznie w urzędach pocztow-
nych nadawczo-oddawczych
właściwych dla miejsca zamiesz-
kania prenumeratora. Wpłaty do-
konuje się używając blankietu
„wpłaty” na rachunek bankowy
miejscowego Oddziału RSW
„Prasa — Książka — Ruch” 3.

Prenumeratę ze zleceniem wysył-
ki za granicę przyjmuje RSW
„Prasa — Książka — Ruch”,
Centrala Kolportażu Prasy i
Wydawnictw, ul. Towarowa 23,
00-958 Warszawa konto NBP XV
020145-139-11. Prenumerata ze
zleceniem wysyłki za granicę
— do dnia 10 listopada na I
kwartał i półrocze roku nastep-
nego oraz cały rok następny —
do dnia 1 każdego miesiąca —
poprzedzającego okres prenume-
raty roku bieżącego.

Zam. 4006 H-10.

Niewielki pletrowy
dom z białej cegły,
ozdobiony dwoma
szczytami i styliz-
owaną kątą w
metalowej latarni
narożniku, stoi przy wysypisku
szkła ulicy Cmentarnej. Z po-
łudniowych okien na przeciw-
wiedzie białe gołębie z pysznie
rozpostartymi ogonami. Pawiki
i inne ptaki ozdobne to je-
szcze młodzieńcza miłość gos-
podarza. Spomiedzy koron bez-
listnych drzew wylania się
wleża kościół, a pod nią roz-
legła dolina Neru, przecięta od
zachodu obwodnicą, po której
suną ciurkiem samochody, a od
północy szklarni, przedzierająca
się przez pola linia podmiej-
skiego tramwaju i cmentarz.

Ala wbrew lokalizacji i
smętnej nazwie ulicy dom z
białej cegły tętni życiem, mu-
zyką, śpiewem, emanując kul-
turą na okolicę. Przybywają tu-
taj strapieni niewolniczym mo-
toryzacji, by przywrócić do użyt-
ku swoje zniszczone ciała o-
pony i detki, oraz ci, co chcie-
liby się upiekuszyć i to nie tyl-
ko panie. Są młodzieńcy z tra-
dycją i panowie gotowi do
ślubu, nie ma bowiem nic przy-
jemniejszego jak poddać się

ma za sobą. No i są zapaleń-
cy wśród mieszkańców, mian-
owicie Derczyńska i Feliks
Bednarski.

Choreografia zajęła się Marian
Wojciechowski, od lat 25 tań-
czący w W. Górze, który przez
pół roku pracował gratis ze
rzgowskim zespołem, natomiast
pierwszym akompaniamentem był
G. Kubiś, grający ze słuchu na
harmonii. Dołączył G. Jędrzej-
czak i dobrał sobie sześciocoo-
sową kapelę: klarnet, kontra-
bas, skrzypce, bębnek, dwa a-
kordeony. Rola „instruktora”
spełniał podreżnik Grażyn
Dąbrowskiej „Folklor Mazo-
wski”.

Przez rok tułał się, ćwicząc
na korytarzu Urzędu Gminy, w
szkole i w zimnej starej re-
mizie, aż weszli do wyremon-
owanej sali GOK, przyjęli
przez takiego dyrektora, które-
go ze świecą szukać. Naczelnik
Zajda nie żałował pieniędzy na
stroje mazowieckie dla 12
par tanecznych ani na żupany,
serdaki i buty z cholewkami
dla kapeli i 30 kwietnia 1985 r.
w Rzgowie nastąpiło coś, co
niektórzy uznali za cud nad
Nerem. Bo też akademii i-ma-
jowej z taką oprawą jeszcze
tu nie oglądano. Rzgów tańczył

nika Dąbrowskiej, uszyto prze-
ciw w pracowni ŁDK. No i
aglomeracja łódzka nie ma tra-
dycyjnego folkloru wiejskiego,
najbliższe więc jest Mazowsze.

Stwierdzono, iż zespół prezen-
tuje mało ambitny program, a
piosenki nie są dostosowane do
wieku młodzieży. Gdyby w
zespole występował sepieniący
dziadkowie, to byłby folklor.
Nikt nie wziął pod uwagę te-
go, że „Rzgowanie” występują
po raz pierwszy przed komisją,
że powstał z niczego, w osa-
dzie bez tradycji, i że z „bra-
ku ambicji” jako jedyni w wo-
jewództwie wystawiają suitę
mazowiecką.

A wszystko pewnie dlatego,
że mają choreografa bez dy-
plomu i bez nazwiska. Teraz
wszędzie tak samo jak w spor-
cie, psikawo! O wartości zesp-
łu w amatorskim ruchu ar-
tystycznym decyduje dyplomo-
wani zawodowcy.

A potem nastąpił kolejny cud
nad Nerem. Ze Rzgowa odešli
naczelnik Ryszard Zajda, po-
nim zaś ustąpił ze stanowiska
przewodniczącego GRN drugi
ludowiec, Kazimierz Włodar-
czyk. Aby nie mieszać folkloru
z polityką, pozostawmy to bez
komentarza.

Byle tylko nie rzucono im kłód pod nogi.

Cud nad Nerem

RYSZARD BINKOWSKI

pięściom masażu w wyko-
naniu kosmetyczki z dyplomem.
Potem to już niegroźny ma-
saż twarzy za pomocą trze-
paczki lub walka do ciasta.

Ala zanim powstał ten dom,
w którym funkcjonuje gabinet
kosmetyczny i zakład wulkaniz-
acyjny, nim zrodziła się myśl
o „kapeli i układach” z suity
mazowieckiej, życie układało się
garbato, tulać, chociaż Woj-
ciech Kacperski, lat 47, oraz
małżonka Janina z domu Gu-
zenda nie mieli duszy cyganów.
Na tulaćce Wojciech był naj-
młodszym rzemieślnikiem w
Polsce, który zbudował w Ka-
mieńsku zakład wulkanizacyj-
ny, i przez 6 lat był jego kie-
rownikiem.

Dzisiaj oboje mają w Rzgowie
stałych klientów a Janinie po-
maga 21-letnia córka Liliana,
także kosmetyczka z dyplomem.
Aby wyjść na swoje, same pre-
parują najprzeróżniejsze ma-
saczki i kremy.

Sukces wynika i stąd, że
zmienili się ludzie, ich mental-
ność, podniósł się stopień kul-
tury. Rzgów nie jest już ani
głesia osada, ani siedliskiem
wózków kursujących do Sule-
jowa po wapno. Dzisiejszy
Rzgów to szczytowa spłania
dla pracujących w Łodzi i Pa-
bianicach, ale większość to
miejscowi ogrodnicy, rzemieś-
lnicy oraz inteligencja ze śred-
nim i wyższym wykształceniem.
Przesłanki tego stopnia
kultura miejska i szarpana mu-
zyka młodzieżowa, że tylko
starsi wspominali czas Janiny
Kalużyńskiej, nauczycielki je-
zyka polskiego i śpiewu, kiedy
to słyszało się jeszcze przy-
śpiewkę i widzieli taniec z
przypupem.

A tu co impreza okoliczno-
ściowa to występ zespołu piosen-
ki i tańca z Wiśniewa Góry. No
więc naczelnik gminy, Ryszard
Zajda, chłopaki syn, ludowiec,
pyta Kacperskiego, czy Rzgów
nie zdobyłby się na własny
zespół. Bo w Wiśniewie Górze
tańczyła córka Wojciecha, po-
dobna do ojca, tylko ładniejsza.
Ojciec dwa razy w tygodniu
woził Lilkę na próby i tyle się
napatrzył i nasłuchał, że od
biedy sam mógłby spróbować
z tym zespołem.

Czasu nielekkie, każdy dba
o swoje, kiedy więc zaczął czyn-
nić — przygotowania, patrzono
nań z politowaniem i pewnym
lekceważeniem. Nawet sekretarz
KG PZPR — Zofia Żytowski,
nie wierzyła w sukces, wyraża-
jąc swój sceptycyzm za pomocą
języka migowego. Bo nie
problem w pieniądzu, stro-
jach i instrumentach, tylko jak
zdobyć telewizyjną młodzież.

Lilka Kacperska pertraktowa-
ła z koleżankami, pokazywała,
co i jak, uczyła pierwszych
kroków i zyskała pewien auto-
rytet. Były spotkania przy
paczku, ostatki, święto plecho-
nego ziemniaka, dyskoteki i szale-
ństwa dyrektora Gminnego
Ośrodka Kultury, Grzegorza
Stępowskiego, prawnika z wy-
kształcenia, który zna się nie
tylko na paragrafach. Stępow-
ski do dziś dwoi się i troi, fi-
nansuje, wypożycza samochód
na gościnne występy, a jak po-
każe jogę, polkanie noży i
stanie na ogniu, to chłopcy

i śpiewał znakomicie opracowa-
ną i wykonaną suitę mazowiec-
ką.

A co najważniejsze, w tym
młodym zespole, któremu na-
dano imię „Rzgowanie”, czwo-
ro wykonawców z podstawowe-
ki, reszta zaś to uczniowie ze
szkół zawodowych i liceów.
Kaczmarek gra na bębnie,
Kauca na akordeonie, tańczący
Karol Derczyński i Marek Waj-
to przysili stolarze. Kinga Wic-
czorek będzie pieśniarką, Ma-
rzenna Jodłowska zaś — stu-
dentka.

Ludzie przecierali oczy ze
zdzumienia i pytali, skąd się
wzięła ta młodzież. Ano, jak
wszystko poprzedzające, roz-
tańczone i rozśpiewane, trud-
no rozpoznać swoich. Wpraw-
dzie jakiś przedstawiciel kul-
tury dopatrzył się, że koszu-
le to nawet mieli czyste, ale pal-
lich elegancja złościła, istot-
nie, że wkrótce nastąpił kolej-
ny cud nad Nerem: naczelnik
Ryszard Zajda wyzwał 600
tysięcy.

Wojciech Kacperski dostał
przydanie na paliwo, która sam
sobie kupił, pojechał z dyr.
Stępowskim własnym samocho-
dem do Krakowa i nabył w
„Cepeli” stroje krakowskie, po-
czym Wojciechowski wziął się
do opracowania suity krakow-
skiej. Łącznie z suitą mazo-
wiecką wyszedł z tego prawie
godzinny program.

A Janina Kacperska miała
w domu trzy światy. Takiego
samozaparcia jeszcze u niej
nie widziała. Nikt mu za to
nie płać, ale niech się wali i
pali, a on musi być z zesp-
łem. Wprawdzie detki nie
smazał się na piecu, trzeba
jednak zająć się dzieckiem, re-
peracją opoń i wulkanizacją, a
jeżeli zabieg kosmetyczny mniej
pięknocił niż masaż twarzy,
Szukasz dziury w deście, czy-
stysz otwór szlifierką, kładziesz
specjalny klej, potem surową
gumę i dajesz na piec parowy.
Dłonie czarne, skóra przegry-
zona smarami, trzeba to wy-
szorować, ubrać się jak na
szefa zespołu przystało i jechać
na występy lub zastąpić cho-
reografa na próbie. Kiedy jed-
nak F. Bednarski, którego
wnukowie tańca, rączy mło-
dzież iakociłami na próbach,
Kacperska także rusza za me-
tem. To ona uczyła dziewczę-
ta makijażu, ubierała je i cze-
sala, bo córka sama sobie ze
wszystkim nie poradzi.

Zespół „Rzgowanie” wystę-
pował już w Zamościu i na
Piotrkowskiej w dniu jej święta,
w Parzęczewie, na dożyn-
kach w Tuszyńcu, w Brójcach,
w Guzowie, pokazali się też
w noc świętojańska w Telewi-
zji, a być może wybiorą się i
za granicę. Ponadto zaliczyli
dwa zgrupowania, w Tleniu i
w Krutyni.

W czasie wojewódzkich elimin-
acji zespołów ludowych pod
patronatem Łódzkiego Domu
Kultury cudów nie było. Chy-
ba że za cud uznano fakt, że
oni mieli udany występ, a in-
ni popełniali błędy i zajmowa-
li punktowane miejsca. Zawód
i rozgoryczenie...

Pytano, skąd wzięli stroje i
czemu akurat mazowieckie. A
te stroje, wg. wzoru z podręcz-
nika

Nowym naczelnikiem został
K. Adamus, dotychczasowy sek-
retarz Urzędu Gminy. Krąży o
nim kontrowersyjne opinie,
lecz nie ulega wątpliwości, iż
jest doświadczonym pracow-
nikiem administracji. Według o-
pinii członków zespołu potrafi
śpiewać na ludowo przy stole
i lubi młodzież. Ponadto
nowy naczelnik jest zamężny
wedługem. Łowi namięt-
ne ryby, lecz sam ich nie ja-
da, toteż p. Derczyńska robi
smażonkę i po próbie jest ko-
lacja dla członków zespołu.

„Rzgowanie” mają nadzieję,
że naczelnik Adamus zdołacie-
je lokalnych sponsorów, jak
chciałoby GS i SKR, aby
wspomógł finansowo swój zesp-
ół. Stolarzy nie brakuje, mo-
że więc szef rzgowskich stra-
żaków, p. Łukas, zezwoli na
poszerzenie sceny w sali nowej
remizy, a wówczas Rzgów
mogłoby przyjmować zespoły z
Polski. No i być może znaj-
dzie się chętny do gry bez pie-
niędzy, bo Rzgów ma znakomi-
tą, dużą orkiestrę dętą, a w
zespole „Rzgowanie” na trę-
bacz wciąż czeka trąbka.

Niedawno wyszła za mąż Anna
Wojkiewicz. Towarzyszył jej
zespół w strojach krakowskich
wraz z kapelą. Ponieważ jedna
para z zespołu także nosiła
stroj ślubny, szef USC, p. Gra-
czyk, nie wiedział, kogo ma
związać na całe życie, ale do
pomocy nie doszło i szczęśliwi
nowożeńcy udali się w ry-
tmie poloneza do weselnego sto-
łu.

A pewnego razu dziewczęta
zrobiły Wojtkowi Kacperskiemu
na złość i sprawiły wszystkim
psikus. Zamiast dwóch, przy-
pięły sobie po jednym warko-
czu, wyszły na scenę i wystę-
pu nie można już było prze-
wać. Pewnie oszczędzały te
warkocz na wzbogacenie cni-
przyn kierownika.

Aby jednak Wojtek mógł to
łagodnie przetrwać, zaśpie-
wały mu z dziewczęcym wzdzie-
kiem prosto ze sceny:

Wojtek na górę,
Wojtek spać!
Wojtek z górą
kurów dać!
Wojtek na górę
nie poszedł,
bo mu to nogi
wziął oses!

Co tam oses, były tylko Woj-
kowi nie rzucono kłody pod
nogi. Kacperski nie pcha się
na górę. Zostaje z zespołem i
pragnie, aby po nim też coś
w Rzgowie zostało. Dla niego
cudownym zjawiskiem byłoby
zmniejszenie wystającej na rogu
młodzieży, popatrzącej tęsknie
na knajpę, i żeby czasem po-
śród ryku telewizorów i mag-
netofonów dało się słyszeć to-
ny muzyki, która łagodzi oby-
czaje i przypomina, skąd my
wszyscy wyszliśmy.

NA WŁASNY RACHUNEK

Nadzieje i trwogi

Jasność i ciemność, dobro i zło, pokój i wojna — obracają
się pomiędzy tymi przeciwieństwami wpływamy też mniej lub
bardziej aktywnie na bieg wiekłych wydarzeń. Są momenty, kie-
dy bierze górę konstruktywna strona owej antynomii, napawa-
jąca nadzieją, gdy zaś zdają się triumfować czynniki destruk-
tywne, ogarnia nas trwoga, że już nigdy nie powroci szansa na
trwały pokój i wiado zagłady stanęło tuż za progiem.

Wprawdzie i w średniowieczu, kiedy zresztą inne siły spo-
łeczno-polityczne decydowały o historii, działająca zbrojne usta-
wały nagle wśród najkrwawszych zmagani pod wpływem „po-
koju bożego” — Treuga Dei, nakazującego w okresionych ter-
minach okładać broną; wprawdzie też na frontach pierwszej
wojny światowej wymiana ognia ustawała zwyczajowo na czas
najważniejszych świąt, ale w obu tych okresach historycznych,
gdy czas wyznaczony miał, walki wybuchały ze wzmożoną za-
ciekłością i powracała wzajemna nienawiść, na tle tłumionych
chwilowo religijnych czy narodowych wrażeń. Również wśród lu-
dów, które my, ludzie tzw. cywilizowani, uważamy w swym
zarozumiałstwie za prymitywne, znana była do niedawna, uswie-
cona tradycja, fajka pokoju.

Jak gdyby reliktem tych dawnych praw i zwyczajów, które
przeżywały w stosunkach prywatnych jest, w naszym kręgu kul-
tury, napisany nakaz zgody i pojednania w czasie świąt
Bożego Narodzenia, wyrzekania się wzajemnej wrogości i nie-
przyjaznych kroków pomiędzy ludźmi dobrej woli, którzy w tej
intencji, bez względu na swój stosunek do religii, dzielą się
wzajemnie wigilijnymi opłatkiem.

Ten bowiem okres ma sprzątać nie tylko biśladnym ucie-
chom, ale przede wszystkim pobudzać refleksję nad swoim miej-
scem wśród najbliższych i nad swoimi wobec nich powinnościami,
obowiązuje też zarówno do odpuszczenia win bliźniemu, jak
i do naprawy wyrządzonych mu krzywd. I jak wspominają nie-
kiedy starsi ludzie (którzy zresztą niewątpliwie skłonność do upie-
kowania dawnych czasów i idealizowania dawnych ludzi) potra-
fiono niegdyś wybaczać z całego serca, dzięki czemu niejedna
wrogość przemieniała się w dożgonną przyjaźń.

Dzisiaj jednak, jak mi się wydaje, śniżej niż kiedyś podlegamy
świadomości, że to co jednostkowe i prywatne, co dotyczy po-
myślności ludzi z kręgu rodzinnego i przyjacielskiego, zależne
jest, jak nigdy dotąd, od polityki światowej. Ktoż daży u nas
dziś wiarę złudnemu przekonaniu: „Niech na całym świecie
wojna, byle polska wieś zacisza, byle polska wieś spokojna”.
Kolejne dziesięciolecie udzielało nie tylko polskim pokoleniom
dotkliwej lekcji historii, ukazując nierozdzielne związki między
spokojem w domu, a pokojem na świecie.

Przywykliśmy już do tego, niejako zaczęliśmy żywać się z
tym, że składając sobie o tej porze życzenia zdrowia i spokoju
wypowiadamy grzecznościową formułkę, czyniącą zadość tradycji
coraz bardziej też zdajemy sobie sprawę, że ten spokój wisi
na bardzo cienkiej nitce i że rozwój wydarzeń międzynarod-
owych kładzie się z roku na rok coraz głębszym cieniem na
nasze poczucie bezpieczeństwa i że mogą to być dla całej ludz-
kości w ogóle święta ostatnie.

Ala oto za sprawą spotkania przywódców obu supermocarstw,
którego rezultatem są pierwsze bezsporne, choć skromne jeszcze
posunięcia rozbrojeniowe, stworzona upragniona szansa ziszczenia
się nadziei i oczekiwań miliardów jednostek. I nie będzie chyba
cienia przesady w stwierdzeniu, że jest w tej odmianie sytuacji
wielka zasługa upartych, konsekwentnych negocjacji nowego kie-
rownictwa politycznego Związku Radzieckiego. Uznaje to rów-
nież znaczna część zachodniej opinii publicznej...

O tym, że społeczeństwa, niezależnie od światopoglądu, zdają
sobie sprawę z wagi i znaczenia tego spotkania świadczyć może
nie tylko nasilenie się różnorodnych demonstracji pokojowych i
apel, jak choćby symboliczne tańcuchoj pokoju, tworzone przez
obywateli amerykańskich i radzieckich w Waszyngtonie i Mos-
kwie, ale ponadto także modły duchowieństwa i wiernych róż-
nych religii i wyznań, czy to Jana Pawła II, czy najwyższych
przedstawicieli cerkwi prawosławnej ZSRR.

Wierzący i niewierzący, o różnych przy tym orientacjach poli-
tycznych, z wyjątkiem skrajnej prawicy i różnej maści stana-
tyzowanych „fundamentalistów”, ujawnili w tych dniach i tygod-
niach wyjątkową zbieżność stanowisk, co świadczy dowodnie o
żywołności i zarazem uniwersalności spraw wojny i pokoju,
zbrodni i rozbrojenia, zwłaszcza nuklearnego.

Oczywiście, nie należy ulegać łatwemu złudzeniu, nie brak
bowiem sił wrogich pokojowi i rozbrojeniu, m. in. wśród tych,
którzy zmierzają do rewizji granic między państwami, będą-
cych wynikiem ostatniej wojny, ponadto stanowisko wysokich
układających się stron mocno się różni w wielu istotnych kwe-
stjach, co obaj przywódcy silnie akcentowali w swoich wystą-
pieniach w czasie „szczytu”. Trafia mi jednak do przekonania
pogląd tych polityków, którzy uważają, że podpisane dotychczas
porozumienia są w sytuacji międzynarodowej symptomem zwrotu
nieodwracalnego, a tym samym zapowiedzią dalszych — nie-
łatwych, ale nieuniknionych kroków w tym samym kierunku.

Możemy więc, jak sadzę, w czasie obecnego Świąt Bożego Na-
rodzenia przeżywać zgodność i harmonię między oczekiwaniami
i nadziejami jednostek a rozwojem światowych wydarzeń, czego
historia nie ofiarowuje nam dość szczerze. A więc możemy też
i ufać, że już nigdy nie cofniemy się do tych sytuacji zagrożeń
pokoju, jakie uprzytomnił nam wyświetlany niedawno w te-
lewizji film dokumentalny „Rzyko”.

Zasłużył sobie, by żyć w pokoju ludzie dobrej woli.

JERZY KWIECIŃSKI

W numerze noworocznym „Odgłosów”

— Najpierw szukałam męża po całej Polsce i Czechosłowacji,
aby wziąć rozwód, a kiedy udało mi się go złapać, okazało się,
że oboje nie mamy czasu. Przekonałam się, że wziąć ślub to
takie proste, natomiast z rozwodem jest o wiele gorzej — mówi
znana aktorka MARIA PROBOSZ.

Poza tym w rozmowie z BOHDANEM GADOMSKIM zwierza-
ją się: STEFANIA TOCZYŃSKA, KATARZYNA SOBCZYK, RE-
NATA KRETOWNA oraz GAYGA.

— Prawdziwy, rozpasany handel uprawiają rodacy w przejściu
podziemnym krzyżującym Mickiewicza z Piotrkowską — repo-
rtaż ANDRZEJA MAKOWIECKIEGO.

— Anglicy to bardzo samotny naród i dlatego kochają tiok —
korespondencja MARKA BRZEZIŃSKIEGO z Londynu.

— W połowie naszej drogi biała wieś, Chcąc skrócić sobie
drogę, aby mieć równe szanse z naszymi prześladowcami, wes-
łaliśmy w wąską, tonącą w błocie ulicę. Broni nie chowaliśmy.
Mielśmy w rękach granaty i rewolwery — fragment głośnej
książki SERGIUSZA PIASECKIEGO pt. „Kochanek Wielkiej
Niedźwiedzi”.

— Machu Picchu nie zawodził nawet najbardziej wybujałych
oczekiwań — korespondencja RYSZARDA NAKONIECZNEGO
na temat potęgi i upadku imperium Inków.

— Minął po drodze kilka transporterów, niespiesznie toczących
się w przeciwną stronę. Za przyproszonym śniegiem sośnikami
zatrzynał po patrol — opowiadanie ANDRZEJA JACKA KRAS-
NIAKA a czasów stanu wojennego.

NUMER NOWOROCZNY UKAŻE SIĘ 29.XII.1987 R.

Im więcej żyję, im więcej wiem o świecie i człowieku, tym częściej zadaje sobie pytania fundamentalne. Kim jestem? Po co istnieję? Jakie jest moje powołanie? Co chcę osiągnąć? Jaki sens mają wysiłki moje i moich bliźnich, nasze cierpienia i radości? Czy jest jakaś logika w budowie i ewolucji wszechświata?

Odpowiedzi poszukuję w różnych filozofiach i religiach, a przede wszystkim — we własnym życiu wewnętrznym, w swoim sumieniu. Błaska jest mi w tych dociekaniach maksyma, którą jeden z naszych rodaków znalazł w menu małej knajpki w dalekim Karaczi. Głosi ona: „Zadana religia nie jest ważniejsza niż prawda”.

Na temat prawdy wiem, oczywiście, że są koncepcje klasyczna i nieklasyczna; że często jedno i to samo wydarzenie bywa źródłem wielu prawd; że ludzie zazwyczaj uważają za prawdziwe to, co im odpowiada, na co mają nadzieję i czego pragną. Znam przestroję starożytnego chasyda z Podkarpacia, że nosiciele całej prawdy, to paskudni gwałtownicy i najwięksi łajdacy. Czytałem też myśli Lao-tsego, że twierdzenia całkowicie prawdziwe wydają się paradoksem; i późniejsze słowa Karola Marksa, że prawda naukowa jest zawsze paradoksalna, jeśli oceniamy ją według potocznego doświadczenia, które ujmują tylko złudne pozory rzeczy.

To wszystko wiem. Lecz mam świadomość, że nie znam najważniejszego. Że pod pozorami świata zjawiskowego kryje się niezgrabiona istota rzeczy. Mam wrażenie, że żadna z dotychczasowych filozofii i religii nie przeniknęła na tyle zmysłowej zasłony, aby odkryć i wyrazić Prawdę zasadniczą. Przypomina się tu napis umieszczony w świątyni egipskiej bogini Neith w Saïs:

„Jestem tym, co jest, co było i będzie — nikt nie uchylił mojej zasłony”.

Czas od Wigilii Bożego Narodzenia do Nowego Roku i Trzech Króli, związany z zimowym przesileniem dnia z nocą, zwycięstwem światła nad ciemnością, sprzyja refleksji filozoficzno-moralnej. W pogańskich kulturze ludowej był to dwunastodniowy okres Świąt Godowych, w którym panował niesamowity nastrój radości i grozy. Każdy dzień Dwunastnicy zapowiadał odpowiedni miesiąc nadchodzącego roku, a zieleń drzewko w mieszkaniu symbolizowało kosmiczne drzewo życia.

W świadomości mitycznej różnych narodów drzewo kofarży się z wszechświatem i losem ludzkim. W kosmosie i historii, jak w życiu drzewa, wszystko się odnawia. Po starości (jesień) i śmierci (zima) przychodzi smutnych-wstanie (wiosna) i rozwój (lato). Cały ten cykl symbolicznie rozgrywa się w świątecznym okresie od Bożego Narodzenia do Epifanii.

Kiedy w zimowe, bożonarodzeniowe noce wpatrujemy się w sklepienie niebieskie, wywołuje to w nas przeżycia quasi-religijne. Tym bardziej gdy zdajemy sobie sprawę z gigantycznych wymiarów przestrzenno-czasowych wszechświata. Na podstawie dzisiejszej wiedzy możemy powiedzieć, że wszechświat rozpoczął swój byt Wielkim Wybuchem około 17 miliardów lat temu. Wiek naszej Galaktyki wynosi 13 miliardów lat, Słońca — 5 miliardów, Ziemi — od 4,6 do 5,1 miliardów, życia ziemskiego — około 3,5 miliarda lat. Człowiek prymitywny pojawił się około 3,5 miliona lat temu, Homo sapiens — 40 tysięcy lat temu. Pierwsze cywilizacje powstały dopiero w IV tysiącleciu przed naszą erą.

Przy zawrotnej prędkości 300 tys. km na sekundę światło biegnie do nas ze Słońca 8 minut i 20 sekund, z ostatniej planety Układu Słonecznego (Pluton) — 5,5 godziny, z najbliższej nam gwiazdy (Proxima Centauri) — 4 lata i 3 miesiące, z jednego krańca Drogi Mlecznej na drugi — 100 tysięcy lat, z najbliższej sąsiedniej galaktyki — 4 miliardy lat, z najdalszej odkrytej galaktyki — 14,5 miliarda lat. A jeden rok świetlny ma 9 bilionów 46 miliardów kilometrów!

Podane wyżej odległości przekraczają granice naszej wyobraźni. Patrząc w gwiazdziste niebo, uświadamiamy sobie fenomen własnego życia na „krawędzi i mieliznie czasu” (W. Szekspir). Przypomina się mądry i dowcipny wierszyk Leopolda Staffa:

„Noc czarna, srebrna noc.
Świat nieskończony
W czasie i przestrzeni,
Pośrodku Drogi Mlecznej.
Któż po niej przechodzi?
To przechodzi ludzkie pojęcie”.

Oprócz niewyobrażalnej wielkości wszechświata, uderza nas też ogromna różnorodność form. Na przykład w świecie żywych jest obecnie 5-10 milionów gatunków zwierząt i roślin. Nie stanowi to nawet jednego procenta wszystkich organizmów, które kiedykolwiek istniały w historii Ziemi.

Nasuwa się w związku z tym trzy ważne pytania o charakterze filozoficzno-swiatopoglądowym. Czy tak bogata różnorodność wszechświata można sprowadzić do jakiegoś jednego wspólnego mianownika? Czy świat jest sensownie zbudowany? Czy ewolucja ma jakiś logiczny kierunek?

Na pierwsze pytanie, moniści odpowiadają twierdząco. Lecz idealisci sprowadzają wszystko do ducha, a materialisci do materii. Oba przeciwnie stanowiska próbował pogodzić Pierre Teilhard de Chardin. Jego zdaniem, prątworczy wszechświat nie jest ani duchem, ani materią, lecz „duchomateria”. W świecie jest tyle materii, ile ducha. Pierwotne tworzywo posiada bowiem dwie strony: zewnętrzną (materia) i wewnętrzną (duch). Być może jest to prawdziwe rozwiązanie starego dylematu?

W drugiej kwestii trzeba stwierdzić, że wszechświat jest wyraźnie uporządkowany. Najprawdopodobniej jest systemem, w którym wszystkie przedmioty i procesy są wzajemnie powiązane. Jacob Bronowski utrzymuje nawet, że każde zdarzenie ma związek z wszystkimi innymi zdarzeniami. W każdym razie budowa wszechświata ma charakter systemowy i hierarchiczny. François Jacob pisze:

„Materia w naszym Wszechświecie rozłożona jest według hierarchii struktur powstałych w kolejnych procesach integracji. Bez względu na to, czy materia ta jest nieożywiona czy żywa, wszystko, co znajduje się na Ziemi, ciągle organizuje się i tworzy systemy”.

Począwszy od galaktyk, a skończywszy na komórkach, mamy do czynienia nie z przypadkowymi skupiskami elementów składowych, lecz dobrze wyodrębnionymi tworami, których zachowaniem rządzi logiczne prawa. Świat ma niewątpliwie sensowną strukturę.



„Ludzi można podzielić na dwa rodzaje: tych, którzy są wytworem świata, w którym żyją, i tych, którzy są tworem samych siebie, którzy, choć światu nie zmienili, nie dali się zmienić światu. Oni chodzą po świecie, a nie świat po nich”.

(Edward Stachura)

Zobaczyć całą jaskrawość

EDMUND LEWANDOWSKI

Sensowność dostrzegamy również w całym procesie ewolucji. Na każdym poziomie strukturalnym materii — nieożywionym, biologicznym społecznym — świat był najpierw prosty, a potem stopniowo różnicował się i komplikował. Ewolucja wiedzie od prostoty do złożoności, od chaosu do ładu. Rozwój przebiega według zasady hierarchicznej.

„Organizacja przyrody — pisze Erwin Laszlo — przypomina złożoną, wielostopniową piramidę, gdzie u spodu znajduje się wiele systemów względnie prostych, u wierzchołka zaś nieliczne systemy złożone (lub jeden system najwyższy). Pomiędzy nimi wszystkie pozostałe systemy zajmują pozycje pośrednie; łączą szczeble wyższe z niższymi. W stosunku do własnych części stanowią całości, są zaś częściami wobec całości wyższego szczebla”.

Przez cztery piąte historii życia panowały na Ziemi prymitywne Prokaryoty — organizmy bez wyróżnionego jądra (bakterie, wirusy, śluzki). Dopiero 700 mln lat temu pojawiły się wyższe rośliny i zwierzęta (Eukaryoty). Stopniowo wyodrębniły się coraz bardziej złożone ogniwia ewolucji: robaki i pierścienice, stawonogi i szkarłupnie, strunowce i kregowce, ryby, płazy, gady, ptaki i ssaki. Najdziwniejsze jest to, że tempo tworzenia kolejnych form biologicznych ulega akceleracji. Ewolucja wyraźnie przyspiesza — tym lepiej sobie radzi i szybciej się wspina, im wyższy poziom komplikacji struktury. Można powiedzieć, że Bóg bądź Przyroda doskonalił swe umiętności.

Wraz ze wzrostem złożoności wzrasta stopień „suprobny życia” (Claude Bernard) organizmów. Formy wyższe są coraz mniej zależne od swego programu genetycznego i lepiej dostosowane do zmienności środowiska. Rozwiązanie się gorsetu genetycznego zwiększa możliwość wyboru. Rozwój zmierza w kierunku wolności i podmiotowości.

Wspomniany już wyżej jezuita francuski, Pierre Teilhard de Chardin, sformułował ciekawe prawo wzrastającej złożoności świadomości. Głosi ono, że przystość świadomości odbywa się w miarę komplikowania się struktur materialnych. Innymi słowy: im większa złożoność organizmu, tym wyższy psychizm, tym więcej świadomości.

Najbardziej złożonym tworem ewolucyjnym jest mózg ludzki. Składa się z około dziesięciu miliardów komórek nerwowych, z których każda ma od dziesięciu do stu tysięcy połączeń z innymi komórkami. Powstanie tego niezwykłego instrumentu poprzedziło jednak nieskończone wiele prób i błędów. Najpierw musiały powstać formy prostsze. Cała historia życia przedludzkiego liczy ponad 3 miliardy lat. Biologiczną istotę człowieczeństwa pięknie wyraziła Wisława Szymborska.

„Ten dorosły mężczyzna. Ten człowiek na ziemi.

Dziesięć miliardów komórek nerwowych.
Pięć litrów krwi na tony gramów serca.
Taki przedmiot powstał z trzynaście miliardów lat”.

W biblijnej Księdze Rodzaju znajdują się dwa różne opisy stworzenia człowieka. Według pierwszego (pochodzącego z VI wieku p.n.e.) Bóg stworzył równocześnie mężczyznę i kobietę. Natomiast według drugiego — starszego o czterysta lat — Bóg najpierw ulepił z gliny ziemskiego Adama, a później z jego ko-

bra ukształtował kobietę, Ewę. Imię Adam dosłownie znaczy człowiek. Ma ono związek z hebrajskim „adama” — ziemia i być może z sumeryjskim „ada-ma” — mój ojciec. Z kolei Ewa, a właściwie Chawa, pochodzi od hebrajskiego „chaj” (żyjący) i w przybliżeniu znaczy „żyjąca” lub „dająca życie”.

Z drugiej relacji biblijnej, czyli tej najstarszej, dowiadujemy się, że Bóg zdecydował się stworzyć kobietę dopiero wówczas, kiedy przekonał się, że wśród wszystkich zwierząt „nie znalazła się pomoc odpowiednia dla mężczyzny” (Rdz 2,20). Z tego literalnie wynika, że prawdziwym człowiekiem jest tylko mężczyzna, a kobieta winna mu służyć — tym bardziej, iż została utworzona z żebra Adama. Ma zatem swoje „święte” uzasadnienie wyjątkowo złośliwy dowcip, że kobieta jest przyjacielem człowieka...

W przypisie do Biblii Tysiąclecia tłumaczy się, że niewiasta, ponieważ powstała z żebra mężczyzny, jest „niejako jego córką”. Wyjaśnienie to jest przypadkiem zgodnym z pewną hipotezą naukową. Otóż najprawdopodobniej człowiek — mężczyzna — rzeczywiście pojawił się przed pierwszą kobietą, która była — tak, tak! — jego córką.

Prymitywni ludzie wyodrębnił się już około 3,5 mln lat temu z primatek zwanych „driopitakami”, od których pochodzą też antropoloidy, czyli małpy czelkowskie (szympanse, goryle, orangutany). W rezultacie mutacji chromosomalnej wśród zwierzęcego stada driopitaków wyrosł człowiek pici męskiej. Następnie mutant ten krzyżował się z pokrewnymi zwierzętami, aż kiedyś natrafił na jedną z własnych córek. I dopiero potomstwo owego „Adama” i jego córki półmałpy dało początek ludzkości, gdyż odtąd nastąpiła izolacja płciowa nowego gatunku od primatek czelkowskich.

Teoretycznie jest możliwe, że w sprzyjających warunkach niezależnie pojawiło się wielu Adamów, lecz fakt istnienia tzw. powszechników językowych dowodzi, że wszyscy mamy jednego praojca. Podobnie zresztą życie rozprzestrzeniło się z jednego źródła, na co wskazuje identyczny kod genetyczny wszystkich organizmów i lewoskrętność cząsteczek. Albo też Bóg jest manknetem? Uczony radziecki Nikołaj Dubinin twierdzi, że życie powstało pod wpływem jakiegoś „zapłonu”, który zadziałał — przy uprzednio nagromadzonej budule — jeden jedyny raz...

Czytając to wszystko, co dotąd napisałem, głęboko myślący Czytelnik dojdzie do wniosku, że świat jest dziełem lub manifestacją jakiegoś Rozumu. Na tej podstawie zresztą wielu ludzi wierzy w Boga. Ale czy Bóg naprawdę istnieje? Zgadzałem się z Immanueliem Kantem, że Bóg jest możliwy i potrzebny ze względów moralnych, że można w niego wierzyć, lecz nie sposób naukowo udowodnić jego istnienia. Teilhard i ateizm, wiara i niewiara są w jednakowym stopniu uprawnione i nieuprawnione.

Na temat wiary i niewiary w Boga interesujące stanowisko zajmował popularny poeta Edward Stachura. Pisał on:

„Ci co mówią, że wierzą w Boga i co mówią, że nie wierzą — mówią to samo. Dla jednych, jak i drugich — ten sam problem: wiara. Jedni wierzą w swoją wiara, drudzy wierzą w swoją niewiarę. Jedni i drudzy wierzą. I wierzą w istocie w to samo, w to, co sami wymyślili. Ale nie widzą tego. Nie widzą tego, bo nie widzą jasno, są zaślepiani. (...) Historia ludzkiej wiary suchnie od milionów trupów pomordowanych w imię wiary, takiej, innej, nie ma znaczenia jakiej, bo wszystkie jednakże. Każda wiara po się krwawi, oślepia krwią, opływa krwią, ale niestety nie tonie w tej krwi, lecz rozkoszuje się nią, bo krew jest jej krwawym żywiołem”.

Stachura twierdził, że pytanie o istnienie Boga nie ma sensu. Nie rozumiał też wiary w życie pozagrobowe. Jego zdaniem, życie po śmierci jest dla tych, którzy umierają za życia. W rzeczywistości zaś prawie wszystko wskazuje na to, że życie jest tylko doczesne.

Poeta należał do tych ludzi, którzy „chodzą po świecie”. Miał na myśli jednak nie deptanie, lecz lekkie powłóczyście chodzenie w butach o „zdartych cienutkich zółwówkach”. Stachura miał swój własny światopogląd, jak Lao-tsy, Budda, Jezus. W pięknym wierszu pt „List do Pozostałych” pisał, że umiera m.in. za „możliwość zjednoczenia z Bezimiennym, z Pozostawionym, z Nieznanym”. Na ostatniej stronie tego rękopisu z trudem można odczytać następujący fragment:

„bo kto śpi nikomu krzywdy nie czyni
bo rozumiem nie-bycie i nie-czynienie
bo kocham braci moich: Lao-tse, Buddę
i Jezusa: kocham wszystkich ludzi i nie
potępiam za...” (dalej tekst jest nieczytelny).

Światopogląd Edwarda Stachury był zbliżony do religii wschodnich. Są to religie kosmo-centryczne, które nie zawierają idei Boga osobowego. Budda np. uważał, że świat nie może mieć żadnej przyczyny prócz siebie. Gdyby został stworzony przez doskonałego Boga, to nie powinno być zmian i zniszczenia, smutku i cierpienia, słusności i niesłusności. Budda nie uznawał nawet bezosobowego Absolutu. Lecz w innych religiach Wschodu (hinduizm, taoizm) zakłada się istnienie jakiejś rozumnej, odwiecznej Zasady (Brahman, Tao).

W ludzkim doświadczeniu wewnętrznym i przeżyciu osobistym można podobno dotrzeć do ostatecznej Prawdy. W systemie jogi umożliwia to ostatni z ośmiu stopni. Stan „samadhi” (skupienie, zatopienie, scalenie), to bezpośrednie widzenie Prawdy, dogłębne poznanie istoty siebie i świata. W tym dziwnym stanie nadświadczeń czy nieświadomości znikają wszelkie przeciwieństwa: tak — nie, dobro — zło, duch — materia, życie — śmierć, podmiot — przedmiot.

Być może czegoś podobnego doświadczył Edward Stachura? Zobaczyć bowiem „całą jaskrawość”. W takim widzeniu było „coś boskiego”. W powieści „Siekiera albo zima leśnych ludzi” Edmund Szerucki mówi:

„Tu nie chodzi ni o życie, ni o śmierć, ni o sens i bezsens, istotę i istnienie, przyczynę i skutek, materię i ducha, serce i rozum, dobro i zło, światłość i ciemność, i tak dalej, i tak dalej, ale o coś zupełnie innego. Chodzi o to wszystko razem wzięte i podane na tacy... I kiedy zobaczylem tę całą jaskrawość, to nie czułem nic: ani smutku, ani bezudziel, ani strachu, ani przerażenia, ani radości, ani nadziei, ani spokoju, ani zachwytu, ani uniesienia, ani nawet zwyczajnej obojętności. Nic. Żadnego uczucia”.

Całą jaskrawość ujrzał bohater jakby z zewnątrz — to znaczy „spozza elipsy naszej galaktyki”. Mogło to zresztą być jakoś „dolu, z góry, czy z boku. Nieważne. W każdym razie było w tym doznaniu coś niezwykłego, strasznego i nieludzkiego.

Narrator powieści „Cała jaskrawość” zobaczył nagle Prawdę bytu, kiedy z wysokiej skarpy spojrzął na pradolinę rzeki. Odtąd mógł dalej śmiało żyć, aby zbliżyć się do pełni życia i śmierci.

Boską całą jaskrawość widział chyba wielu ludzi wrażliwych i myślących: Amenhotep IV Echnaton, Zaratusztra, Budda, Lao-tsy, Patańdzali, Jezus z Nazaretu, św. Paweł, Muhammad (Mahomet), Siankara, Eckhart, Fiodor Dostojewski, Edward Stachura... Ale każdy z nich wyciągał inne wnioski i miał odmienne poglądy.

Wysuwam tu hipotezę (może ktoś już to zrobił?), że ujrzenie „całej jaskrawości” jest oświeceniem podobnym do samadhi, satori, nirwany (zob. E.L. — „Religia Dalekiego i Środkowego Wschodu”, Łódź 1986). Jeśli ktoś tego dozna — tak myślę — nie może już być człowiekiem z tym. Ci, co zobaczyli całą jaskrawość, nie przywiązują zwykłe wagi do gromadzenia i posiadania dóbr materialnych. Edward Stachura pisał:

„Posiadając nakładasz sobie pięta, zakutujesz się w dyby, niewoliszt się, stajesz się niewolnikiem tego, co posiadasz. Z posiadania nieuchronnie wynika lek przed utratą tego, co posiadasz. Wynika z tego, że to co posiadasz, to przede wszystkim lek. Lek to chaos, to ślepotę, to ból, to nieszczęście. Chcieć zatem, znaczyć zawsze w efekcie chcieć nieszczęścia”.

Ludzie oświeceni całą jaskrawością są religijni, nawet bardzo religijni, ale nie w sposób kościelny. Religijność ich wyraża się w moralnym życiu.

„Czy wiesz, co znaczy religia? — pyta E. Stachura i odpowiada. — Religia znaczy życie do skonała, a więc życie doskonałe codzienne, o przeciętne życie poza codziennym nie ma”.

Ale dlaczego Prawda bytu jest całą jaskrawa? Skąd to rażące, oślepiające światło? Może jest tak dlatego, że na początku świata było światło. W stanie osobliwym — 17 mld lat temu — świat był niezwykle małym, gęstym i gorącym obłokiem fotonów i krótko żyjących cząstek elementarnych. Po jednej setnej sekundy od Wielkiego Wybuchu temperatura wszechświata wynosiła 100 miliardów stopni, a po 3 minutach spadała do 1 miliarda stopni.

Jeśli na samym początku było światło, skoro ono jest takie ważne, najważniejsze — to warto dążyć do światła, odkrywając świetlistą naturę świata i życia ludzkiego. Trzeba starać się zobaczyć całą jaskrawość i zawsze świecić dobrym przykładem.

Niebo gwiazdziste nad nami, prawo moralne w nas...

Co można bez wielkich inwestycji zmienić i ulepszyć w ochronie zdrowia?

1

W 1985 roku opublikowaliśmy w „Odgłosach” dyskusję o stanie ochrony zdrowia w Polsce i potrzebie jej zreformowania. Chcieliśmy tę dyskusję zakończyć rozmową z ówczesnym ministrem zdrowia i opiekunem społecznym — Tadeuszem Szelachowskim. Zwróciliśmy się do ministra z taką propozycją i otrzymaliśmy odpowiedź, że możliwość rozmowy widzi w czwartym kwartale 1985 roku. Tyle że przedtem odbyły się wybory do Sejmu PRL i po wyborach ministrem zdrowia i opieki społecznej był już ktoś inny. Dziś znów mamy nowego ministra, ale problemy z 1985 roku pozostały i jeszcze bardziej się skomplikowały, a stan ochrony zdrowia znacznie się pogorszył.

Postanowiliśmy więc powrócić do tych spraw. Są one ważne dla nas wszystkich: tak młodych, jak i starych. Przecież od tego, jak działa ochrona zdrowia zależy przyszłość naszego narodu. Chcieliśmy więc zadać lekarzom pytanie: co można zmienić, poprawić, ulepszyć w ochronie zdrowia bez wielkich inwestycji?

W dyskusji biorą udział:

— **ANNA KWIETNIEWSKA** — przewodnicząca Rady Wojewódzkiej Federacji Związków Zawodowych Pracowników Ochrony Zdrowia.

— **TADEUSZ LEWY** — ordynator oddziału chorób wewnętrznych Wojewódzkiego Szpitala Zespolonego im. Mikołaja Kopernika.

— **RYSZARD MACHNIKOWSKI** — lekarz wojewódzki, dyrektor Wydziału Zdrowia i Opieki Społecznej UML.

— **ZBIGNIEW WĘGRZYN** — ordynator oddziału neurochirurgii Wojewódzkiego Szpitala Zespolonego im. Mikołaja Kopernika.

W poprzedniej dyskusji — tej sprzed 2 lat — udział wzięli Tadeusz Lewy i Ryszard Machnikowski.

Dyskusję przygotowała i prowadziła **BOGDA MADEJ**.

Różnie się mówi o tym, co zwykliśmy teraz nazywać 1 etapem reformy. Co to dało ochronie zdrowia? Co się zmieniło?

T. LEWY: — Nie. Powiedziałbym, że teraz jest gorzej niż było przed reformą. Odnoszę takie wrażenie, że przeprowadzenie zmian w ochronie zdrowia odłożyliśmy do czasu, aż wyjdzie z kryzysu.

A. KWIETNIEWSKA: — Reforma — na przykład w przemyśle farmaceutycznym — przyniosła tylko ucieczkę od produkcji tanich leków.

R. MACHNIKOWSKI: — Sądzę, że można powiedzieć więcej, że gdyby w „Polfie” nie wprowadzono reformy, to nie byłoby kryzysu z lekami.

— **Czyżby państwo byli przeciwnikami reformy gospodarczej w ogóle?**

Z. WĘGRZYN: — To nie o to chodzi. Gdyby w „Polfie” złotówka miała taką samą wartość, jaką mają waluty wymienialne, to producentom opłacałoby się sprzedawać leki w kraju, a nie wywozić je za granicę.

R. MACHNIKOWSKI: — Powiedzmy sobie od razu, że sfera usług społecznych zawsze narazona jest na cięcia i ograniczenia. I nie tylko u nas. Byłem niedawno w Anglii, gdzie w lecznictwie — nazwijmy to umownie — państwowym też skarżono się na takie zbagli, Angielscy medycy dysponują bogatym zasobem leków i metod diagnostycznych, ale nie mają pieniędzy na ich używanie. Tyle że tam dąży się do stworzenia takiego systemu zarobków, aby chore mógł pozwolić sobie na kupno drogich leków.

U nas natomiast służba zdrowia z zasady powinna być bezpłatna i tu jest różnica.

T. LEWY: — W końcu każdy z nas daje 43 procent na ZUS, czyli na opiekę społeczną. Ma więc jeszcze płacić za leczenie? Proszę przyjąć do mnie na oddział i zobaczyć, jacy to bogacze u mnie leżą.

— **Alto leczenie staje się coraz droższe, na całym świecie.**

T. LEWY: — Wiem o tym. Mogę podać przykład Szwajcarii, która ma społeczną służbę zdrowia, ma wysoki budżet dla tej służby zdrowia i też zastanawia się nad tym, czy państwo podola finansom kosztom leczenia. Drożej coraz nowoczesniejsza aparatura medyczna, coraz droższe stają się leki. Potrzeba zatem na społeczną służbę zdrowia coraz więcej pieniędzy. Ale tam jest inna struktura zarobków i wydatków. A my od kogo mamy brać pieniądze? Od rzemieślników, właścicieli firm prywatnych, różnych cwaniaków, którzy dorobili się w nieuczciwie legalny sposób? Ich nie jest tak wielu. Ja tych bogatych pacjentów w szpitalu nie widzę.

Co natomiast widzę? Widzę, że nie mam czym leczyć. U mnie na internie jest wręcz tragicznie. Widzę, że nie doleczony pacjent coraz częściej wraca do szpitala. Proszę zresztą patrzeć na wskaźniki ilustrujące stan zdrowia Polaków. Mamy najwyższą nadumieralność mężczyzn w wieku produkcyjnym — tak to się fachowo określa — mamy wysokie wskaźniki zachorowań na gruźlicę...

— **A już się wydawało, że gruźlica to żaden problem.**

T. LEWY: — Teraz za nami w Europie jest chyba tylko Albania. Mamy wysoką umieralność niemowląt. Gnębą nas udary, zawały serca, nowotwory. Nie mamy się czym chwalić. Nie ma w służbie zdrowia sukcesów.

— **Dlaczego?**

A. KWIETNIEWSKA: — Dużo trzeba byłoby na ten temat mówić. Przyczyn jest sporo. Winę za ten stan ponosi niewątpliwie organizacja służby zdrowia, uposażenia lekarzy, system rekrutacji na studia wyższe, poziom farmakologii, ale — w moim przekonaniu — najistotniejszą przyczyną jest system finansowania służby zdrowia.

Z. WĘGRZYN: — Może ja to wyjaśnię na swoim przykładzie. W Szpitalu im. M. Kopernika pracuję od 1973 roku i od tego czasu nikogo nie obchodzi, ile zrobiłem operacji. A dla chirurgii to jest najważniejsze. Co się jednak dzieje przy takim finansowaniu? Robimy na przykład 400 operacji w roku i z tego powodu mój zespół lekarzy i pielęgniarek nie ma. Gdybyśmy zrobili tylko 200 operacji, mieliśmyby te same pieniądze i więcej czasu — na przykład — na napięcie się kawy.

T. LEWY: — Nie wiem, czemu my się dziwimy? Jak się uważnie przyjrzyć, to łatwo można dostrzec, że system finansowania szpitali tak został skonstruowany, aby nie preferować tych ordynatorów, którzy dużo pracują, mają różne wymagania, a więc sprawiają administratorem ochrony zdrowia dodatkowe kłopoty.

R. MACHNIKOWSKI: — Jedną z przyczyn tego stanu rzeczy widziałbym w naszej dążności do nazbyt dokładnego definiowania i przewidywania wszystkiego w ustawach. Na przykład, co to jest przychodnia, co to jest szpital i tak dalej. Dyskutowaliśmy niedawno, któryś raz z rzędu, projekt ustawy o izbach lekarskich. Ale to wcale nie jest ustawa. To już statut izby lekarskiej. Powstała dzięki temu gruba książka,

porządkowany dokładnie wszystkim. Jest hetka petelka. To pociąga za sobą, że również ordynator jest taką hetką petelką.

Powstała taka sytuacja, że ordynator, który — przecież tylko ze względów zawodowo-ambicjonalnych — stara się szerzej rozbudować działalność swego oddziału jest złym ordynatorem, bo sprawia masę kłopotów całej biurowo-organizacyjnej nadbudowie, która powinna mu właściwie służyć, a która tę służbę traktuje jako niepotrzebny balast.

R. MACHNIKOWSKI: — Cała tragedia — jeśli to tak można z pewną przesadą określić — służby zdrowia zaczęła się od momentu, w którym lekarz fachowiec zaczął coraz mniej znać, a jego glos przestał być brany pod uwagę przez „fachowców” od administrowania. Doszliśmy już nawet do tego, że w niektórych kręgach służby zdrowia kwestionuje się zasadę, według której lekarz musi być ordynatorem.

— **Nie rozumiem!**

R. MACHNIKOWSKI: — Wielu ludzi nie rozumie. Według owych „reformatorów”, lekarz ma się zajmować leczeniem, a resztą — administracją. Według tej koncepcji doktor Węgrzyn będzie otwierał czaszki, wyjmował, co

Szpital to nie fabryka gwoździ

w której chce się z góry wszystko przewidzieć i ustalić.

— **Bierze się to chyba z braku zaufania do lekarzy?**

R. MACHNIKOWSKI: — Owszem. Wiele zresztą złych rzeczy w służbie zdrowia bierze się z braku zaufania do lekarzy.

— **A jak, zdaniem pana, powinna wyglądać taka ustawa?**

R. MACHNIKOWSKI: — Powinna stawiać zasadnicze pytania w danej dziedzinie i udzielać na nie zasadniczych odpowiedzi. W żadnym wypadku nie powinna wchodzić w szczegółowe rozwiązania, a jedynie zakreślać ich ramy.

— **Jakie byłyby zasadnicze pytania dotyczące służby zdrowia?**

R. MACHNIKOWSKI: — Kto zarządza, jakie narzuca struktury, kto i jak finansuje, i kto i za co jest odpowiedzialny?

Skoro w naszej dyskusji zaczęliśmy mówić o sposobie finansowania, to nie my powinniśmy liczyć, jaki jest koszt leczenia jednego pacjenta. My powinniśmy wchodzić w ostateczną fazę tego rachunku, aby ekonomistom liczyć nie przysyłano pacjenta. Bo to przecież lekarz musi zdecydować, jak leczyć pacjenta i jakie dać mu leki, aby uratować jego zdrowie i życie. Ale jest niedobrze, gdy ekonomistów muszą zastępować lekarze.

Z. WĘGRZYN: — Podejrzewam, że nawet tak często zmieniający się ministrowie zdrowia i opieki społecznej dobrze nie wiedzą, ile kosztuje leczenie jednego pacjenta. Na przykład w leczeniu tętniaka mózgu jedna ampułka niezbędnego specyfiku kosztuje 9000 złotych, jeśli ten specyfik trzeba podać 3 razy na dobę, to koszt jednego dnia wynosi już 27000 złotych, nie licząc innych niezbędnych wydatków. Ale czy tego wszystkiego nie można obliczyć? Nie wierzę w to. Byłem w Bangladeszu i wiem, że oni tam potrafili dokładnie wszystko wyliczyć, od igły do zastrzyków po zdjęcia rentgenowskie. A u nas?

A. KWIETNIEWSKA: — To rzeczywiście trudno wyliczyć, biorąc pod uwagę zalegające i zmieniające się nieustannie ceny. Dziś można coś obliczyć na milion złotych, a za pół roku będzie to już 1 200 000, albo półtora miliona.

Z. WĘGRZYN: — Można to przecież stale korygować z uwzględnieniem rosnącej inflacji.

T. LEWY: — Mógłbyś mówić o systemie ochrony zdrowia trzeba krytycznie spojrzeć na ideę Zespołu Opieki Zdrowotnej. Mam w tym zresztą i swój udział. Dziś mówi się — i słusznie — że ZOZ niczemu nie służy. Dlaczego tak się stało? Ano dlatego, że nie chcieli, aby czemuś służył. Zatrzymano się w pół drogi. Miały być również powołane regionalne ZOZ, do których mieli wchodzić dyrektorzy wydziałów zdrowia i opieki społecznej UW danego regionu oraz rektorzy do spraw kliniczno-dydaktycznych pobliskiej akademii medycznej. Ale to pozostało w sferze projektów.

Następnie, stworzono ZOZ terenowy, któremu podporządkowano wieś, nie dając mu środków na inwestycje. Zlikwidowano powiaty, potem zreformowano podział administracyjny kraju, ale nie zrobiono tego, co było niezbędne — nie powołano regionalnych ZOZ.

R. MACHNIKOWSKI: — A po 1975 roku było to konieczne. Gdyby wówczas powstały regionalne ZOZ, inna byłaby dziś sytuacja służby zdrowia.

T. LEWY: — ZOZ uratowały jednak służby zdrowia. Dlatego dziś nie musimy poszukiwać nowej struktury organizacyjnej dla ochrony zdrowia. Musimy natomiast doskonalić i ulepszać to, co już mamy. To znaczy, że musimy dostrzegać braki, jakie występują w strukturze ZOZ. Jednym z takich braków jest fakt, że dyrektor szpitala jest w strukturze ZOZ pod-

tam narosło, zamykał i niczym się więcej nie zajmował.

T. LEWY: — Taki pomysł zrodził się zapewne w ramach walki z... biurokracją.

R. MACHNIKOWSKI: — Proponowano mi nawet przejście 2 oddziałów w drodze eksperymentu.

— **I co?**

R. MACHNIKOWSKI: — Przerwałem rozmowę, gdyż i moja cierpliwość i wytrzymałość ma swoje granice. Ale to, że takie pomysły mogą się rodzić, najlepiej świadczy o faktycznym prestiżu lekarza w naszym społeczeństwie.

— **Słuchałam uważnie tego, co państwo mówili. Sądzę, że można obraz tej sytuacji narysować jeszcze bardziej „czarno”, co nie znaczy, że będzie nieprawdziwy. Ale — zastanawiam się — czy lekarze są bez winy. Mam przed sobą wyniki kontroli NIK. Interesowało się wykorzystaniem aparatury medycznej. Co stwierdzono? Ano stwierdzono, że tylko co piąty aparat zakupiony dla służby zdrowia — również i ten za dewizy — uruchamiany jest w 3 miesiące po sprowadzeniu, a 40 procent tych aparatów w ogóle nie uruchomiono, bądź dopiero po roku od daty sprowadzenia. Na przykład spośród aparatów do dializy — zakupionych za dewizy w latach 1984—1985 do czasu kontroli uruchomiono tylko 4. Stwierdzono dalej, że tylko co dziesiąty sterylizator jest uruchamiany, a w szpitalach jest brudno. W Warszawie mają na przykład cztery tomografy, ale nie ma go w Instytucie Onkologii. Co państwo na to?**

R. MACHNIKOWSKI: — Pani przytoczyła fakty. Z faktami trudno polemizować. Nie mam zamiaru za wszelką cenę bronić służby zdrowia. Ale to są skutki. Warto może zapytać o przyczyny. Otóż moim nauczycielem był — wiele lat temu — profesor Nofer. Nauczył mnie jednego. Szpital nie jest fabryką gwoździ i nie można mechanicznie przenosić zasad, według których działa fabryka gwoździ na szpital. Często jednak tak się robi i stąd powstają ogromne nieporozumienia. Nie wolno tak robić przede wszystkim dlatego, że w ochronie zdrowia chodzi o człowieka z całą skomplikowaną jego sferą psychiki, współzależności i tak dalej.

T. LEWY: — Niezależnie od tego, co stwierdzili kontrolerzy NIK, służba zdrowia jest źle wyposażona w aparaturę. I dzieją się w tej dziedzinie złe rzeczy.

— **Na przykład?**

T. LEWY: — Jeśli dyrektor szpitala ma kolegę, który jest dyrektorem bogatej fabryki, dysponującej odpisami dewizowymi, to szpital może pozyskać aparaturę medyczną wysokiej klasy. A jak dyrektor szpitala nie ma bogatego kolegi z fabryki, to mu się przydziela pieniądze na aparaturę i często są to małe pieniądze. Co tu dużo ukrywać, służba zdrowia nie ma pieniędzy na aparaturę.

— **A gdzie w Łodzi jest taki znakomity szpital, którego dyrektor ma bogatych kolegów z fabryk?**

T. LEWY: — A chociażby Szpital im. dr K. Jonschera. Dyrektor tego szpitala nie ma kłopotów z aparaturą, a dyrektor Wydziału Zdrowia i Opieki Społecznej UML ma kłopoty ze Szpitalem im. dr K. Jonschera, bo aparatura do tego szpitala przepływa poza Wydziałem. Może nie jest tak?

R. MACHNIKOWSKI: — No, tak.

Z. WĘGRZYN: — Ale to niczego nie wyjaśnia, nie wyjaśnia na przykład, dlaczego w szpitalach zdarza się nie wykorzystana aparatura. A powód — niestety — jest bardzo prosty. W 1972 roku — gdy organizował się oddział neurochirurgii — zamówiłem zestaw do operacji przysadki mózgowej przez nos. Otrzymałem taki zestaw, ale bez przewoźnego rentgena. Okazało się bowiem, że akurat pokazał się polski

rentgen przewoźny. Wstrzymano więc dostawę torów wizyjnych z RFN. Zestaw do dziś leży bezużyteczny, bo nie otrzymaliśmy ani polskiego rentgena przewoźnego, ani importowanego. Czy to jest moja wina?

T. LEWY: — Zamówiłem sigmoidoskop, dokładnie zaznaczyłem jakie posiadam źródło światła. Otrzymałem zamówioną aparaturę, ale przystosowaną do innego źródła światła. Producent aparatu przewidział jednak taką możliwość i przygotował łącznik, który kosztuje 100 dolarów i umożliwia stosowanie do nowoczesnej aparatury starego źródła światła. Oczywiście tego łącznika mi nie kupiono. Aparat był nie do użytku. Napisałem list utrzymany w ostrym tonie. Ktoś się widać przestraszył, bo być może producent zafundował mu kolację, aby kupił to, co było do sprzedania, a nie to, co mi było potrzebne, bo mi szybko kupił potrzebny łącznik. Uznali, że lepiej będzie, jak ten... z „Kopernika” nie będzie dochodził jak się to stało.

— **Kto wam kupuje aparaturę?**

R. MACHNIKOWSKI: — Centrala Handlu Zagranicznego „Varimex”. Tylko że „Varimex” nie prowadzi marketingu. Powinno być tak: kiedy szpital poszukuje jakiejś aparatury, to zgłasza się do szpitala przedstawiciel „Varimexu” i prezentuje pełny zestaw interesującej szpital aparatury, ceny, terminy.

— **A jak jest?**

R. MACHNIKOWSKI: — Jest tak, że my się umawiamy z „Varimexem” na zakup takiej czy innej aparatury na przykład w Japonii, a tymczasem Ministerstwo Handlu Zagranicznego korygowało to zamówienie nie wedle naszych potrzeb, tylko wedle tego, gdzie wystąpiły nadwyżki. W Japonii — powiedzieli urzędnicy MHZ — nie ma nadwyżek, są w Belgii, kupujcie aparaturę belgijską. A ta nam akurat w tej chwili nie jest potrzebna. I potem aparatura stoi. Są kłopoty z jej wykorzystaniem.

T. LEWY: — To nie jest prawda, że dyrektor szpitala nie wie, co jest akurat na rynku aparatury medycznej. Ale on musi zastanowić się nad każdą ofertą, czy warunki w jego szpitalu odpowiadają warunkom instalacji i wykorzystania aparatury. Czy jemu to jest potrzebne? Czy on będzie mógł to wykorzystywać? A jak on nie ma nic do gadania, to później może się tak zdarzyć, że owszem aparatura jest, ale wykorzystywać jej nie można.

— **Zapewne macie państwo rację. Wiem, że aparatura stoi, bo nie ma do niej części zamiennych, bo nikt nie pomyślał o tym, kto i za co będzie ją konserwował. Można mnożyć takie przyczyny. Ale są też inne. Czy przypadkiem nie panuje u nas fetyszyszcza techniki medycznej? W blących przypadkach kieruje się na specjalistyczne badania, a później nikt nie odbiera wyników. Na przykład tak postępuje Akademia Medyczna w Łodzi. No i wreszcie wykorzystanie tego, co już mamy. Choćby sal operacyjnych. Czy szpitale nie mogą operować na zmiany?**

Z. WĘGRZYN: — Powinny. Tylko to nie zależy — niestety — od nas. Chirurg, aby operować musi współpracować z anestezjologiem i radiologiem. Ale nie może, oni pracują tylko do 15.00. Koniec. Kropka.

— **A nie mogliby pracować po 15.00?**

Z. WĘGRZYN: — Musieliby za to otrzymać dodatkowe wynagrodzenie.

— **A czy to nie jest po części kwestia organizacji pracy?**

Z. WĘGRZYN: — Zapewne. Ale nie tylko. To również sprawa przepisów, które określają tę organizację pracy. Na przykład mam 7 asystentów, których nie mogę należycie wykorzystywać. Dlaczego? Bo sale operacyjne są dostępne tylko do godziny 15.00. Dostają jedną salę i mogą zatrudnić przy operacji 2—3 asystentów. Poza tym siedzą i nic nie robią. Gdyby sale operacyjne można było wykorzystywać choćby o 2 godziny dłużej, to mógłbym przeprowadzić jeszcze jedną operację. Co to by było? Nie tylko pełniejsze wykorzystanie moich asystentów, ale i szybsze leczenie. Pacjent nie musiałby długo czekać na przyjęcie do szpitala, a w szpitalu na operację. Szybciej wracałby do zdrowia. Zmniejszyłyby się koszty leczenia.

R. MACHNIKOWSKI: — To dotyczy nie tylko neurochirurgów. Na przykład również radiologów. Narzekamy, że mamy ich mało. Nieprawda. My ich po prostu źle wykorzystujemy. Jak to robią inni? Oni cenią czas lekarza. Widziałem taki przykład. Radiolog wchodzi do gabinetu. Na trzech ekranach ma założone klisze. Na dyktafonie utrwała opis klisz i trzech pacjentów ma już załatwionych. Resztę prac robi personel pomocniczy. Oni zakładają klisze, przepisują wyniki, przekazują je innym lekarzom. Czy u nas ceni się w taki sposób czas specjalisty? Za granicą lekarz pracuje 3 lub 4 razy wydajniej.

I jeszcze jedno. U nas profesorowie medycyny mają najczęściej po 60—70 lat. W innych krajach widziałem profesorów medycyny w wieku 40 lat. Ale oni nie mieli czasu, aby ze mną rozmawiać na inne tematy niż zawodowe. Ich czas bardzo się liczy.

— **Proponuję na tym skończyć pierwszą część dyskusji. Za tydzień będziemy dalej poszukiwać odpowiedzi na pytanie: co można zmienić, poprawić, ulepszyć w ochronie zdrowia bez wielkich inwestycji?**

Opracowała:
BOGDA MADEJ



Foto: Grzegorz Galasiński

„Czarodziejską igłę” może zastąpić wiązka światła.

Nie jestem cudotwórcą...

Rozmowa z TOMASZEM NOWOSIELSKIM — lekarzem akupunktu rzytą.

— Od ilu już lat kłuje pan ludzi tymi igłami?
— W sumie od siedmiu.
— To chyba dość długo jak na nasze warunki?
— Chińczycy twierdzą, że naprawdę dobrym akupunkturzystą można zostać dopiero po co najmniej dziesięciu latach praktyki. I chyba mają rację, bo choć rzeczywiście mam już spore doświadczenie, wciąż uczę się czegoś nowego.
— A gdzie nauczył się pan leczenia akupunkturą?
— Przez trzy i pół roku uczestniczyłem w kursach akupunktury prowadzonych w Warszawie przez profesora Zbigniewa Garnuszeńskiego. Po ich ukończeniu uzyskałem prawo samodzielnego leczenia tą metodą. Korzystałem również z pomocy starszych kolegów akupunkturzystów.
— Skąd to zainteresowanie? Pracował pan przecież jako anestesjolog w wojskowej służbie zdrowia.
— Tak, i na studiach w ogóle nie informowano nas, że istnieje taka metoda leczenia stosowana od tysięcy lat przez Chińczyków. Ba, w latach sześćdziesiątych traktowano u nas akupunkturę jako znachorstwo, zabraniano jej, podczas gdy na Zachodzie, w Związku Radzieckim, w Czechosłowacji zajmowano się nią już wtedy bardzo poważnie.
— Teraz nazywa się akupunkturę metodą paramedyczną. A ja pytam: dlaczego paramedyczną, skoro uprawiana jest przez lekarzy? Skoro od tysięcy lat daje dobre rezultaty?
— W moim przypadku zdecydował o tym stopień specjalizacji i zwróciłem uwagę, że mój egzaminator co trochę wychodził na kilka minut do sąsiedniego pokoju. Z ciekawości zapytałem o powód. Odpowiedział, że nakłuwł. W pierwszej chwili nie zrozumiałem, co miał na myśli, gdyż kolokwium odbywało się w... stacji krwiodawstwa, ale on na szczęście nie robił tajemnicy ze swego dodatkowego zajęcia.
— Wtedy też pierwszy raz w życiu zobaczyłem, jak to wygląda. Zobaczyłem, jak przywieziono na noszach kobietę z ostrym atakiem lumbagii, która po dwudziestominutowym zabiegu sama wstała i o własnych siłach poszła do domu. Zaintrygowało mnie to — tym bardziej, że jako anestesjolog z kilkuletnim już stażem pracy, a więc człowiek, który na co dzień styka się z bólem, nie zdawałem sobie sprawy, że istnieje tak skuteczna metoda leczenia bólu. Zacząłem interesować się nią, czytać... I tak mnie to wciągnęło, iż postanowiłem się jej nauczyć.
— Czy mógłby pan wyjaśnić naszym Czytelnikom, jaka jest właściwie zasada działania akupunktury?
— Nakłucie ciała w odpowiednim punkcie igłą powoduje podrażnienie znajdujących się tam receptorów nerwowych, które za pośrednictwem układu nerwowego wysyłają impuls sprawiaczy, że w innym miejscu następuje rozszerzenie naczyń krwionośnych, a co za tym idzie — dostarczenie większych ilości tlenu oraz substancji pokarmowych. Jeżeli jest to miejsce chore, proces leczenia przebiega szybciej i łagodniej, a ból — przynajmniej na pewien czas — ustępuje. To tak w wielkim skrócie i uproszczeniu.
— Oczywiście lekarz musi wiedzieć, gdzie dokładnie wbić igłę, aby wywołać pożądaną reakcję. Musi znać wszystkie punkty akupunkturowe na ciele człowieka, których jest...?
— W tak zwanej starej, klasycznej chińskiej akupunkturze wyróżniano 361 punktów na jednej połowie ciała. Znajdują się one na kanałach energetycznych ciała człowieka, zwanych potocznie południkami. Południków mamy 14 podstawowych i 8 dodatkowych.
— W nowej akupunkturze, którą dziś stosujemy, punktów akupunkturowych jest 822, w tym na przykład aż 130 na małżowinach usznych. Te nowe punkty wzięły się stąd, iż od starożytności poznaliśmy wiele nowych chorób, rozwinęła się bardzo medycyna, zaistniały nowe sposoby badania... Wbrew temu, co można nieraz usłyszeć z ust ignorantów, akupunktura nie tylko nie jest znachorstwem, paramedycyną, jakimś zamkniętym rozdziałem, ale — metodą, która stale się rozwija i dopiero od niedawna dzięki komputerom, laserom i innym urządzeniom ujawnia wszystkie swe możliwości.
— Jakie choroby można leczyć akupunkturą?
— Myślę, że nie ma sensu wymieniać wszystkich jednostek chorobowych, gdyż jest ich kilkadziesiąt. Powiedziałbym natomiast, że najlepsze efekty osiąga się w leczeniu tych chorób,

które stosunkowo krótko trwają i nie wywołują jeszcze trwałych zmian w organizmie. Są to na przykład migreny, owrzodzenia przewodu pokarmowego, różnego rodzaju nerwobóle, alergie... Co nie znaczy, że nie będę leczył, powiedzmy, wieloletniej astmy. Będę — tyle że zmian, jakie zaszły już w płucach, nie cofnę. Mogę tylko złagodzić przebieg choroby, przynieść ulgę na jakiś czas. A to przecież też jest ważne.
— Nie mają więc racji również hurraoptymiści, którzy chcą widzieć w akupunkturze panaceum na wszelkie schorzenia i dolegliwości.
— Na pewno nie jest ona jakimś cudownym, złotym środkiem. Jest tylko jedną z wielu metod leczenia o ograniczonym zastosowaniu, o tyle może lepszą od innych, że nie mając żadnych ubocznych działań, jakimi charakteryzują się środki farmakologiczne. Lecząc akupunkturą, nie zatruwamy przecież organizmu chemikaliami. I to jest zasadniczy plus.
— Chciałbym jednak być dobrze zrozumiany: żaden lekarz akupunkturzysta nie zabroni w związku z tym brania tabletek czy zastrzyków. Przeciwnie. Często tłumaczę pacjentom, że mimo leczenia akupunkturą, powinni nadal przyjmować środki farmakologiczne, gdyż dopiero połączenie obu tych terapii może w danym przypadku dać zadowalający efekt. Inna sprawa, że dzięki akupunkturze część lekarstw można odstawić. Korzysta na tym pacjent, korzysta też całe społeczeństwo — szczególnie kiedy tak, jak teraz, apteki świecą pustkami.
— Profesor Garnuszeński obliczył, iż jego praca akupunkturzysty pozwala zaoszczędzić nam około 200 tys. złotych rocznie, tyle bowiem kosztowałyby lekarstwa, które musiałaby być zużyte, gdyby leczył w tradycyjny sposób.
— Ale igły również kosztują i to chyba немало?
— Tak. Oryginalne chińskie — około 200. złotych za sztukę, polskie — o połowę mniej, jednak trudno je zdobyć i nie są tak trwałe.
— Ile igieł powinien mieć lekarz akupunkturzysta?
— Dysponuję mniej więcej tysiącem igieł, które po każdym użyciu muszę sterylizować. Idealnie byłoby, gdyby dla każdego pacjenta miał odrębny komplet, to znaczy od 8 do 30 sztuk, bo tyle jednorazowo się wbiła. Na razie jednak nie stać nas na to. Zdarza się natomiast, że niektóre osoby przychodzą do mnie ze swoimi igłami kupionymi gdzieś okazyjnie.
— A gdzie pan się zaopatruje?
— Gdzie się tylko da. Krajowych — jak już mówiłem — jest mało, gdyż produkuje je tylko jedna spółdzielnia w Gliwicach. „Cefarm” sprowadza trochę z Chin, Wietnamu i Korei, ale są to raczej śladowe ilości. Pozostają więc prywatne kanały, co na ogół oznacza, że jeśli wiem, iż ktoś wyjeżdża za granicę, na Daleki Wschód, proszę go, aby przywiózł, a ja kupuję potem od niego za pośrednictwem komisji.
— Więc nie są to pana prywatne igły?
— Nie. Na szczęście w Zespole Opieki Zdrowotnej na Widzewie, gdzie pracuję, znalazło się te kilkadziesiąt tysięcy złotych, aby wyposażyć mnie w igły.
— Chińska, a takich najczęściej staram się używać, wystarcza mi na rok. Gdyby ktoś podjął się ostrzeżenia, można by ten okres żywotności przedłużyć nawet kilka razy. Niestety, nie znam nikogo takiego.
— A czy materiał, z jakiego zrobiona jest igła, odgrywa jakiegoś istotne znaczenie? W encyklopedii można przeczytać, że w akupunkturze używa się igieł złotych lub srebrnych.
— Chińczycy twierdzą, że takie właśnie są najlepsze, ale jest to trochę „gra pod publiczke”, i to tę najbogatszą. Ja uważam, że stalowe wcale nie są gorsze. Najważniejsze, żeby były ostre, nieelastyczne (to warunek konieczny) oraz, by wykazywały dobre przewodnictwo elektryczne.
— Wbiacie igły w dany punkt akupunkturowy musi być niezwykle precyzyjne. Czy przy takiej ilości punktów, nie ma kłopotu z ich odnalezieniem na ciele pacjenta? Dla laika może wydawać się to trochę podejrzane.
— Zgoda, ale jeśli dysponuje się odpowiednią wiedzą i doświadczeniem, nie ma tu żadnego problemu.
— Na przykład wiemy, że w pobliżu drugiej kości śródreżca na jej promieniowej stronie w połowie odległości między główkami znajduje się punkt akupunkturowy. Aby go odnaleźć, muszę najpierw wyczuć palcami brzeg kości, potem — jej główki, odmie-

rzyć połowę odległości i już. Podobnie muszą zlokalizować pozostałe punkty, które chcę nakłuć i dopiero wtedy mogę wbić igły.

— Na jaką głębokość?
— Od kilku milimetrów do kilku centymetrów — w zależności od punktu i innych okoliczności.

Poza tym, kiedy mam jakieś wątpliwości, pomocą służą specjalne tablice akupunkturowe oraz przyrząd zwany punktoskopem, który wskazuje te miejsca na skórze, gdzie jest mniejsza oporność elektryczna. A punkty akupunkturowe charakteryzują się właśnie zmniejszoną opornością.

— Czy jednak mimo to nie istnieje możliwość pomyłki? Są przecież i takie punkty, których nakłucie może pogorszyć stan chorego, a nawet spowodować zgon. Wiem, iż wiele osób boi się akupunktury z tego powodu.

— Oczywiście, lekarz może się pomylić, ale tylko wtedy, kiedy będzie niesolidnie wykonywał swą pracę, spieszył się... W leczeniu akupunkturą nie ma miejsca na pośpiech i każdy akupunkturzysta dobrze o tym wie.

Co zaś się tyczy punktów niebezpiecznych, to chciałbym wszystkich uspokoić: możliwość pomyłki praktycznie nie istnieje. Po pierwsze dlatego, że już na samym początku szkolenia dokładnie informuje się, których miejsc nakłuć absolutnie nie należy. A po drugie — że punkty te są bardzo łatwe do znalezienia i zapamiętania. Nie trzeba więc się tego wcale obawiać.

— A jaką pewność ma pacjent, że akupunktura rzeczywiście mu pomoże?

— Stawiam sprawę zawsze jasno: nie jestem cudotwórcą, ale postaram się zrobić wszystko, co tylko w mojej mocy. Nie okłamuję człowieka, nie daję stuprocentowej pewności, gdyż nie każdy jest tak samo podatny na klucie. Ale spróbować przecież można. I to jest, moim zdaniem, uczciwe.

Jeżeli zaś chodzi o efekty leczenia, jakie osiągam, to mogę powiedzieć, że dochodzą one do 80, a czasem nawet do 90 procent po serii zabiegów, których zwykle jest około 10. A dodam, iż dzieje się tak często w przypadkach pacjentów, u których długotrwale leczenie farmakologiczne nie dało spodziewanych rezultatów. Jest to zatem metoda raczej skuteczna i należałoby sobie tylko życzyć, aby stosowana była na szerszą niż dotąd skalę.

— Otóż to. Jest pan w Łodzi pierwszym lekarzem, który leczy akupunkturą w uśpieniu w służbie zdrowia.

— Jeżeli chodzi o tak zwane leczenie otwarte, to tak.

Kiedy nie mogłem już pracować w wojsku jako anestesjolog (z uwagi na stan mego zdrowia), „wyszedłem do cywila” i powróciłem do rodzinnego miasta, do Łodzi. Tu zacząłem szukać jakiegoś zajęcia. Nie było to łatwe po 17 latach nieobecności — nie znałem przecież sytuacji w łódzkim leczeniu, nie orientowałem się... Znajomy poradził mi, abym zwróciłem się do dyrektora ZOZ na Widzewie. I muszę przyznać, że była to naprawdę dobra rada, gdyż dyrektor Adam Pabich choć zupełnie nie znał się na akupunkturze, pozwolił mi spróbować swych sił. Moją ofertę poparł też lekarz wojewódzki i w 1985 roku dostałem tu, w poradni na Szpitalnej jeden mały pokój z dwiema leżankami.

Mniej więcej po miesiącu dyrektor odwiedził mnie, żeby zobaczyć, jak sobie radzę. Opowiedziałem mu o tym, ale największe chyba znaczenie miały rozmowy z pacjentami, którzy potwierdzili mi, że po moich zabiegach czują się zdecydowanie lepiej. Dyrektora utwierdziło to w przekonaniu, że powoli słuszna decyzja, mnie zaś — nie kryję — dało wiele satysfakcji.

Dziś mam do dyspozycji dwa pomieszczenia i cztery leżanki.

— To ile osób może pan teraz przyjąć?

— Codziennie po 36, choć właściwie nie powinienem więcej niż 20.

— A ile czeka jeszcze pod drzwiami?

— U mnie nie czeka się pod drzwiami, ponieważ z każdym umawiam się na konkretny dzień i godzinę. Z tym, że na wizytę zapisywać się trzeba z kwartalnym wyprzedzeniem. Po prostu jestem sam... Z tego też powodu musiałem dokonać pewnej selekcji, to znaczy przyjmować przede wszystkim najbardziej potrzebujących — głównie ze skierowaniami od rehabilitantów i neurologów. I tylko z widzewskich poradni.

— A z innych dzielnic?

— Proszę mi wierzyć, choćbym nawet bardzo chciał, nie mogę. To trzymiesięczne oczekiwanie na wizytę mówi zresztą chyba samo za siebie. Jestem natomiast zdania, że w pozostałych dzielnicach też powinny powstać jak najszybciej poradnie leczenia akupunkturą.

— Słyszał pan może, kiedy to nastąpi?

— Nie. Słyszałem tylko, że moja koleżanka na Polesiu już dwa lata walczy o to — bezskutecznie. Z tego co wiem w Łodzi około 20 lekarzy uczy się teraz akupunktury, więc razem z tymi, którzy mają już uprawnienia, mogliby obsadzić miejsca we wszystkich dzielnicach — oczywiście gdyby stworzono im takie jak mnie tu, na Widzewie, możliwości.

A że na leczenie akupunkturą jest olbrzymie zapotrzebowanie, świadczy też kolejki przed spółdzielnią na rogu Kościuszki i Zamienhofa. Tylko, że tam trzeba płacić.

— Ile kosztuje w spółdzielni jeden zabieg?

— 850 złotych. Prywatnie — jeszcze drożej.

— Niezły interes. A pan, przepraszam za niedyskrecję, ile zarabia?

— Podstawowej pensji mam 20 tysięcy złotych.

— To dlaczego nie leczy pan prywatnie?

— Zna też mnie nierzadko o to pyta. Ale poważnie...

Gdyby pan zobaczył ludzi, którzy tu do mnie przychodzą... Większość z nich nie byłoby stać na prywatne leczenie. Mnie zresztą także nie. I może dlatego rozumiem ich sytuację, i zdecydowałem się nie prowadzić prywatnej praktyki — nawet po godzinach, w domu. Nie chcę jednak przez to powiedzieć, że potępiam kolegów, którzy wybrali inną drogę.

Rozumiem lekarzy, zwłaszcza młodych lekarzy, że chcą mieć w życiu pewien komfort. Przecież muszą nie tylko pracować, zarobić na utrzymanie siebie i rodziny, ale i mieć godziwe warunki do wypoczynku oraz ciągłego dokształcania się, co w tym zawodzie jest konieczne, jeśli traktuje się go poważnie.

Kiedy ja zaczynałem pracę po studiach, moje uposażenie było na tyle dobre, iż mogłbym z żoną zaoszczędzić i na mieszkanie, i na samochód. Obecnie jest bez porównania gorzej. Może więc gdyby dziś był młodym lekarzem, patrzyłbym na to trochę inaczej i też otworzył prywatny gabinet, szukając na początek przede wszystkim możliwości godziwego zarobku. Nie wiem. A tak, cieszę się najbardziej z tego, iż udało się stworzyć w Łodzi pierwszą poradnię leczenia akupunkturą. Uważam to za swój wielki, osobisty sukces.

— I niczego już panu do szczęścia nie brakuje?

— No, bez przesady. Na pewno chciałbym więcej zarabiać. Mój flat już ledwo jeździ, a nowego nie mam za co kupić. Nie stać mnie na każdą książkę...

Chciałbym również, aby moja poradnia była wreszcie na miarę końca XX wieku. Aby był w niej komputer, laser, kamera termowizyjna, aparatura do elektrycznej stymulacji akupunkturowej, aby pacjent leżący z igłkami mógł dla odprężenia słuchać przyjemnej muzyki...

Na razie czynię starania o przyjęcie jeszcze jednego lekarza akupunkturzysty. Potem rozszerzę się w możliwościach zdobycia lasera, którym tak samo można nakłuwać — tyle że zamiast igłkami — wiązką światła, a co najważniejsze — zupełnie bezboleśnie. Mam nadzieję, że wkrótce już dostanę magnetofony ze słuchawkami...

I jeszcze jedno, o czym marzę — żebym nie musiał tracić czasu na zbędne czynności, nie musiał sam załatwiać kuponów telefonicznych. Mój czas powinien być przede wszystkim dla pacjentów.

— Życząc tego szczerze tak panu, jak i pacjentom. Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał: PAWEŁ TOMASZEWSKI

Jak wygląda człowiek niezwykły? Zwyczajnie. Nie ma trzech rak, brody do pasa, ani nie jest cudotwórca. Wysoki, czarnowłosy i chyba przystojny, zupełnie czym innym wyróżnia się spośród tysięcy czy milionów zwykłych ludzi. Ryszard Kurylewicz, lat 42, jest zastępcą dyrektora Elektrowni Jądrowej „Żarnowiec” w budowie i tegorocznym laureatem przyznawanej po raz 40 nagrody im. Włodzimierza Pietrzaka. W sobotę, 21 listopada 1987 r., na zalogu po naszym spotkaniu na terenie budującej się elektrowni, stanął w Warszawie, w Pałacu Prymasowskim, w szeregu laureatów obok prof. Bogdana Suchodolskiego, Danuty Mostwin, Tomasza Jodełki-Burzeckiego, Ignacego Gozolewskiego i innych. Ryszard Kurylewicz otrzymał tę nagrodę w dziedzinie literatury, mając przed sobą (w latach ubiegłych) jako laureatów legion wybitnych polskich pisarzy i poetów, między innymi Marię Kuncewiczową, Marianą Piechala, Jana Dobrzańskiego.

Inżynier czy pisarz, a właściwie literat, bo słowa pisarz używał w stosunku do siebie nie chce.

Jako inżynier — dyrektor elektrowni jądrowej — jest już w XXI wieku, jako pisarz usadowił się (na razie) przed naszą erą.

— **Niewiarogodnym jest** — mówi — żeby facet zajmował się tyloma różnymi, tak odległymi od siebie tematycznie sprawami i jednocześnie robił to dobrze. Bo najczęściej każdy z nas jest monotematyczny i stopień specjalności dopiero powstaje, na ile jest w czymś tam dobry. Złotwie powie: dzawszu, dziś do dania lewatywu potrzeba trzech lekarzy: jeden wie w co, drugi wie jak, a trzeci wie czym. Ale gdybym robił rachunek sumienia, to sprawa wyglądałaby tak: na poczekaniu widzę inżynierską: gdybym nie pracował na budowie trzeciej elektrowni, nie doszedł funkcji zastępcy dyrektora, nie byłby realizowane moje koncepcje organizacyjne, projektowe i inne, a więc inżynierskie, można by powiedzieć, że jest to jakiś tam balon. Ale nie jest, bo to są fakty. Jeśli idzie o drugie zainteresowanie, czyli pisanie książek: trzeci tekst zaistniał na rynku księgarskim, czwarty jest w wydawnictwie, piąty kończy. To też są fakty. Pojawia pytanie, czy są to rzeczy dobre. Odpowiedzią są, moim zdaniem, nagrody jakie otrzymałem. Za pierwszy tekst — nagroda „Kierunków”, nagroda im. Natalii Gali, przyznawana przez jury społeczne, a więc niezawisłe i trochę nawet złośliwe wobec innych jury. Teraz nagroda im. Włodzimierza Pietrzaka, bardzo ważna i cenna, utwierdza mnie, iż założenie, które sobie postawiłem, że nie chcę być średnim literatem, raczej realizuję. Nie ważne, na ile jest to nieskomplikowane, ale nigdy nie obiecywałem, że będę skromnym.

Ryszard Kurylewicz również projektuje.

— Robię projekty budynków mieszkalnych dla kolegów, mam uprawnienia projektanta, mam wykonawcze. Nie biorę za to pieniędzy, jest to dla mnie inżynierski odskok w bok, bo mogę zaprojektować coś, co lubię. Jest już kilka moich domków i nie mam co się ich wstydzić. Są niebrzydkie.

Ma również, jak każdy porządny człowiek, swoje „odchylki”. Kosmologiczne, czy fizyko-kosmologiczne, jak je nazywa. Odkrył, że w związkach Ziemi z pozostałymi ośmioma planetami Układu Słonecznego, największy rezonans występuje pomiędzy Ziemią a Uranem. Podał śladem nieudowodnionego twierdzenia, że w epicentrum najbliższych trzęsień Ziemi, każdorazowo znajduje się Uran. Ale te badania odkłada na później, na emeryturę.

— Zostawiam sobie ten temat na czas, kiedy człowiek nie jest już tak lotny intelektualnie, kiedy tych komórek jest znacząco mniej, myśl wolniej ale ma ku temu już przygotowany materiał z czasów, kiedy to miał okazję przemysłować skutecznie, spokojnie, tylko nie miał czasu na obliczenia — na żmudną robotę. Teraz — to czego mi brakuje — to jest czas. Natomiast na emeryturze będę miał go nadmiar, będę mógł więc spokojnie tamto dłużej. Znowu: czy się spełnia, czy mi wyjdzie jakiś wybitny wynik — nie wiem. Jest ryzyko, że nie wyjdzie, że

zmarł na emeryturę. Bo mógłbym w tym czasie napisać książkę, ale ja wiem, że parę lat poświęcę na pracę, którą już dziś sobie założyłem. Czy to będzie czas zmarnowany? Dziś nie wiem. Intuicja mi podpowiada, że raczej nie. Tym bardziej, że śledzę, co dzieje się w tych sprawach na świecie. Ciągłe różni ludzie kręcą się koło tematu, koło tych wniosków, które mi podsuwa na razie intuicja, ale których nie mam udowodnionych. No, może nie tylko intuicja, bo część obliczeń już poczyniłem. Jeśli ktoś wpadnie na to wcześniej, nie będę musiał tego robić. A jeżeli nie wpadnie — mam zajęcie na parę lat.

Rozmawiamy w gabinecie dyrektorskim w budynku stojącym na wzgórzu, skąd widać sięgający horyzontu 200-hektarowy plac budowy, ogromne Jezioro Żarnowieckie, a na drugim brzegu — osiedla, hotele, robotnicze, a także sylwetkę już pracującej elektrowni pompowo-szczypowej. Jeszcze dalej kolorowe jesienne lasy porastają zbocza po-fałdowanej skorupy ziemskiej — krajobraz przydominający do złudzenia ten miły sercu — bieszczadzki. Po przebiegającej u stóp wzgórza szosie drują ogromne wywrotki; jedna z nich wjechała na teren budowy, a przedtem, wsłaniając, rozciął sobie łeb o twardą blachę kabiny kierowcy.

Elektrownia Jądrowa „Żarnowiec” buduje 5000 ludzi z 50 firm kooperujących, przy pomocy supernowoczesnego sprzętu budowlanego. Wiele technologii zastosowano po raz pierwszy w Polsce w ogóle, w tym: technologiczne, po Czarnobylu, są niezwykle za-ostrożone. Poręczkę położono wysoko. Na tej budowie można mierzyć się z nowoczesnością.

Ryszard Kurylewicz, aby lepiej poznać epokę, w której porusza się jako literat, nau-czył się dwóch języków staro-żytnych: aramejskiego i elamickiego.

— Natomiast wyłoby stwierdzenie, że wladam w mowie i piśmie tymi językami, bo są to języki martwe. Natomiast jeśli się zepnę, i mam na to czas, to mogę przetłumaczyć tabliczkę w języku elamickim, czy tekst, zwój w języku aramejskim. Jestem w stanie, jeśli się jeszcze bardziej zepnę (przy pomocy słowników i bibliografii, której jest — wbrew pozorom — bardzo dużo, napi-sać tekst w tych językach. Mnie nie było to potrzebne, by załapać komuś, potrzebne mi to było do realizacji mego zamysłu, a i sobie po-stawionej poręczki. No bo przychodzi do wydawnictwa i mówię: jestem inżynierem, przynoszę powieść z VI wieku p.n.e. Co mnie może obronić? Tylko jakość tekstu. Nie więcej. Czyli, tak naprawdę, tekst musi się obronić, nie ja. Żeby więc mógł osiągnąć swój cel, musiałem się nauczyć języków, choć zupełnie do tego nie mam zdolności. Było to dla mnie drapaniem się po głodkiej ścianie, kosztem szło-niej strat czasu. A więc, „Se-kretnie archiwum Kambudzi”, czyli pierwszy tekst, jaki zło-żyłem, w wydawnictwie, opie-ral się na takim zamysłu: zna-leziono sekretnie archiwum twórcy imperium Achemenidów Cyrusa w Pasagardzie. Fra-gmenty, oczywiście, archiwum. Znalezione znaczące archiwum Dariusza w Persepolis. Na szczęście dla historii w mo-mentcie, gdy Aleksander Mace-donki zdobył, spłądował i spalil Persepolis, tabliczki gli-niane wypadły się dodatkowo. Dla tamtych nie miało to wiel-kiej wartości i rzecz uległa ru-ruinacji, ale dla współczesnych archeologów była to rzecz bez-cenna. Do dzisiaj nikt nie zna-lazł, z małymi wyjątkami, se-kretnego archiwum Kambu-dzi, człowieka pomiędzy Cy-rusem Wielkim a Dariuszem. I ja to archiwum napisałem. Tu spowodowałem pewne zlu-dzenie: wydawcy i czytelnika. Zamierzone. Bo zaczynała się książka list czytelnika, który oto powiada, że znalazłem w jednym z trackich miast, w muzeum, właśnie sekretnie ar-chiwum, którego nikt do tej-pory nie przetłumaczył. Nawia-szem mówiąc, w mieście, któ-re w czasie obecnej wojny Ira-ku z Iranem zostało zlikwidowa-ne, a więc rzecz nie do sprawdzenia.

Znalazłem to, przetłumaczy-łem i daję pod osąd czytelnika. Jest sygnatura podana przy każdej tabliczce, jest napisane, że to jest w elamickim czy aramejskim, jest zachowana dokładnie ta sama długość, co na tabliczkach, składnia, wszystko. Dlaczego? Ponieważ usiłowałem pisać to w języku



Jest taki niezwykły człowiek tam, gdzie buduje się Elektrownia Jądrowa „Żarnowiec”

Niezwykłość zwyczajna czyli pasje zjednoczone

MAREK KOPROWSKI

elamickim i aramejskim i tłumaczył na język polski. Wiedza w jakimś sensie nie oszu-kuje czytelnika, bo jestem tłumaczem i jako tłumacz, a nie autor w tej pierwszej książce występuję.

Dopiero w ostatniej tabliczce wyjaśnia się, i tylko dla bar-dzo uważnego czytelnika, że ten, kto to pisał nie jest tłumaczem, tylko autorem. Bo w ostatniej tabliczce jest przyto-czonych kilka zdań, które zo-stały powiedziane 600 lat póź-niej niż ta tabliczka zaistniała, niż mogła zaistnieć. Pierwszy recenzent — historyk — wciąż się zupełnie. Napisał, że jest to bardzo dobre tłumaczenie tek-stów elamickich i aramejskich, tylko wydawnictwo powinno się zastanowić, czy staroper-skie tłumaczenia wydawać, bo nie ma tradycji ku temu. Wte-dy zainteresowano się już oso-ba, nie tylko tekstem, mogłem więc poważnie rozmawiać z wydawnictwem. Ale była to horrendalna robota. Dzisiaj już bym się za to nie wziął. Po pierwsze uznaliby, że to jest niemożliwe, po drugie, szkoda czasu, po czwarte, wszystko byłoby na nie. Trzeba na to braku wyobraźni i młodzień-czej euforii bo ja prawie 20 lat poświęciłem na te 25, o których pisze, czyli na lata 550-525 p.n.e. i mniemam, że coś o tym wiem. Mimo iż nig-dy nie byłem na opisywanych przez siebie terenach, czyli dzisiejszego Iranu, Iraku, Sy-rii, Palestyny i Izraela — znam je tak dalece, że wiem czy np. jakiś fragment terenu był widoczny w stosunku do innego. Mogę więc o tych 25 latach dyskutować z profesjo-nalistami, jeśliby tego chcieli. Ale jak do tej pory luk nie znalaziono, choć próbowano w tym tekście luki znaleźć.

Recenzje powieści ta (a i na-stępne, czyli „Jeruzalem, Je-ruzalem...”, wydana w jednym to-mie z „Sekretnym archi-wum...”, w 1984 przez PAX i „Od Maratonu do Arderikii” PAX 1988) miała dobre i bar-dzo dobre. Ryszard Kurylewicz twierdzi, że „na ogół dobrze”.

— Pan Andrzej Tchórzewski był nawet tak łaskaw dla mnie, że uznał ten tekst za

zupełnie nową formę literacką, czyli to, na czym się zupełnie nie znam, co czynię intuicyj-nie. Nie ukończyłem filologii, więc zaważyła tutaj kindersztu-ba, szkoła średnia, dom, intu-icja i nic więcej. Tenże Andrzej Tchórzewski stwierdził, że wprowadzam coś nowego, po-legającego na tym, że u mnie akcja jest tak gęsta, że w ogó-le jej nie ma. To znaczy, że czytelnik, żeby dojść dalej, mu-si zapomnieć o tym, co było 3 sekundy wcześniej, żeby w ogó-le iść z tekstem. Jest to więc coś absolutnie nowego. Poza tym, autor, dzięki temu, że jest tłumaczem, może korygować historię. Porównał mnie do prof. Umberto Eco z jego „Imieniem róż”. Wszystko to było dla mnie niezwykle miłe, że powinienem najęść się tego, siedzieć w rogu i przeżywać. Tylko doćwiczyć polega na tym, że to jest niezgodne z prawdą. Bo to wszystko o czym Andrzej Tchórzewski pisze, jest pochod-nym pewnych założeń. Założe-niem było, że każda moja książka nie może być dłuższa niż 102 strony — i nie jest dłuższa. A jeśli muszę zmieścić jakiś odcinek czasowy na 102 stronach, to akcja musi być gęsta czy ja chcę, czy nie chcę.

— Dlaczego akurat 102 stro-ny?

— Współczesny czytelnik jest najpierw telewizorem, a potem czytelnikiem, czyli, że coś się radykalnie zmieniło. Czuję to po sobie, bo czytam książki pomiędzy ciekawymi progra-mami lub po ich zakończe-niu. A jeśli tak, to mogę stracić książkę na 3-4 godziny czytania, czyli około 102 strony druku.

— Czy literat weźmie górę nad inżynierem?

— Nie, z bardzo prostego powodu. Wiele lat poświęci-łem, żeby móc napisać te książki. Są one, jak już mó-wiłem, niewielkie objętościowo: 3 arkuszy wydawniczych z to-lerancją 0,5 proc. Ja z tego nie mógłbym żyć, to e czym mi mówimy? Jak ja mogę być pi-sarzem, przepraszam, litera-tem? Na pewno mogę być na-tomiast inżynierem, bo z tego

jem chleb, utrzymuje rodzinę, a pisanie — to jest moja przy-jemność, na którą mogę sobie pozwolić, dopłacając do inte-resu. Może z czasem nie będę musiał dopłacać. Na razie wy-równuję sobie bibliotekę Zys-ków z tego nie mam.

Napomnienie o wąskiej spe-cjalizacji wzbudza gwałtowny sprzeciw dyrektora-inżyniera-literata. Nie jest specjalistą od VI wieku p.n.e., bo „następne książki „działa się” w innych latach. Ta, która leży w wy-dawnictwie — „Nawiedzony z Nazaretu” — opisuje początki chrześcijaństwa, czyli jest to już nasza era. Następna wy-biega kilkaset lat dalej, w cza-sie edyktu mediolańskiego, a tematem kolejnej będzie świa-ta inkwizycja.

— To, co mnie trylowało i trytuje: chwalenie się tym, że ktoś w jakiejś dziedzinie spe-cjalizacji jest czymś. Dla mnie profesor, który napisał książ-kę o liściu klonu i 15 książek o prawej jego żyłce, jest na pewno superspecjalista w tej branży, ale wówczas ten skrót przed nazwiskiem nic za sobą nie niesie. Ważniejsza jest kin-dersztuba, wiedza ogólna, to, co nazwałbym kulturą osobis-tą. To jest to, co niesie nazwis-ko Kotarbiński, Tatarkiewicz. Postacie, które bezspornie za-sługują na tytuł „profesor” to bardzo innych względów niż specjalizacja. Dlatego nie dal-bym sobie zażość w jakiegos specjalistę. Zrobiłem studia po-diplomowe w zakresie budowy elektrowni jądrowych, bo to robie nie chce być ignorant-em i to jest oczywiste. Ale w specjalizacji super-hiper ugo-nić się za Chiną nie dam. Bo to dla mnie jest umniejszanie siebie.

Ciekawi mnie, czy tak „dale-kie sobie pasie” aby zjedno-czone w duszy jednego czło-wieka, czy nie rozrywają jej w wewnętrznej walce o lep-szą pozycję, o przewagę, czy wreszcie któraś z nich nie weź-mie górę nad innymi, a jeśli tak — to co wtedy?

— Jedyna walka jaka toczy, to taka, czy rozmyślać z pa-nem w godzinach pracy o te-matach nie związanych z pra-cą. Czy jest uczciwa rozmowa moja jako człowieka pisaćce-go, a nie jako dyrektora Ele-ktrowni Jądrowej „Żarnowiec”, z dziennikarzem w czasie pra-cy. To jest moja jedyna wal-ka. Bo w tym jest moralna dwuznaczność. Ale ja mam przygotowaną interpretację, w-sprawiedliwiającą, która mówi: jeżeli ów dziennikarz odnie-sie niezłe wrażenie o pisarzu, to pomysł, że te elektrownie realizują ludzie niegłupi i to usprawiedliwia naszą rozmowę w tych godzinach. Bo ja mam odruch psa Pawłowa. Co w pracy — to w pracy. Potem jakiś mały relaks, żeby złapać oddech i dopiero o godzinie 19-20 mogę się przestawić na ten inny świat. Nie ma więc to walki i jej wpływu na oso-bowość. Boję się natomiast, że zewnętrzny odbiór może być dla mnie niekorzystny i to w dwóch płaszczyznach. W jednej: deklaracji — czym być: dy-rektorem czy literatem. I w drugiej: siedzenia okrakiem na barykadzie. Bo jestem byłym sekretarzem KM i „pierwszym” z Leboraka (w wieku 29 lat, gdy nie było tak młodych se-kretarzy — przyp. MK), a więc byłem pracownikiem aparatu, czyli człowiekiem wyznającym filozofię marksistowsko-leninowską. A jednocześnie czło-wiekiem piszącym w PAX-ie i piszącym w zasadzie o religii — i to z elementarnymi sym-patiami. Podejrzenia są więc tego typu: czy ten facet jest czer-wony czy też biskupi w kolo-rze? I niechcisz się on zde-klaruje wreszcie do cholery! Otóż — ja rozdwojony nie je-stem. Wyznaję filozofię mar-kistowsko-leninowską, mam szacunek dla kultury, dla reli-gii w takim wymiarze, w ja-kim w miarę średnio intelli-gentny człowiek powinien mieć dla swojej historii, dla swoje-go państwa i kultury. Nie mam żadnych wąchań przed takim podejściem do rzeczy, ale inni mogą mnie odbierać dwu-znacznie. Czy teraz poddać się temu odbiorowi i w związku z tym stać się albo dyrekto-rem albo literatem, albo ewi-dentnym marksistą, który krzy-czy, że on Kościół nie lubi — czy być po prostu sobą? Wy-brałem wariant bycia sobą. I nie bardzo interesuje mnie od-biór zewnętrzny, choć domy-slam się, że może on być dla mnie niekorzystny. Bo, on jest dla mnie niekorzystny. Gdy-bym teraz zaczął się bardzo tym przejmować, to bym po pierwsze stracił, po drugie wia-dzi, a po trzecie zastana-wiał się, czy dobrze robie. Nie mam takich wąchań. Jestem sobą.

Znalazłem tyle szczerości w wypowiedziach Ryszarda Ku-rylewicza, próbuje się czegoś dowiedzieć o jego życiu try-wialnym. Wiem już, że miesz-ka tu w mieszkaniu służbo-wym a żona z synem gdzieś het, wiele kilometrów dalej.

— Jest to moja trzecia bu-dowa. Na 20 lat małżeństwa 3 lata byliśmy razem z żoną. Ciągłe gdzieś tam się bładza-łem zawsze 100 kilometrów od domu. Nie jest to dobre dla rodziny, tym bardziej, że syn jest w takim wieku, że powinien mieć ojca na co dzień. Myślę jednak o czymś takim, że może gdyby nie by-ła takiego oddalenia, może nie mógłbym pisać. Bo nie umiem niczego stworzyć, gdy jest choć jedna osoba — nie w po-mieszczeniu — ale nawet w za-siegu wzroku. Muszę być sam. I musi być mi trochę źle. Gdy jestem w domu najedzony, do-pieszczony, spaceruję z synem, czyli uszczupko to, czego brak — łapie się na tym, że jało-wieje intelektualnie. Musi być mi źle, żeby móc pisać. I sam siebie czasami wciskam w kłopoty, których mógłbym na-wet uniknąć. Mogłbym niekie-dy zejść z drogi lawiny, gdy kamienie walą się i, wie pan, ja nie schodzę. Daje się przy-gnieść. To jest ten element, który mi się nie podoba, ale który jest mi potrzebny, żeby pisać. Gdybym chciał w po-zytynym świetle przedstawić siebie w tej sprawie, to naz-wałbym to inaczej: że lepszy jestem w ataku, w walce niż w obronie. Jeżeli się bronie — przegrzuję. Jednak z radką atakuję, z radką chce być lepszy, w rezultacie przegry-wam. Jest to jednak wybór świadomy. Potrzebne jest to, widać, żeby człowieka na tyle przugnęło, żeby zawył.

Bliscy współpracownicy mó-wią o dyktorze, że jest za-programowany jak komputer, że nie jest przypadkowe w jego życiu i działaniu.

— To nie jest prawda. To z boku wygląda, jako zaprogra-mowanie. Ja staram się być w miarę uporządkowany, oczy-wicie na ile rzeczywistość mi pozwala. Robię sobie plany na cały tydzień. Pod koniec każ-dego dnia robię rachunek su-mienia i widzi pan, tu gdzie jest klucz wolnościowy, to sym-bol, że gra, załatwiłem sprawę. Gdzie klucz wolnościowy na pół, muszę do tego wrócić, gdzie n-ka, to niezłałotwione, n-pół, to... Ale oto zjawia się pan i ten plan, który miałem na dziś wali mi się w gruzy, muszę coś przesunąć, zmienić, być nerwowym i tak jest z mo-im planami. Cóż z tego, że ja bym w podobny sposób rok zaplanował, gdy pojawi się w moim życiu tak jak pan, ktoś, dla kogo albo przez szacunek, albo przez potrzebę wewnętrz-ną, albo z innych powodów czas niezaplanowany poświęcić muszę. On mi zmienia życie. Być może, gdybym nie rozma-wiał dzisiaj z panem, a załat-wił jakąś sprawę, moje życie przebiegałoby dalej inaczej. A tak — skomplikowałem sobie życie jutro, żeby załatwić coś nie programowanego dzisiaj. Przy czym, powiadam, co z te-go wynika jutro dla mnie, nie wiem. Bo ten facet, który był umówiony dziś, w ponie-dzialek może nie przyjść, bo się na mnie obraził. Będę miał jednego wroga więcej.

— Ale i jednego zwolenni-ka więcej.

— W rezultacie z boku wy-głada to na życie fatalnie na-wet uporządkowane i w ja-kiejś części jest to prawda, ale nie wierzę, bo jest to niemoż-liwe, by ktokolwiek mógł rea-lizować wszystkie swoje plany bez przeszkód. Za dużo jest zdarzeń niespodziewanych.

Na rozmowę ze mną dyrek-tor Ryszard Kurylewicz prze-znaczył godzinę, no, może dzie-sięć minut dłużej. Wszedłem do gabinetu w pół do dziesią-tej rano. Gdy wychodziłem, było grubo po piętnastej, sym-patyczne panie sekretarki już wybierały się do domu. Otrzy-małem od autorski egzemplarz książki „Od Maratonu do Arderikii”. W dowód przepro-wadzonej z autorem rozmowy na budowie Elektrowni Jądrowej „Żarnowiec”. Fragment dedykacji brzmi: „Szczęśliwy to kraj, który nudną ma his-torię”.

Gmina Lubasz małeńka, a ruch tutaj jak w wojewódzkiej Pile.

Skazani na atomówkę

ROMAN KUBIAK

Wiertaczom wszystko jedno, pod co ryja ziemię. Taka już ich robota, cygańska dola w barakowozach. Raz każ im świderować pola pod wielką hutą, innym razem pod kopalnię, a teraz dla odmiany pod elektrownię. Elektrownia, która stanie tutaj za parę lat, nie będzie zwyczajna tylko atomowa, ale jakaż to w końcu różnica. Świdry normalnie wchodzi w ziemię, a każdy centymetr do dołu, to kilka złotych do pensji. Dlatego ryja od świtu do nocy, czterdziestu chłopów w gumłach i futajkach. Ryja i śpią. Swoje domy na kołach uniosły wywielekli trochę dalej, za urzędową granicę wsi. W razie czego, jakby chłopstwo poszło na nich z widłami, wtedy będzie bezprawie, czyli kryminal. Taka jest pierwsza mądrość wiertacza, nie rzadko spisana batogiem na piecach.

Więc świderują tylko i śpią, bo niby co mają robić, skoro wokół puszcza i puszcza, do rzeki smat drogi, a w wiosce światła gasną po dzienniku. Czasem zachodzą do wsi po flaszkę i śledzą w oleju albo mendeł faj. Tam jest geosowska buda z czerstwym chlebem i tym jeszcze, co pozwala być nazywaną sklepem. Na początku do sklepu wybierali się całą kupą, żeby samotny nie oberwał kłonię po łbie. Ale krew szczęśliwie nie popłynęła, widocznie lud mało mściwy. Chociaż obcy, u sklepowej mają nawet uważanie, bo sklepowa chce do miasta. Gdyby nie obiecywana elektrownia, pewnie zwiędłaby w tej guszy, a tak dostanie bloki. Dlatego cieszy się skrycie, ale swoim nie pisnie słówka, bo różnie myśla. Są tacy, co kłują w żywy kamień.

Jesienią powietrze pachnie świeżymi grzybami, wtedy wiertacze idą w las. Nigdzie nie ma takich borowików, jak w Puszczy Noteckiej. W pół godziny natną i ze dwa kosze, na smażonkę i na susz. A kiedy potrzeba im pilnego grosza, noszą grzyby do Kajderskich. Kajderscy mieszkają na zakręcie i skupują runo leśne. Dla państwa, nie dla siebie. Żyją z tego, że uczciwy pieniądź leży tutaj co pół kroku, wystarczy się schylić. Na przykład jagody — istne zatręśnienie. Podobno jagody i grzyby od Kajderskich jada w cały świat, do Ameryki nawet. Tak przynajmniej opowiadają ci ze spółdzielni, którzy runo zabierają do miasta. Ale tej jesieni biore ostatni raz, bo na wiosnę będzie koniec. Koniec, czyli głębokie doły, beton i stal — czyli elektrownia atomowa. Dokładnie w tym miejscu, gdzie liche pola wgrzyżają się w soczysty las.

Skazana na atomówkę wieś nazywa się Klempicz. Wieś Klempicz, gmina Lubasz, województwo pińskie. Na mapie to

cienka kreska drogi między dwoma zakrętami. W papierach gminnych, to dwieście par rak, na każdą parę hektar lasu wydarty puszczy, prawie pięćdziesiąt zagrod, niektóre z cegły. Wiosną nie będzie Klempicz, tylko „Warta”, druga polska elektrownia jądrowa w budowie, poczta polowa, województwo pińskie.

Najwięcej może stracić Janicki, Wincenty Janicki, pierwszy gospodarz we wsi, krzepa w łapach, głowa na karku. Jeszcze w zeszłym roku zadrościł mu tej krzepy i tego rozumu, a teraz mówią — głupi. Na co mu było szarpać się jak wołowi w kieracie. Durny Janicki myślał sobie, że barwinka stanie na nogi, użył dzieciom. Już prawie dopinał swego, prui żyły, wyciskał z plachu wszystkie soki ziemi, aż tu naraż — elektrownia. Znać się, cały dorobek lekko zmiecie spychacz. Pole Janickiego równo deptają jakieś komisie, mierzą, palcami wyciskają — TUTAJ. Akurat sto dwadzieścia kroków od plotu. Tutaj wyrosnie reaktor. Za uściplenie miejsca reaktorowi państwo ma dać Janickim nową gospodarkę, gdzieś pod Lubaszem. Bo Wincenty dalej chce żyć z ziemi, do bloków nie pójdzie. Spróbuj jeszcze raz od nowa, niechby na gołym polu. Takich jak on, prawdziwych chłopów jest we wsi tylko sześciu. Według Janickiego, prawdziwy rolnik to taki, który nie przeknie ziemi, nawet gdyby kradł mu ją spod nóg — jak w Klempiczu. Więc zawziętych jest tylko sześciu, reszta markuje chłopską krzywdę. Ten mówi, że za stary na zapuszczanie korzeni, tantemu okni się do miasta, oweru zawsze coś w szkole wzięło: sarny, zajace, dziki, a teraz atomówka. Zresztą od lat pół wsi jeździ rannym autobusem budować Wronki i Czarnków. Ani z nich porządni chłopci, ani solidni robotnicy. W piątku wolą robić, nie w ziemi.

Młodych zaś wcale nie warto pytać o chłopskie jutro, bo młodym nie w głowach morga. Czeka już na złoście z państwowych odszkodowań, rachują po czemu mieszkanie, auto i skórkowy krawiat. Z młodych psiochy tylko syn Włodarczyka. On jeden jeszcze miał chęć zostać na odcioźnie, gospodarke poprowadzić ku nowemu. Prawda to, że najpierw długo zachodził po rozum, bo życie czeka ma jedno, a tu ziemia postna — piata i szósta klasa. Ale w końcu zakasał rekawy i potu nie szczędził. Na próżno.

Aniela Marcinkowska jest poetką ludową, układa przyśpiewki o Puszczy i leśnych ludziach. Jako poetka, powinna wszystkie widzieć inaczej,

czyli szerzej. Nie tak, żeby świat cały skurczyć do rozmiarów zagrody, a horyzont dziejów rozciągać do między. No bo jakby uważnie posłuchać radia, zaraz będzie jasne, że nie sam jeden Klempicz skazany jest na atomówkę, ale cała Polska. Innej rady nie ma. Ludzie stali się wygodni, chcą żyć lepiej, w coraz większych miastach. Miasztu zaś myśli po swojemu, czyli tak: żeby było lepiej, za człowieka muszą robić maszyny, a maszyny jak wiadomo chodzą na prąd. Dlatego trzeba coraz więcej prądu. Próżno wspominać stare czasy, gdy młynarz z Kamiennika zmasztrował wodną turbinkę na grobli i poświecił żarówką w oczy. Teraz nie wystarczy siła wszystkich nawet rzek i strumyków, potrzeba wielkich elektrowni. I to właśnie jest horyzont dziejów.

Smuci się Marcinkowska, bo co by nie mówić, odejść trudno. Boli ją rozłąka z Puszcza, która uczyła poetkę mowy drzew i ptaków, milczenia we dwoje. Bardzo boli. Tak jej jakoś markotno, że aż ścisła się do gardła. Ale przecie innej rady nie ma. Ludziom ze wsi łatwiej niż miastowym, tłumaczyć sobie poetkę, pogodzić się z okrutnym losem. Na wsi człowiek żyje w przyrodzie, od niej bierze lekcje pokory, od niej się uczy, że po wiosnie nastaje lato, a po lecie musi przyjeść jesień, co jest porą umierania. Dlatego nie wolno krzyczeć, burzyć się i zawodzić — trzeba los przyjmować pokornie. A kiedy już wie się to wszystko, wtedy nawet śmierć niestrasza.

Jeszcze inaczej patrzy sołtys, Kazimierz Grot. Sołtys rzecz całą powinien widzieć raz z dołu, a innym znowu razem z góry, czyli okiem władzy, bo sołtysowanie mniej więcej zasadza się na takiej akrobacji. Tylko jak tu z fasonem trzymać urząd, skoro nie ma żadnej pomocy. Grot nie wie przykładowo, co to takiego atom i skąd w nim taka moc, a przecie jako sołtys wiedzieć powinien. I pewnie wiedzę owa Grot pojąłby raz dwa, bo do głowy wchodził mu łatwo, gdyby ktoś obznajomiony z atomem przyjechał i objaśnił mu: jest tak i tak. Lecz nikogo u nich nie przysłał, cisza. Albo zdarzyło się, że przysłał sąsiadzi po radę: powiedz Kazimierz — pytała — siad mamy czy płakać? I co Grot miał ludziom doradzić, jeżeli nawet w gminie niczego do końca nie wiedział. Mają tam tylko pismo, że będzie elektrownia i ogrom roboty aż do przyszłego stulecia. Za mało wiedza, a to wstyd dla ludowej władzy.

Mniej jeszcze wiedzieli by Klempicz, gdyby nie Czernobyl. Sołtys powiada, że jak wałęsno na Ukrainie, dopiero się ludziom otworzyły oczy. Wcześniej byli tacy, co chwaliłi się po znajomych, że będą mieć elektrownię jądrową, i że w Klempiczu właśnie. Zupnie jakby chodzą do zwykłej cegielni. Ten Czernobyl napędził dużo strachu i jeszcze więcej opamiętania. Sieżeli wtenczas z nosami w telewizorach oglądając cudze straszne sprawy, niby swoje. Wcześniej niejedną myślał, że jak go w związku z budową przeprowadza pod Lubasz albo pod Wronki, to już będzie daleko od atomówki. Nieprawda. Wronki są ledwie czternaście kilometrów od wsi, Lubasz prawie osiem. Nawet jakby uciekać bez dobytku, chmura dogoni, atomowa paskudztwo ob-

szędzie wszystko. Strach wieść takie rzeczy, bo jakby nie daj Boże... Więc po Czernobylu i po tym, jak dzieciakom dawali lugola, a starym nie kazali jeść salaty, zrobili ankietę. Wyszło, że jest pół na pół, czyli co drugi gospodarz nie chce atomówki.

Grotowej nie rusza cała ta gadka o ankiecie. Ona ma swoją robotę, rząd swoją. Zresztą będzie co ma być, nawet jakby sołtysowa na kolanach powlekła się do Częstochowy. Salaty jadła, niczego świeżego w powietrzu nie widziała, do wiosny nie będzie się kłopotać — robi swoje. Jutro zapie autobus i z torbami pojedzie do miasta. Przecież idą święta, ostatnie Boże Narodzenie przed atomówką.

Dymek, który obiecał nogami wrosnąć w tę ziemię, też nie chce gadać w kółko o tym samym. Zeby coś chociaż od niego zależało, ale — nie. Z tej przyczyny leży mu machnąć ręką, najchętniej już by odrzucił. Dymek mocno ciekaw, jedna tylko sprawa, kto mianowicie postawi tak skomplikowaną elektrownię. Polacy na pewno sami nie poradzą, tu jest potrzebna szwajcarska sztuka, co do milimetra. Dymek oglądał kiedyś blok na osiedlu zbudowany przez nazistów. Oglądał i pomstował do nieba. Pewnie dlatego nie umie wierzyć, że w Klempiczu się uda, a nawet jakby, to raczej nie doczeka.

Wielkie rozczarowanie spotka Olszowskich i Filimonów. Kiedy lat temu kilka ukończył studia rolnicze, wykalkulowali zgodnie, że w Klempiczu będzie im najlepiej, bo z dala od cywilizacji. Dostali kredyty, kupili pięćdziesiąt hektarów ziemi, założyli owczarnię. Pracowali też zgodnie i ciężko, ale z pracy mieli prawdziwą radość i całkiem przyzwoity efekt. Cywilizacji nie zapraszali, sama przyszła. A teraz bez nadziei pakuja walizki i ciągną w nowe życie furę nie spianych długów.

Bywało, że Olszowski nie chciał wyjść z gminnego urzędu, póki nie dostanie jasnej odpowiedzi, co z młodymi zapaleńcami zamierza gmina porządzić. Ale naczelnik słowa honoru dać nie może, bo podobno jeszcze sam nie wie. Za to w urzędzie ruch straszliwy, wszyscy biegają z papierkami, wiszą na telefonach, dzielą miliony niewidzialnych złotych. Gmina Lubasz małeńka, a ruch tutaj jak w wojewódzkiej Pile. Pamięć ludzka nie wspomni drugiej takiej gorączki. Sekretarz ma wypieki na sekretarskim obliczu, bo naczelnik właśnie głośno liczy: tyle na nowe osiedle, dworzec i kino, tyle na wodociąg, gazociąg i szkołę z czternastoma salami lekcyjnymi, tyle na nowy dom towarowy, nowe drogi i nowe chodniki... Z tego wychodzą miliony. W kasie na razie pusto po staremu, lecz już pachnie wielką forszą. Zawsze przecież było i jest dokładnie tak, że jak pod bokiem wielka budowa, to wokół kręci się wielka forsa. Cała rzecz w tym, żeby pieniądze umiejętnie wytargować.

Nie wiadomo, czy rachunkowa gorączka szła z gminy w górę, czy raczej odwrotnie. W każdym razie województwo także ostro liczy. Liczy na inwestycyjne miliony i na swoją wielką szansę. Dlatego gmina ani Pila nie wnoszą sprzeciwu w imieniu skazanych na atomówkę.



Mówi: Hanka Bielicka

— Oglądając panią na scenie dochodzę do wniosku, że jest pani największym „pyskaczem” w PRL. Czy to kunszt aktorski, czy trochę coś z kobiecy?

— Proszę pana, jest to zagadnienie, które wszystkich zastanawia. Ile razy spotykam się z ludźmi, zaraz wszyscy pytają, czy jest pani taka sama w życiu jak na scenie. Mam wrażenie, że estrada ma to do siebie, jest taka specyficzna, że oczywiście bardzo dużo bierze się z siebie, to znaczy nie tak jak w teatrze dramatycznym, gdzie aktor bardzo często chowa się za rolę, która to rolę jakże często jest przeciwną jego psychice, jego fizyczności, nawet jego sposobowi życia. A na estradzie nie, na estradzie jeśli się stworzy swój własny artystyczny gatunek, jeśli się wypracuje postać taką, którą ludzie utożsamiają z mną, z Hanką Bielicką — przepraszam, że mówię o sobie — wówczas trudno oddzielić aktora od człowieka. Szczególnie od człowieka „robiącego” na estradzie długie lata. Indywidualności i osobowości nie robi się ad hoc, na to potrzeba lat, no i musi być zapotrzebowanie publiczności na proponowany typ bohatera. I dopiero potem ta publiczność utożsamia postać sceniczną z aktorem. Mnie właśnie utożsamia się z „pyskaczem”, babą z buzią od ucha do ucha. Zilustruję to, co powiedziałam na przykładzie. Otóż jesteśmy z teatrem w Węgorzewie, po spektaklu przychodzi do mnie jakaś kobiecina, przynosi mi śliczne serduska z piernika i mówi: pani Haniu, wszyscy mówią, że ja jestem taka pyskata i wszyscy we wsi nazywają mnie Bielicką. To ja przyniosłam pani od siebie pamiątkę...

— Postać Dziuni Pietrusińskiej, którą pani stworzyła jest z krwi i kości i mimo tego, iż jest krzykliwa, zapalczywa, nigdy swojego nie popuszcza i za wszelką cenę dochodzi swoich praw, to przecież jest zarazem godna szacunku...

— Za to cenilam niezjadającego już Bogdana Brzezińskiego, który stworzył Dziunię Pietrusińską, i którą ja przez trzydzieści lat „robiłam”. Oczywiście trochę „rozszerzyłam” tę postać więc ludzie myślą, że jestem na co dzień taka właśnie Dziunia. A ja w życiu, nie powiem, że jestem przeciwnieństwem, ale im staję się starsza, tym muszę więcej zużywać energii na to, by być na scenie. Jest to moja skrzętnie skrywana tajemnica, która tu po raz pierwszy przed panem zdradzę. Będę tak długo istnieć na scenie, dopóki będę dynamiczna, gdyż cały mój komizm polega właśnie na dynamizmie.

— Przyznam się, że i ja jakoś nie wyobrażam sobie pani prywatnie inaczej niż wybuchającą nieustannie bombę. I nie wyobrażam sobie Hanksi Bielickiej jako Ofelii czy Marli Stuart. Pani jest żywiołem...

— Moje marzenie, to „Madame Sans-Gêne” Sardou. Grałam to, co prawda, ale w przeróbce. Teraz tylko bawię i śmieszę.

— Jestem przekonany, że w domu grała pani zawsze pierwsze skrzypce, a Jerzy Duszyński rzadko dochodził do głosu.

— Oczywiście, że tak. Moja energia, że tak powiem, roznosiła ściany, a wszystkie decyzje wychodziły ode mnie. To sprawa Skorpionca.

— A dom? Czy ma pani czas na jego prowadzenie?

— Muszę pana powiedzieć, że kiedy robię bardzo dużo, to naprawdę robię bardzo dużo. Gdybym miała przestoje, czułabym się bardzo nieszcześliwie. I tu jest ta moja tajemnica, że tak długo występuję, gram, że jestem na scenie mimo zaawansowanego wieku, że poświęcam się nie samemu domowi, ale moim bliskim. Nie mam własnych dzieci, ale takie przyszłowane: siostrzenice, bratanice itd. Staram się robić tak, że kiedy jestem im potrzebna, to jestem „pod ręką”.

— Jaka jest pani gospodyni?

— Niestety, nie najlepsza. Owszem coś tam doprawię, dośmakować, no, zrobić jajecznicę, ugotować kartofle. Wody nie przepalam.

— Sądzę, iż pani ekspresja pozwoliła pani zająć pierwsze amanta powojennego, jakim był Jerzy Duszyński?

— To było szkolne małżeństwo. Razem kończyliśmy szkołę teatralną, sympatyzowaliśmy, znaleźliśmy się w Wilnie. Razem też zaangażowaliśmy się — Duszyński, Szaflarska i ja. Tam zastała nas wojna i wojna nas złączyła. Wróciwszy do Polski dopiero po wojnie. On od razu się zorientował, że taka właśnie żona jest mu potrzebna. Tu wyjątkowo nie ja wybierałam.

— Czy ma pani jakieś zainteresowania poza teatrem? Wydaje mi się, że pani w tej pracy całkowicie się spala.

— Mam czas na dobrą książkę, ale tylko w wakacje, a tak, to kryminały i z psami na spacer.

— Dużo jest tych psów?

— Były dwa, teraz został jeden. Był też kot, który w tym roku dobiegł swojego żywota.

— Kto na panią czeka w domu?

— Gosposia, siostra, przedtem była jeszcze moja matka. Miałam prawdziwy dom i wszystko miałam gotowe, podane. Moja mama była bardzo dowcipnym człowiekiem i te dwadzieścia pięć lat po jej powrocie z Kazachstanu, wspominałam jak ją jakiś cudowny bajkę. Był to niezwykle towarzyszy życia i przyjacieli. Często mówiła: Haniu, usiądź przy stole, na przeciw mnie, en face, bo ty ciągle tylko wychodzisz i wychodzisz i ja oglądam ci jedynie z profilu i zapominałam jaka jesteś naprawdę.

— Czy ten brak czasu nie zaciął na tym, iż nie ma pani dziś bliskich przyjaciół?

— Nie szukałam ich. Mam jedną przyjaciółkę, z którą znamy się prawie czterdzieści lat. Teraz wyjechała za granicę i mnie osamotniła. Ale ja jestem bardzo szczęśliwa, że jestem samotna, to chyba ten Skorpion, pod którym się urodziłam.

— Lubi pani luksus?

— Mój dom jest taki trochę zasiedziały, urządzony na starodawnym dworze. Lubię być otoczona czymś dobrym, ładnie wyglądającym: ładne lustra, żyrandole itd.

— A jednocześnie lubi pani dużo pracować...

— W tym sezonie miałam już 336 przedstawień! Jak wyjeżdżam, to gram po dwa przedstawienia, czasem po trzy dniennie. Pieniądże? Wszystko wydaje na siebie. Kosztujemy na wyjazdy i koncerty muszę mieć swoje, tylko kiedy gram w teatrze otrzymuję je z teatru. Ile razy polecałam do USA czy Francji, to wszystkie pieniądze wydawałam na kostiumy, materiały. Ale potem jakaż to przyjemność, kiedy ojadę do Węgorzewa i zasunę im tam taką suknię z brylantami, to wszyscy wiedzą, że ta nasza Bielicka ubiera się jak te, co ich pokazują w telewizji!

— Kto przychodzi na pani występy? Czy tylko starsze pokolenie?

— Jeżdżę teraz z programem „Hanka Bielicka i jej goście”. Proszę sobie wyobrazić, że trzy czwarte widowni to młodzież. — Dziękuję za rozmowę i życzę długich lat życia na scenie.



Foto: Grzegorz Galasinski

Rozmawiał: EUGENIUSZ IWANICKI

Wigilia z Frasobliwym

Przeziębienie — niknący punkt na horyzoncie
teraźniejszości — powielanie kroków
na coraz bardziej pustoszejącej ruchomej
scenie

kłosa umyka rwie pod stopami
smoły na oświeconych dzikich plażach
gdzie tylko przerażony krzyk
nieobecnych ptaków

Znikają powoli wszystkie twarze
żywych i umarłych
jeszcze tylko pozostaje świat rzeczy
stętych papierzynek niedokończona powieść
urwki dzienników szkolnych wierszy
których już nie warto dalej bo po co
Stosy książek przeczytanych i tych
które się miało przeczytać

Szusiady pełne rupieci
związane gumką niezatęperowanymi ołówkami
sepiami Watermanów pokrzywione spinaczami
wyniki z gazet bo miały się do czegoś
przypiąć

Fudełka — w nich smierzwione poszarzałe
dawniej srebrne włosy anielskie
lichtarzyki choinkowe pokapane stearyną
szklane gwiazdki z uszczerbionymi szpicami

Na regałach — satknięte między tomikami
wierszy

opłatki które co roku cierpliwie
przynosi siostra z pobliskiego klasztoru
Z kim się dzisiaj nimi podzielić?
Stół wigilijny pośrodku stoik jedłowy
z jedną zapaloną świecą
obrus saszawiony pięcioma już od dawna
pustymi talerzami
I ten jeden szósty
bo może przyniesie Nieznany Gość miśnięty
głody

I — o pierwszej gwiazdce wieczornej
przychodzi

On chłopaki Bóg samotników
Frasobliwy z kapliczki na rozstajnych drogach
smaragiety do szpiku kości
z lichym tylko spłachetkiem na biodrach
Wyciąga ręce nad płomyk świecy powiada
przyszedłem się do ciebie ogrzać
lato zima sroga
wchryszko dme jak licho
przemroził mi nawet sikorki
leżą teraz na ścierisku jak martwe pacynki
Co ja tam będę sam siedział?

W uśmiechu tają mu swarte cierpieniem wargi
Kłosa na ścianie śpiewa koledy

On mówi — teraz postrzegam — tak jak
z chłopaka-kaliska
ady nie stercza tu sama jak słama tyka
po uschłej grochowiźnie w pustym polu

I wtedy w twarzy Frasobliwego rozpoznaje
rysę Ojca

Nie ogląda się wciąż za siebie — mówi
bo ci się głowa do cna do tyłu obróci
I tak już zostanie
Prześniętą się nad sobą użalad
jak kaska maryna po straconym wianku
I latać myślami jak świstun po świecie
nie dosyć już od niego oberwał?
Lepiej wyciągnij mi z czoła kolce cierniowe
i słuchaj jak ludzie wszędzie śpiewają
Narodził się Jezus Chrystus bądźmy weseli

Widzisz ja się ciągle rodę
i ciągle umieram na krzyżu
by smartwychwał na nowo

Wed swoje brzemie
samotność zgnękaną duszę obojętne ciało
i chodź
każdy musi swój kraj sam na własnym
grzbiecie
zanieść na swoją Golgotę

Córko powiadam ci wstań i idź za mną
I nie martw się co będzie potem

Jakos tam będzie

1984 r.

Głos wilgi

księciu poezji
Janowi Twardowskiemu

Kiedy jestem na samym dnie rozpaczę
i Kierkegaard uderza mnie bez przyczyny
drżeniem i lekkiem istnieniem
gdzie oddzielona już od świata
i od samej siebie
jak skorupa od jadra orzecha
daremnie szukam ocalenia
w drzewach zielonych dzieciństwa
klade dłoń na piśmie świętym poezji
i oto zjawia się — on
który wcale nie przychodzi nas nawracać
który — ja nawet nie wiem jak wygląda —
nadał mi krokiem niesłyszalnym
wszystkie drzwi otwierają się przed nim same
rozstępują ściany

Trochę sapie ze zmęczenia
Nie to sapie zakłopotany jęz

uczępiony jego nogawki
W progu zeskakuje i rozpoczyna
swoją tup-tup zawsze mnie rozsmieszającą
wędrowkę po pokoju

Pastorki wysypują mu się z rękawa
— księciu poezji nie jeździ —
pod pachą niesie dziecko
z wysuniętym różowym ozorkiem
Przypała je jak mu kładło żabę
na dzienniku klasowym
rozwiązywało sznurowadła grzesznikom
podczas kazania

I naraz
rozjaśnia się nocna ciemność
robi się wonnie ciepło jak w domu babki
gdy po zgaszeniu filującej lampy
naftowej
myszy zaczynają harować pod podłogą
zielne wianki dziko pachnieć łakami
Świat stawał się pełen magicznej wiary w cuda
w nagłe uzdrowienia chorych
w ocalenie siebie przez samych siebie

Chronię się w jego wiersze
jak stara oszroniona wiewiórka
w swojej dziupli
i znajduję się zrodzoną z własnej słabości

Słyszysz fletowy głos wilgi
To Euterpe wraca znów do mnie
ze swoim instrumentem

1987

Dorota Chróścielewska

Wigilia

Siedzi matka przy stole
Matka dobrze pamięta
gdy tuliła się do niej
dzieci jak dziś w nocy

Cicho cicho cichutko
pierwszym srebrem brzmiał w głosie
Bes matki świąt by cały
pograżał się w chaosie

Biegna dzieci przed siebie
by na szczyty się wspiąć
Tylko czemu u synka
zaśnięta czupryna

Idą skacząc po górach
przekakując górkę
Jak Gwiazdka Betlejemską
pierwsza zmarszcza u córki

Zdejmijcie balast z pleców
Każdy ciężar unieś
Siły u mnie dostatek

Ten świat nie miałby sensu
gdyby nie było matek



Einsamer Grossstädter — Fotomontaż

Nigdy nie było i nie
ma bezwzględnych
kryteriów wartości
ciężarów w obszarach
literatury.
Zawsze mamy do
czynienia z mniej lub bardziej
subiektywnym punktem widzenia
w tym zakresie. Raz są to
skale ideologiczno-polityczne,
raz sztywne i przyjęte z góry
normy estetyczne, kiedy indziej
jeszcze całkiem subiektywne
względy krytyków bądź czytelników
kierujących się — by
tak rzec — wrażeniem chwili.
Bo także czas i jego determinacje
zewnętrzne mogą nadawać
lub odbierać rangę pisar-
zom i ich dziełom.

Tak czy inaczej zawsze istniały
skale wartości, wciąż po-
nowiane próby budowania hierarchii
i klasyfikacji, nagrody dla
„najlepszego” i negatywne
oceny dla tych „gorszych”. I
świadczą one nie tyle o ja-
kościach w sztuce literackiej,
co o zmieniającej się i płyn-
nej świadomości odbiorców li-
teratury.

To nie jest lista bezwzględnych wartości, to propozycja.

Dziesięć książek 1987 roku

GRZEGORZ GAZDA

Zacząłem ten tekst w tonie
nazbyt poważnym, choć chcę
zapropinować Czytelnikom
„Odgłosów” (po raz kolejny)
listę dziesięciu książek wyda-
nych w 1987 roku w Polsce,
które moim zdaniem zasługu-
ją na rozmaitych względów na u-
wagę. A lista ta nie jest żadną
bezwzględną tabelą wartości do
zaakceptowania przez wszyst-
kich. Jest natomiast — takie
było założenie — formą świa-
tecznej rozrywki intelektualnej
dla tych, którzy w nawaie
spraw powszednich znajdują
czas także dla literatury.

Bodaj nikt nie spodziewał
się, że jednym z najbardziej
poszukiwanych bestsellerów ro-
ku 1987 będzie

KORAN

czyli święta księga islamu. Nikt
oprócz redaktorów Państwowego
Instytutu Wydawniczego, któ-
rzy zaproponowali edycję w
nakładzie 100 tysięcy egzempla-
rzy. Nie jestem w stanie obja-
nić fenomenu tego księgars-
kiego sukcesu u czytelników.
Co najwyżej mogę domniemy-
wać, że o runie na księgarnie
mogły zadecydować — po
pierwsze — egzotyka tekstu do-
łąd nieobecnego, na dobrą sprawę,
w przekładzie polskim
(pomijam tu tłumaczenie z ro-
ku 1858, praktycznie niedo-
stępne); po drugie, może wzrost
zaangażowania religioznaw-
stwem? I po trzecie, chyba naj-
bliższe prawdy, to fakt atrak-
cyjnego wydania „Koranu” w
rozchwytywanej serii Bibliothe-
ca Mundi. Ponieważ nie sły-
szalem wśród odbiorców li-
teratury jakichś dyskusji czy
choćby zwyczajnej wymiany
wiedzy na temat wartości „Ko-
ranu” mogę zgodzić się z opi-
nią, że kupowano go też jako
modny bibelot do regału w sa-
lonie.

Drugim bestsellerem mijają-
cego roku, również jak „Ko-
ran” poszukiwanym (z mniej-
szym jednak szczęściem, o
czym decydował tylko 30-ty-
sięcny nakład), była powieść
z PIW

IMIE RÓŻY

Umberto Eco

W tym przypadku jednak trze-
ba mówić o rzeczywistym su-
ksesie czytelników. Te powieści
czytają wszyscy. I ci, którzy
traktują literaturę jako relaks
i rozrywkę — i ci, którzy po-
szukują w jej obszarach inspi-
racji do rozstrząsań filozoficz-
nych i estetycznych. Dzięki
maestrli autora, który nie ba-
cząc jakby na współczesne roz-
terki warsztatowe powieściopis-
arzy stworzył powieść jedno-
cześnie tradycyjną i nowoczesną.
„Imię róży” trzeba wpisać
do kanonu najwybitniejszych
powieści XX wieku.

Miejsce swój bestseller w 1987
roku także czytelnicy z poko-
lenia młodszego i najmłodszego.
Była nim z całą pewnością
powieściowa fantazja, pięknie
wydana przez „Naszą Księgar-
nię”, czyli

NIE KOŃCĄCA SIĘ
HISTORIA

Michaela Ende

Ma ona dwa mankamenty: ni-
ski nakład (20 tysięcy) i wysoką
cenę. Ale też można ją zali-
czyć ze względu na oprawę
graficzną i edytorską do naj-

świetniejszych przykładów
właściwej roboty wydawniczo-
drukarskiej. O sukcesie u
czytelników zadecydował także
film, będący adaptacją tej fan-
tazji, znany naszej widowni z
dużych ekranów i wideokaset.
Film filmem, bo nawet gdyby
go nie było, przypowieść o
dzielnych Atreju jest historią
wspaniałą i fascynującą. Jest
przy tym historią mądrą i pou-
czającą.

Pozostając wciąż w ramach
tzw. literatury pięknej chciał-
bym do tej dziesiątki wpisać
dwie książki poetyckie. Pier-
wsza z nich to antologia prze-
kładów, opublikowana przez
Wydawnictwo Łódzkie w serii
Poezja Narodów Związku Ra-
dzieckiego pod tytułem

POEZJA ROSYJSKA
DO ROKU 1917

To najobszerniejszy wybór ro-
syjskiej twórczości poetyckiej
(tym razem do roku 1917, bo
będzie i tom poezji dwudziesto-
wiecznej) jak ukazał się kie-

nkąja przede wszystkim z
faktu, że żaden z piszących o
Lemle (może z jednym wy-
jątkiem — Jerzego Jarzebskie-
go) nie jest w stanie wspiąć
się na poziom przez autora „Fi-
lozofii przypadku” zapropino-
wany? Dotąd, dokąd pisał róż-
nych „Astronautów” i „Powro-
ty z gwiazd” było wszystko w
porządku. Teraz gdy Lem stwo-
rzył całkiem nowy model ois-
sarstwa fantastyczno-naukowe-
go (mniej w nim fantastyki a
więcej naukowej wyobraźni)
co może krytyk? Trzeba po-
wiedzieć wprost: powinien się
uczyć a nie wzruszać ramiona-
mi.

Jeśli już wśród krytyków
mam pozostać chciałbym zwró-
cić uwagę na książkę

OBLICZA
„WSPÓŁCZESNOŚCI”
Macieja Chrzanowskiego

sygnowana przez Młodzieżową
Agencję Wydawniczą. To bar-
dzo interesujący esej historycz-
ny nie bez naukowych poglę-

bień, który relacjonuje dzieje
ważnego w kulturze polskiej
po roku 1956 czasopisma. Dwu-
tygodnika, który nie tylko to-
rował drogę nowym i nowo-
czesnym tendencjom, ale i
stworzył w polskiej literatu-
rze jeden z najważniejszych jej
etapów (może szkół? może pra-
dów? — rzecz do dyskusji).
Wiele już na ten temat napi-
sano. Książka Macieja Chrza-
nowskiego staje się dla tego te-
matu opracowaniem podsta-
wowym.

Wydarzeniem współczesnego
literaturoznawstwa w Polsce
jest monografia

ŻEROMSKI
Artura Hutnikiewicza

która firmuje Państwowe Wy-
dawnictwo Naukowe. Przedmiot
monografii, czyli życie i dzie-
ło Stefana Żeromskiego stało
się ostatnimi laty jakby war-
tością archiwalną, interesującą
tylko historyków literatury
(pomijam licealistów, ci na o-
gół czytają to, co każą im gni-
i). Odeszło bądź odchodzi o-
kolenie, dla którego Żeromski
był autorytetem najwyższym.
Cenne i wybitne dzieło Artura
Hutnikiewicza może znieść
pokład kurzu i niechęci gro-
madzone na książkach Stefana
Żeromskiego oraz może zmie-
nić zdezorientowaną optykę
dzisiejszych nawyków czyteln-
skich.

Zamykam tę dziesiątkę pro-
pozycji, która może wielu
czytelników zbulwersować. Bo
nie będzie to żadna pozycja
książkowa a jeden z numerów
miesięcznika, tj.

„LITERATURA NA
ŚWIECIE” NR 5-6 —
HENRY MILLER

Wiele ma polska kultura lite-
racka zaległości, przemilczeń
bądź miejsc pustych. O przy-
czynach w atmosferze świa-
tecznych emocji i przebaczeń
nie będę pisał. Henry Miller,
jeden z najznakomitszych pi-
sarzy światowych XX wieku
był dotąd w Polsce nieobecny.
Jest nieobecny dalej, choć dzie-
ki redaktorom „Literatury na
Świecie” powstał w cenzorskim
i obyczajowym murze pierw-
szy, znaczny wyłom. Czy ten
mur skruszeje ostatecznie? Na-
razie wątpliwe. A jak mam my-
śleć w kraju, w którym od
miesięcy toczy się snór o li-
cealny podreżnik „Przyposo-
bienie do życia w rodzinie”,
ponieważ ktoś odważył się na-
pisać, że istnieje pociąg seksu-
alny i, że człowiek się rozmna-
ża łącząc genitalia przeciwnych
płci? A tu wiek XXI ante por-
tas!

W post scriptum jedno obja-
śnienie. Tekst ten powstawał
na przełomie listopada i grud-
nia. A wiadomo, że księgarski
wysyp przybiera na sile tuż
przed końcem roku. Może za-
tem, gdybym pisał ów felieton
trzy tygodnie później ta dzie-
siątka wyglądałaby inaczej?

ROZMOWY ZE
STANISŁAWEM LEMEM
Stanisława Beresia

mem Stanisława Beresia
opublikowane przez Wydawnic-
two Literackie. Tych i owych
krytyków może irytować om-
nipotencja intelektualna roz-
mówcy Beresia (chwała mu za
pomysł, ale w gruncie rzeczy
jest to książka Lema a nie Be-
resia). Jednak irytację te wy-

Każde miasto ma swój własny, niepowtarzalny, dany tylko jemu klimat. Z miastami jak z ludźmi, mogą być do siebie podobne, ale nigdy takie same. Bo nawet zapach, wbrew pozorom, w różnych miastach jest inny. Inaczej właśnie w tym mieście pachną jesienią ulice, inaczej parki w letni upał, inaczej wreszcie place, gdy zima wiatr po nich hula. Wszyscy mamy chyba te ulubione, w których czujemy się dobrze, do których chętnie powracamy, bo zostawiliśmy w nich jakąś część siebie, jakiś wspomnienie, co daje się wskazać tylko wśród tych murów i nigdzie więcej. Im miasto starsze, im więcej się w nim działo, tym więcej tajemniczych zaułków, kamienic, parków. Okryte najprzeróżniejszymi opowieściami, wydobywanymi często przez pisarzy, żyła jakby podwójnym życiem, przeszłością i teraźniejszością, zarazem. Niektóre tak silnie oddziaływały, że wystarczy mieszkać w nim przez jakiś czas, by przesiąknąć jego atmosferą i zabrać z sobą wszędzie dokąd, przędzie nam ruszyć.

W różny sposób miasta wpływają na twórców. James Joyce, na przykład, nie znośił Dublina, a właśnie na jego ulicach umieścił swojego Ulisesa. Za Wilnem do końca życia tęsknił Adam Mickiewicz. Wilno jest stałym elementem książek Tadeusza Konwickiego. Przykłady można by mnożyć, nie w tym jednak rzecz.

2.

Przed trzema laty przejeżdżaliśmy z żoną przez Lwów i zatrzymaliśmy się na parę godzin. Niestety, nie byliśmy wtedy do zwiedzania Lwowa przygotowani. Zaskoczeni, że udało nam się te trochę czasu uzyskać, na co nie liczyliśmy przed wyjazdem, nie zaopatrzyliśmy się ani w plan, ani w przewodnik po mieście. Biegaliśmy więc po ulicach trochę bezładnie, chcąc zobaczyć jak najwięcej. Po tej wyprawie pozostało mi w pamięci wrażenie miasta pełnego zieleni złączonej ze starymi murami, a wszystko razem utopione w jakimś przedziwnym, trudnym do wyrażenia, liryzmie, który można było chłonąć całym sobą.

W Łodzi, już z przewodnikiem i z mapą Lwowa, ustaliliśmy, co udało nam się zobaczyć, obok jakich rzeczy przechodziliśmy tuż, tuż, nie wiedząc, że są dosłownie o krok. Ale wędrowka po planie miasta miała swoje dobre strony; po raz drugi stanęliśmy we Lwowie, co było wielce przyjemne i przy okazji powstał pomysł napisania tego tekstu.

3.

Iluz poetów pisało o Lwowie? Pisali ci, którzy w mieście owym żyli przez wiele lat i związali się z nim na stałe, pisali także, ci, którym przyszło przebywać tutaj przez czas krótki.

Lekko, jakby skacząc po ulicach Lwowa pisał o nim Kornel Makuszyński. Ot choćby w wierszu pt. „Zegary Lwowskie”. Jeden jest tylko w ślicznym mieście Lwowie Zegar, co bije przez czasem, Bo przed wszystkimi zawsze się opowie Bernardyn, dźwięczący basem.

Lecz, choć się wcześniej ogłasza o chwilę i tym od wieków już słynie, Ratusz z urzędu pierwszy jest i-tytel! Potężny nasz bernardynie!

Młody poeta Tadeusz Hollender, z nutką buntu przeciw krzywdzie ludzi biednych układał strofy o mieście: Są wędrowki w te noce. Od kraniec po kraniec, ogrodów i zaułków zawiliły różniane, kamienny kwadrat rynku, a potem z kwadratu pełne, gwiazdy, rozgwieżdż, mrok ssie tręś

plakatów stało cieni przemijającego starego rynku, i mrok zachrapie głucho harmoniami szynków. Brzmi piosenka przedmieścia. — Podać przedmieście, za wiele tu tych domków, w różach i agrestie, za wiele willi, ganeczków, złych pieszków na straży,

za wiele prostytutek... Tęsknił za miastem Kazimierz Wierzyński, smutno o nim pisała smutna Maryla Wojska, miłość mu wyznawał Kazimierz Zbierzchowski. I tak dalej poetów jest wielu, trudno byłoby wszystkich wymienić, trudno wiersze wszystkich odnaleźć.

Istnieje także zasadnicza różnica między wierszami pisanymi w okresie międzywojennym (choć do naszego wieku tylko się ograniczam) a tymi, które powstały już po wojnie. W tych drugich, czemu trudno się dziwić, zaczyna dominować nostalgia. Wiele w nich wspomnień z okresu dzieciństwa i młodości, zadumy nad mijającym czasem. Ciężko wspomina Lwów w wierszu pt. „Moje miasto” Zbigniew Herbert. Wielka tęsknota wylewa się w pisanie Mariana Hemara. Balak, czyli lwowska mowa, przywołuje emigracyjny pisarz i poeta Andrzej Chciuk:

I w serce spłynął miód i balsam, gdy słyszysz kiedyś ktoś bakała o meszach, szóstkach i miglancach, że ten Pitoklu szac chłopaka, że się telepie tramwaj w szynach, że ktoś w temudzie ręcznik trzyma, że ów trembulkę zjadł i śmagał potem wyszczył. Ze mną magiel ktoś spuścił lekki z innej sioły, że plany chabai się przeliczył i szparę znalazł, skąd sztemplu gładu i sam przed sobą gorzki z wstępu ujmie to zdaniem pełnym czaru: „Ta po coś zalał tu, batiaru, tutaj na Gródku insza chetura jo, stać gelażig masz trzy żebra...”

A przykładem, że o Lwowie poeci nie zaprzestali pisać, nawet ci z młodszego pokolenia, jest wiersz Adama Zagajewskiego pt. „Jechać do Lwowa”.

Zastanawiam się, bo może Lwów to nie tylko konkretne miasto, może to pewna formacja ludzi, pewien sposób myślenia i widzenia świata. Tak to ujął Stanisław Vincenz:

„Lwów nie jest w przestrzeni, gdzieś z tamtej strony Sanu, ani nie ogranicza się do okresu lat przedwojennych czy innych. Lwów to zamiar, obietnica i możliwość”.

I jeśli tak, to ma rację Adam Zagajewski, kiedy kończy swój wiersz: I jechać bez tchu —



Stare miasta mają w sobie dziwną moc.

Pisali lekko, jakby skacząc po ulicach Lwowa

TOMASZ A. WŁODKOWSKI

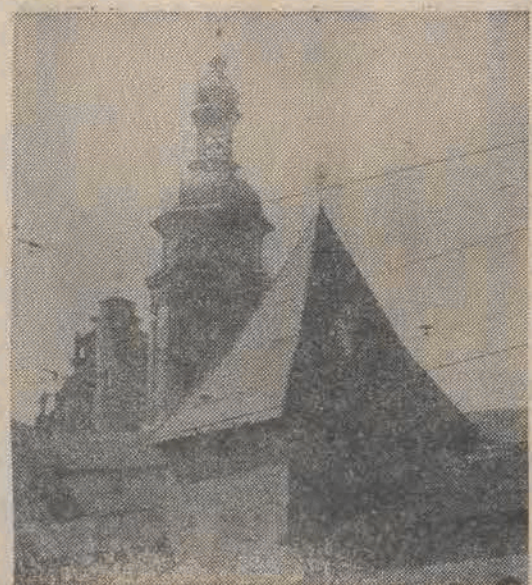


Foto: autor

Jechać do Lwowa!... Przecież istnieje! — Spokojny i czysty, jak brzoskwinia... LWÓW

JEST WSZĘDZIE...

4.

Wiele jest też o Lwowie w różnym czasie pisanych wspomnień. Mnie zainteresowały bardzo dwa napisane po wojnie Józef Wittlin jest autorem niewielkiej pracy pt. „Mój Lwów”. Stanisław Vincenz natomiast napisał „Dialogi Lwowskie”. Rzeczka wspólna dla obu autorów jest niezwykły spokój, delikatność z jaką patrzy w przeszłość i wydaje się, że te zalety z wielką mocą pozwalają pisarzom przeniesić się w czasie i podciągnąć nas, czytelników, za sobą.

Zacznijmy naszą wyprawę od Józefa Wittlina. On to bez emocji, co by słowa mogła zmącić, może tylko z leciutkim drżeniem serca zagłębia się w lwowskie ulice. Jego Lwów jest często miastem jeszcze sprzed pierwszej wojny światowej, miastem, które leży w monarchii austro-węgierskiej. Miasto więc żyje, jest początek XX wieku, na rogach ulic stoją policjanci w czarnych czapkach, z pałasami przy boku, ale Józef Wittlin na tych obrazach nie poprzestaje, co i rusz przenosi się dalej w przeszłość, przywołuje historyczne postacie, potem powraca na chwilę w teraźniejszość, by się zadumać:

„Gdzie jesteście ławki lwowskich parków, aczerńskie od starości i deszczu, chropawe i popękane, jak kora średniowiecznych, oliwnych pni? Pokolenia szczyrzyków ryły na was imiona kochanek, jedynie dziś może pamiętki po starożytności, pochowanych na Janowskim lub Łyczakowskim cmentarzu. Gdzie jesteście dzisiaj?”

I już po chwili odbija się do czasu teraźniejszego i znowu jesteśmy w parku w centrum miasta i orkiestra gra walc, ludzie przechadzają się wśród kwitnących kasztanów, jest wiosna roku... Ech! Nieważne którego roku! Józef Wittlin przyjeżdża do Lwowa z Łodzi, bo w Łodzi zamieszkał od 1922 roku i objął stanowisko kierownika literackiego Teatru Dramatycznego, ale Lwów pozostał w nim na zawsze i z wielką radością często do niego powracał i określał siebie jako marnotrawnego syna tego miasta. Pociąg zatrzymuje się na dworcu, pięknym zresztą bardzo, pełnym kandelabrow, luster i złocen. A on rusza w miasto. My za nim. Naprzód więc!

Najpierw kościoły, bo tych w mieście wyjątkowo dużo i ogromna ich różnorodność. W jakim innym mieście szukać aż trzech katedr? A we Lwowie były właśnie trzy: łacińska, grecko-uniicka i ormiańska. Najmłodsza jest, powstała w XVIII wieku, grecko-katolicka cerkiew, pod wezwaniem św. Jura. Najładniejsza, jeśli wierzyć opisowi Józefa Wittlina prezentuje się wiosną; zresztą zobaczmy sami:

„Szczególnie zachwyca wiosną, gdy się wnoszą

ponad bujną zielenią parków i kościołem osypanych sadów, co łagodnymi stokami owijają się dokoła dolnych kondygnacji katedry. Okadzone wszystkimi wonnościami szczytów lwowskiej primavery — podrywa się ta świątynia ku obłokom niby symbol niebiańskiego triumfu nad udrękami ziemskiego bytowania”.

Wielka szkoda, że podczas mojej bytności w mieście na wzgórzach rozłożonym, nie udało mi się owej katedry zobaczyć. Łacińska katedra jest mieszana w stylu, niby gotycka, ale baroku w niej też wiele. Obok katedry duże wrażenie robi pełna kamiennych rzeźb kaplica Boimów. Jest i cerkiew Wołoska, na dziedzińcu, której byłym i naprawdę trudno mi się było stamtąd oddalić. Przy cerkwi stoi wysoka wieża, z niej to niegdyś słychać było dźwięk najpotężniejszego lwowskiego dzwonu Kiryiem zwanego. I jak się dobrze przysłuchasz szumowi kasztanów, których tu wszędzie pełno, to jeszcze teraz możesz go usłyszeć. Taka już natura, że w swoich konarach skrywają dłużej dźwięki z przeszłości.

Józef Wittlin wspomina także barokowy kościół Karmelitów, który położony jest na wzgórzu i wchodzi się do niego po wysokich schodach i szkoda tylko, że nie jest ów kościół w najlepszym stanie. Autor zachwyca się, może najbardziej, barokowym również kościołem Bernardynów. Baroku we Lwowie dużo i jeśli ktoś lubi ten styl, to czuje się tutaj świetnie. Ale gdyby Józef Wittlin chciał opisać wszystkie kościoły, cerkwie i synagogi, które są w mieście, musiałby chyba osobną książkę napisać. Bo „kto w Bogu wierzył, mógł się we Lwowie modlić a modlić”.

Tymczasem jednak i o innych rzeczach trzeba wspomnieć. Było we Lwowie sporo różnych pomników i im też Józef Wittlin poświęca trochę miejsca. Prawda jest przecież, że kamienne postacie żyły z miastem bardzo i nikt nie można wyobrazić sobie placu czy ulicy bez nich. Oto jak ładnie w „Mojm Lwowie” opisany został pomnik Adama Mickiewicza:

„Na wysokim piedestale, u stóp strzelistej różowej kolumny, skromnie przystanął Mickiewicz. Szeroka bunda pielgrzymów tradycyjnie okrywa jego wąskie barki. Głowa odkryta. Nikt jeszcze nie widział Mickiewicza w kapeluszu. Jakaś ta skrzydłata, przystojna na pół rozebrana kobieta sfrunęła z dachu kamienicy Sprechera i przylepiwszy się w locie do kolumny, podaje zdumionemu wieńczycowi ów antyczny instrument, na którym ani on, ani żaden inny literat nigdy nie grzał...”

No, ale przejdźmy może, idąc oczywiście cały czas tropem Józefa Wittlina, do rzeczy bardziej przyziemnych. Było w mieście i knajp różnych co niemiara. I nie tylko te najlepsze są opisane, autor zachodzi do szynków i piwiarni, gdzie schodził się najdziwniejsze postacie, co z władzą często miały na piękno. A potem do cukierni, owocarni, sklepu z herbatą i kawa zairzęd trzeba, po drodze może jeszcze do antyki wpaść, bo one też wielce osobliwe były w mieście. Bo przecież „lwowskie apteki, szynki i owocarnie przepłynęły ocean i po tylu latach trwają jeszcze we mnie, wciąż żywe i blogie” — pisał autor.

Józef Wittlin tworzy osobisty przewodnik po mieście. Wymienia miejsca ulubione przez siebie, opisuje miasto, ale nie zapomina także o ludziach. Na swoich kartkach wielu przewraca życie. Znowu w kawiarni grają w karty, spacerują po parku Strylskim, chodzą do kościołów, uśmiechają się do nas poprzez czas. I kogoż tu nie ma? Sa poeci, pisarze, dziennikarze, profesorowie, aptekarze, drobni sklepikarze, bandyci i żebracy. A za największą osobliwość miasta uważa Józef Wittlin koleżeństwo. Pisze o tym tak:

„Nie szuka się ludzi, gdy się należy do tego samego klanu, narodu, partii, kiedy nas łączy te same umiłowania i wstępy. Miłość, przyjaźń i koleżeństwo zaczyna się dopiero tam, gdzie wykulturowa na tle jaskrawych nieraz różnic i przeciwności”.

I w tym miejscu następuje opowieść jak to w czasie walk polsko-ukraińskich jego kolega gimnazjalny Ukrainiec Zenon Rusin przerwał ogień w jednym z punktów miasta, by on mógł się dostać do domu. Stanisław Vincenz w swoich „Dialogach Lwowskich” porusza ten problem często i już na początku pracy napisał:

„Myśli się jakoś, że istnieją regiony, kraje i miasta, które spełniają „zadanie” zbawienne, kiedy zbliżają, łączą, a zawodzą i marnują, kiedy dzielą i różnią”.

Istnieje różnica między wspomnieniami Józefa Wittlina a Stanisława Vincenza. Otóż u Wittlina najpierw jest miasto i dopiero później na jego tle, wśród ulic, placów, sklepów, pojawiają się ludzie. Vincenz na pierwszym miejscu stawia ludzi, nie ma u niego ulic, nie ma kościołów i parków — są ludzie, i poprzez nich właśnie autor oddaje niepowtarzalny klimat Lwowa.

5.

Trzy były główne żywioły we Lwowie: polski, żydowski i ukraiński i wszystkie znalazły swoje miejsce na kartkach wspomnień Stanisława Vincenza. Wszystkie! Bez wzajemnych urażeń i niechęci. Wiemy przecież dobrze, że rozmaitości z tym bywało, niemniej jednak Vincenz próbuje wydobyc i ująć mu się to bardzo dobrze, pozytywne strony bycia obok siebie trzech narodów.

Podajmy więc spokojnie i po kolei tropem autora „Dialogów Lwowskich”. Już po wojnie, w wędrowce po Włoszech, przychodzi Stanisławowi Vincenzowi analogie z Polską, z naszymi miastami, ludźmi i oczywiście pojawia się Lwów. Ile w tych zapiskach, jak zawsze zresztą u autora „Na wysokiej poloninie”, spokoju i piękna:

„To i przenosząc się na chwilę do Lwowa, nie ma się ochoty poddać się odruchowi niesmacznemu, który Dante nazwał „placem po bolońsku”, czyli, biorąc w analogii, wcale nie stosownie byłoby płakać jakoś po lwowsku, chociaż niestety takiemu odruchowi ulegają czasami uchodzący tacy czy inni ze Lwowa. Przeciwnie, te wspólnoty przenoszone na skrzydłach cieszą nas i pocieszają, że istnieją sprawy trwałe, a piękne, wzniecone ponad zmartwienia jednego lub dwu pokoleń”.

Swa lwowska galeria postaci Stanisława Vincenza rozpoczyna od profesora Kazimierza Bartla. Ciężko bardzo pisać o tym, jak go określa, poli-

tyku z przypadkiem i podkreśla szczególnie jego postawę wobec problemów narodowościowych. Uważa, że jego mowa wygłoszona w Senacie przeciwko agresywnej postawie niektórych studentów w stosunku do swoich kolegów zawierała akcenty prorocze, przewidywał on w niej bowiem przyszłość okropnych czasów. Słowa jego potwierdziła wojna.

Stanisław Vincenz wśród Żydów Lwowa miał ogromną rzeszę przyjaciół i swymi „Dialogami” składa hołd temu światu i ludziom, których już nie ma, których zabrała wojna. A jakie różne to były przyjaźnie. Jest Ostan Ortwin, wybitny krytyk literacki, z którym Stanisław Vincenz nieraz prowadził dialog. Był on przede wszystkim człowiekiem literatury, oddanym całkowicie polskiej literaturze i oddanym także Lwowowi. To jedna z najbardziej oryginalnych postaci miasta, zakochany w nim do tego stopnia, że o druk swoich artykułów nie zabiegał w innych regionach kraju. Podobnie jak profesor Kazimierz Bartel, tak też wielu Polaków i Żydów oddało życie we Lwowie.

Stanisław Vincenz miał także serdecznych przyjaciół wśród miejscowych syjonistów. W dzienniku syjonistycznym „Chwila” prowadzonym przez Henryka Heszelsa drukował nawet fragmenty I tomu „Na wysokiej poloninie”. I pismo to, tak twierdzi Vincenz, stało się „miejscem spotkań i kontaktów polsko-żydowskich”. Zdarzało się, że drukowali w nim katolicy teologowie.

Ładne są wspomnienia dotyczące matematyka Blumenfelda, u którego w domu dochodziło do spotkań i wielogodzinnych intelektualnych dysput. Zaczęły się owe spotkania jeszcze w trakcie pierwszej wojny światowej, później były kontynuowane i uzyskały nawet dla siebie specjalną nazwę: podwieczorki matematyczne. Zna Blumenfelda, pani Stasia, była kobieta, która pomagała bardzo w zakładaniu młodych (bo przez młodych prowadzonych) tygodników literackich. Autor przy tej okazji wymienia dwóch młodych, których najlepiej zapamiętał. Byli to Tadeusz Hollender i Karol Kuryluk. Ten ostatni był inicjatorem napisania przez Stanisława Vincenza wspomnień o Lwowie. Zwrócił się do niego z tą propozycją w roku 1939. Miały być wydrukowane w kraju pod redakcją Karola Kuryluka w zbiorowej księdze poświęconej Lwowowi. Niestety, nigdy ta inicjatywa nie została podjęta. Ale Stanisław Vincenz wywiązał się z zadania i swoje „Dialogi” napisał.

W spotkaniach z Tadeuszem Hollenderem i Karolem Kurylukiem czas miał na rozmowach. Bo żywiołem Stanisława Vincenza, podobnie jak jego serdecznego przyjaciela Blumenfelda i nie tylko jego z owego towarzystwa, był dialog. Dialog, by tak rzec, tworzył, prowadził do konkretnych podsumowań, które nierzadko krystalizowały się ostatecznie w pisanie.

Potrącił Stanisław Vincenz rozmawiać z wszystkimi, nie miał żadnych uprzedzeń. Twierdził, że w każdym, nawet najgorszym człowieku, tkwia dobre pokłady w duszy, które trzeba tylko wydobyć. W obecnych czasach brzmi to jak bajka, ludzie o różnych poglądach raczej nie chcą z sobą rozmawiać. Ale przecież Vincenz potrafił dyskutować nawet z wrogami i to w czasie wojny. Można więc zawsze, jeśli się tylko chce,

6.

Wróćmy do „Dialogów Lwowskich”. Nie napisałem przecież jeszcze o jednym narodzie: ukraińskim. O stosunku Ukraińców do Vincenza najlepiej powie taki fakt. Piotr Dunin-Borkowski, serdeczny przyjaciel autora spotkał go na ulicy i powiedział:

„Stary Zajackowski (prezes Narodni Torhowli) szuka ciebie, bo przyjechał jakiś Anglik i będzie zaraz u nich w Narodni Torhowli na podwieczorku. Chciałby mu pokazać tych Polaków, którzy dopuszczają swobodną dyskusję w sprawach polsko-ukraińskich, i może takich, którzy by potwierdzili słuszność ukraińskich żądań”.

O uczuciach, jakie żywił Stanisław Vincenz do narodu ukraińskiego świadczy jego wielkie dzieło pt. „Na wysokiej poloninie”. Ale przy okazji przytoczę wspomnienia syna pisarza Andrzeja Vincenza, na spotkaniu z którym miałem okazję być niedawno. Otóż mówił on, że po jego urodzeniu matka dostała od swojego męża tom wierszy Tarasa Szewczenki. Postawiona została także przed swym ostatnim ultimatum, a mianowicie takim, że musi nauczyć się huculskiego, gdyż w przeciwnym razie ma rozwieść się z nią. Dużo w tym oczywiście żartu, ale matka Andrzeja potrafiła całą sprawę poważnie i nauczyła się, jak wspomina syn, z okropnym kongresowym akcentem (pochodziła z Piotrkowa Trybunalskiego).

7.

I już na zakończenie refleksja: nie może być dialogu, jeśli istnieje nienawiść. Rozmowa, by przynosiła jakiś pożytek, musi odbywać się w atmosferze, a przynajmniej chęci, wzajemnego zrozumienia, jeśli nie ma takiej atmosfery, dialog jest trudny. Napisał Stanisław Vincenz:

„Raczej należy spodziewać się, że ludzie sami w opamiętaniu przed groźącym zniszczeniem zdecydują się na rozbiórke fortei i baszt nienawiści. I zaczyna od czegoś na pewno dobrego, co już znali i co teraz może wydać im się rądem. To może być nauka ze wspomnień o Lwowie. Odsunąć dla tej nauki wszelkie kierunki, organizacje, obozy, które zapewne nauczały dobrze, ale nie czyniły dobrze, i przyswoić sobie wskazówki z lektury gimnazjalnej Antygony tak mów: „Jestem z tych, co kochają, a nie z tych, co nienawidzą”. Trudno o nowotwory proste, a przy tym mniej „biologiczne”.

Cóż więcej można powiedzieć?

Wigilie Bożego Narodzenia o godzinie piątej, wieczorem było już ciemno: padał śnieg; na o-pustoszonych i glu-chych ulicach nie ujrza-les tego złowieszczo roku i tej fatal-nej zimy ani jednego pijaka, który, skoczywszy pracę, wstąpiłby z kolegami do baru na jednego, aby zrobić sobie małą uroczystość przed świętecz-ną kolacją. Bary, restauracje i kawiarnie już od dawna były zamknięte, a gdyby nawet o-tyły otwarte, i tak miałyby tyl-ko do zaferowania paskudny bulgacski sos owocowy, gesty jasne i łagodne i słodki jak przy-jaźń między narodami, które pałają do siebie braterską mi-łością, ale tylko na łamach czasopiśm.

Naród krwawił wszystkimi porami — pęknięty, podzielo-ny sponiewierany, rzucony na kolana przez parszywe ambi-cje i parszywy los. Brat gotów był udusić brata, przyjaciel pił na widok przyjaciela, ciu-ściły wyrzekały się ukocha-nych siostrzeńców, córki zło-rzyczyły ojcom, a mściwi sy-nowie ciskali zaharowanym matkom w twarz „Boże coś Polskę!”

Zaprawdę, podły to był rok i podła zima — tak dla ludzi, jak ptaków i psów. A przecież ze srodmiejskiego parczyska, zaciągniętego całunem białego puchu, wyszedł nagle i zagłę-bił się w ulicę Lotników czło-wiek pogodny. No, patrzcie! Idzie to i gwiżdże! A na chudych nogach ma adidasy. A na ramionach czarne, suplowa-te palto. A na piersiach coś jakoby garb.

Skreślił w lewo, w główną arterię miasta, minął Pizzerię, kawiarnię dla niepalących i sklep meblowy; stanął pod ścianą Manhattanu i po krót-kim, lecz owocnym namyśle za-atakował zwarty maszyn dwu-dziestopiętrowych murów z drugiej strony, od podwórka niejako, tak, aby okrążyć o-siedle wzdłuż ulicy pisarzy-no-blisty, przemknąć jedną kwad-rą alei największego wieszca narodowego i wejść od razu na drugą klatkę schodową, gdzie, jak pamiętamy, rzadziej urzędowała pyskata i wścib-ska dozorczyń.

Tym razem wszelako owa zacna i pracowita niewiasta zbierała skurat po mieszka-niach wigilijna dziesięcinę, że-by, zarobić powolutku na fut-ro i na samochód, no i tak się dziwnie złożyło, że rozpoczęła te ze wszelch miar godną po-dziwu akcję od klatki drugiej. Stała z mężem w mrocznym korytarzu za windami, oby-dwoje cisi i niewidocznii jak śmierć ślinili palce i liczyli uzebrana gotówkę, na widok której rozkwitały ich pocziwe serca. Wiedli przy tym ze so-ba szeptliwy dialog:

— Kowalski dał tysiąc.
— Wiśniewski też dał tysiąc.
— Ale popatrz, Stefós, do-cent, niby taki pan, wypcha mi do łapy stówę.
— Czego ty się spodziewa-łaś, kobito? Przecież nim on został docentem, rozwoził gno-i na polach. Wsiók to wsiók. Jeszcze mu słoma wylazi z butów.

— A ten jego chłopak! Jakie to ważne!... osepione!... w szlafroku siedzi na fotelu i kawke popija! Studenciak wielki!

— Barachło.
— Ty! Za to ta Walczako-wa, wiesz, z szesnastego, po-częstowała mnie ciastem i buch piąsota

— Kultura!
— Tak jest. Ile wziąłeś od aktorki?

— Nie.
— Jak to: nie?
— Nie było jej w domu.
— Może była, ale nie mogła otworzyć.

Rechotał chwilę, szczęśliwi i ubawieni, po czym podjęli rozmowę:

— U Rychtersa siedział jakiś zagranicznak
— Po jakiemu gadał?
— Bo ja wiem?
— Bynajmniej należy to od-meldować, ale...

— Co?
— Przyciśnij Murzyna i Ara-bów z naszej klatki.
— Sam ich przyciśnij.
— Lepiej jak wejdzie kobie-ta. Niech by dała tylko po do-larze

— Stefek!
— No
— Chcę se kupić szampun w Pewexie.

— Szampun można kupić na rynku, a dewizy będą na bryczke

— Jezu, Stefek, malucha be-dziem mieć własnego — ma-rzyła dozorczyń

— Malucha własnego, to ja już mam. Teraz potrzebuje mieć samochód — odpowie-dział dozorca.

Usłyszeli ciche, skradające

się kroki w hallu wejściowym. Ktoś szedł do windy. Spojrzeli na siebie bez słowa i ruszy-li na spotkanie nieznajomego. Gdyby ujrzał ich teraz któryś ze szkodliwych lokatorów, wie-działby, iż nie na próżno wręczył im święteczny bakszysz. Przypominali parę gonczych psów, które wyczuły nieomył-ny węchem iup Nozdrza do-zorczyń i zacięły się i poślady-ły; dozorca zacisnął łapska.

Wówczas pakował już pierw-szą nogę do windy, kiedy rzu-cił się na niego z wrzaskiem. Zeszmagała czapka spadła na posadzkę w pięciym wio-sach chłopaka ugrzęzł sprag-nione mordu palce zacnej do-zorczyń, zacny dozorca tym-czasem strzelił dzieciaka na oświe w biedną, zimną, po-krętą piegią twarz.

— Mówiłam ci, skurwysynu, ostrzegalam — syczała dozorczy-ny — że jak przyłapię cię tu jeszcze raz, zawołam mi-licję!

— Jazda! — Dozorca pod-niósł nieomal chłopaka z zie-mi i zaczął taszczyć do oszko-nego pomieszczenia, w którym był telefon.

Otworzył drzwi i pchnął o-fiarę z taką siłą, że chłopak przeleciał jak torpeda portiernię i wyrznięt czołem w betonowy słup.

— Dzwoni na Komendę! — popędziła męża dozorczyń.

— Nie. Zawolał Stelmasz-czyka.

— No to już!
Dozorca podniósł słuchawkę. W dwie minuty później wkró-czył do portierni mieszkaniec Manhattanu, plutonowy Roman Stelmaszczyk.

Był w garniturze, w krawa-cie; w kieszonce marynarki kipiała chusteczka. Widząc za-krwawione czoło chłopca, ścia-gnął brwi i zapytał leni-wie:

— Co jest, pani Bartosiko-wa?

— Złodziej!

— Pani to naprawdę troszczy się o ten dom. — Pokiwał z uznaniem zgrabną, modnie o-strzyżoną głową, a jego przy-stojną, trzydziestoletnią twarz wykrzywił zagadkowy uśmiech.

— Kogo okradł?

— Na razie, to może jeszcze nikogo, bosmy go wcześniej zia-pali — oświadczył z dumą dozorca.

Dozorczyń dodała:

— Szwenda się tu od kilku dni.

— Przyłożyliście mu trochę?
— Wyrwał się, to trza mu było przyłożyć — stwierdził dozorca.

— Jasne! — powiedział Stel-maszczyk i do chłopca: — Jak się nazywasz?

— Janek.

— Nazwisko?

— Kuc.

— Ile masz lat?

— Tysiąc.

— No proszę. — Plutonowy podniósł obydwie ręce i pod-szedł do chłopca, który skulił się jak zwierzątko pod ścianą. Drżał. Gdzieś z głębi płu-c buchnął krótki, spazmatyczny szloch.

— Niech pan mu nie żaluje, panie władzo! — podpuszczał dozorca

— No pewnie! Co mu będę żalował! Jest Wigilia, zaraz u-rodzi się Chrystus, wszyscy za-czną śpiewać koledy, a zwi-erzęta przemówią ludzkim gło-sem, więc godzi się zmasakro-wać trzynastoletnie dziecko.

Dopadł chłopaka, który za-słonił się lokciami, zgarnął w stalowy uścisk prawej pięści obydwie ręce wódcę, a lewą wyciągnął z kieszeni białą, sa-tynową chusteczkę i przyło-żył delikatnie do piegowanego, zakrwawionego czoła, na któ-rym wykwiłał już czarny, o-gromny, podkrążony śliniaki guz.

— Spokój, mały — szepnął.

— Psecie...

— Nie będę bił.

— Panie...

— Nie będę — elagnął mi-licjant — choćbyś był nie-wiem jakim złodziejem.

— Zaden ze mnie złodziej, panie władzo.

— Tym lepiej dla ciebie, a gorzej dla tych, co dali ci szkołę. — Spojrzał na dozorczy-nię, przeniósł wzrok na do-zorcę i kręcąc głową, cedził przez zęby: — Jeszcze raz! Jeszcze raz coś takiego się zda-rzy, a zapuduję, za samowolę, a za łapówki, za melniar-stwo.

Dozorczyń i dozorca przypo-minali teraz dwa słupy soli w kopalni „Wieliczka”. Ciała ich były nieruchome; poruszały się tylko gałki oczu — płochliwe, wystraszone, badające się na-wzajem i szukające jeden u drugiego ratunku.

— Panie władzo — zaciągnął płacizliwie Bartosik. — My nie chcieli!... My, pan władza rozu-mie, nie można dopuścić, żeby różne obce włóczybruki...

Urwał, ale trafił we właści-wą nutę, która niezwłocznie podchwyciła żona:

— ...wiarnują się do komó-rek, plugawia ściany, wykre-cają żarówkę, zdzierają wy-kładziny w windach... Niby nowy blok, a wygląda jak ru-ina.

Plutonowy, z którego opad-ła już pierwsza warstwa emo-cji, pokłwał wysokim, zmarsz-czonym czołem i zwrócił się do chłopca:

— Co tu robisz?

Mały milczał.

— Czego szukasz w tym do-mu?

Nie było odpowiedzi.

— Chodzisz do szkoły?

— Tak — przemówił wrzes-cie Janek.

— Więc masz chyba jakąś legitymację?

— Mam, ale zostawiłem w domu.

— Gdzie mieszkasz?

— Na Karolewskiej.

Milicjant westchnął. Trzeba było zapomnieć na razie o Wigili i w gronie rodzinnym. Mógł wprawdzie machnąć ręką

mu źle. Było mu ciężko, ale musiał robić swoje.

— No cóż — powiedział. —

Zadzwońmy na Komendę.

Zauważył nagle, niepokojący błysk w źrenicach małego. Chłopak spłótł się, sprężył pod betonowym słupem, gotów ru-nąć do ucieczki. Lewą nogę wysunął, prawą, zgiętą lekko w kolanie, oparł o filar, stopa w miękkim obuwiu wypreżyła się jak u biegacza; zmrużył żółte, kocie oczy, zacisnął pięści; od-dychał szybko przez nos. Sza-cował chłodno dystans dzielący go od drzwi i pozycję wro-gów. Widział między nimi lu-kę i widział szansę. Trzeba o-biec dozorczyń z prawej strony, a jeśli ruszy się bab-sko, dać jej w łeb.

Plutonowy przejrzał jednak zapędy dzieciaka.

— Nie z tego, chłopcze — mruknął.

— Co zem panu zrobił?

— Sprawdźmy cię i odwie-ziemy do domu. Jak wszystko będzie w porządku, nie musisz się bać.

Podniósł słuchawkę i dotknął ręką tarczy czarnego, ebonito-

przerwy spoglądała w okno i wypytywała rodziców, czy weszła już pierwsza gwiazd-ka.

Lekarka zerknęła na męża poruszając lekko brwiami. Był to znak, że czas już zamknąć się w łazience i przebrać za Mikołaja. Stelmach nie zdążył jeszcze wstać, kiedy zadzwonił telefon. Podeszedł do stojącego w korytarzu aparatu i rzucił w mikrofon:

— Słucham!

Siedząca tyłem do drzwi Malgosia odwróciła głowę i obserwowała uważnie zmarsz-czoną, nieprzyjemnie zdziwioną twarz ojca. Szepnęła zgrzyli-wie:

— Benek

— Cicho bądź! — upomniła ją matka.

— Nie pozwolisz mi chyba dzisiaj wyjść?

— Ojciec sam sobie na to nie pozwoli.

— Nie jestem taka pewna.

— Malgosiu!

Inżynier posłał córce z ko-rytarza szybkie, zagadkowe spojrzenie.

— Chwileczkę, zaraz to

tradycji czekały na niespodzie-wanego gościa. — Powiedz im, Andrzeju, że na niego czekamy.

— Halo? — inżynier odkrył słuchawkę.

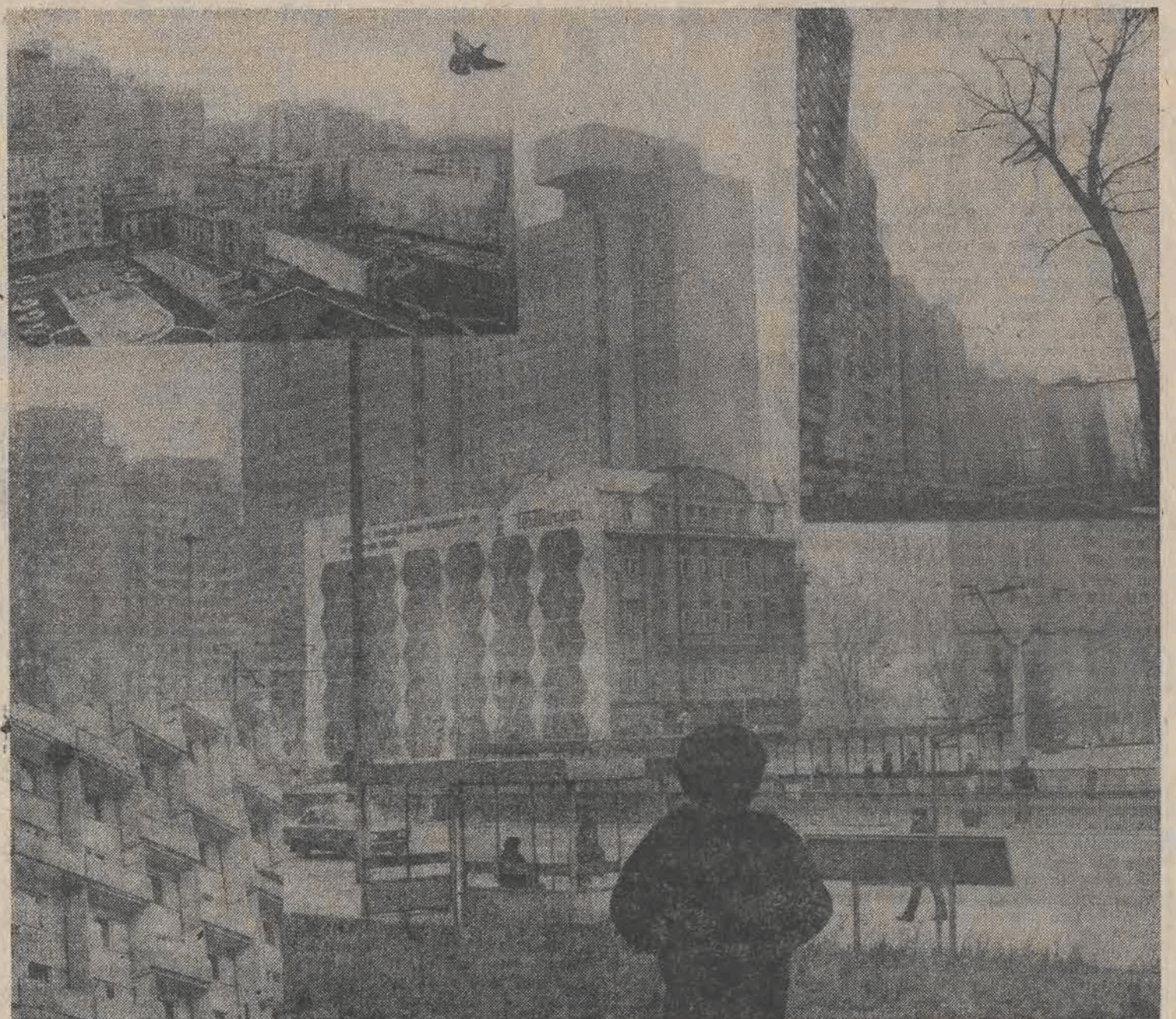
— Zaraz tam będę. Córka rzeczywiście zna chłopca i za-prosiła go na kolację.

Kiedy do hallu drugiej klat-ki schodowej wkroczył inżynier Stelmach ze swoją starszą, u-rodziwą córką, plutonowy Stel-maszczyk wciąż trzymał w re-ku zakrwawioną chusteczkę, chłopak wciąż opierał się o słup, gotów do skoku, a ma-łżeństwo Bartosików tkwiło przy drzwiach portierni z minami, które świadczyły, iż obydwójce marzą tylko o tym, aby już mieć całą tę cholerną przegadę za sobą.

Stelmach i Malgosia przy-rzeli się pobitemu chłopcu. Guz na czoło urosł i zsiniał o dal-sze pół tonu, w brwiach wi-dać było grudki krwawiejącej krwi. Oczy Janka, nłochliwe i zawstydzone, uciekały na boki czując wszystko, aby nie spot-kać się tylko z oczami inży-

Sam wśród ludzi — złych i dobrych. To straszne, gdy ma się tylko 13 lat.

Król Manhattanu



i puścić chłopaka — co na pewno przyjąłoby z ulgą Bar-tosikowie — ale nie pozwalał mu na to milicyjny regulamin i silne poczucie obowiązku.

Kto wie, co to za ptaszek? Patrzył na nędzny, brudny, może i zapchłony paltot, na dziurawy szalik i przemoczony adidasy.

— Masz rodziców? — zapy-tał.

— Ojca.

— A matka?

— Nie żyje.

— Co robi ojciec?

— Pracuje — odparł nie-chętnie włóczęga.

— Gdzie?

— Na różnych budowach.

— Jest murarzem?

Mały przytaknął niewyraź-nie.

Ano — pomyślał plutonowy mógłbym żyć z grubsza od-tworzyć życiorys ojca. Wino, wódka, dziwki, awantury, głód, chłód, dziurawy dach i pozna-żone zaciekami ścian. I teraz ja muszę być dobrym wuj-kiem. Muszę zabrać chłopaka z ojcowej meliny i umieścić w Milicyjnej Izbie Dziecka, a jeśli coś przeszkobił — w za-kladzie poprawczym. Muszę zamienić mu jedno piekło na drugie.

Otari ręce; przyjrzał się za-krwawionej chusteczce, a po-tem koszowi na śmieci. Było

wego aparatu. Twarz chłopca zasnuł cień paniki, spod któ-rego wolno, wolnusiensko wy-kwitł desperacki, lekko jakby zdziwiony uśmiech.

— Czekaj pan! — krzyknął.

— Chcesz mi coś powiedzieć?

— Tak.

— No to mów — skrzywił się milicjant.

— Ja zem tu zaproszony.

— Przez kogo?

— Psez koleżankę.

— I wiesz może, jak ona się nazywa? — dopytywał z iro-nią Stelmaszczyk.

Poharatana, czerwona dłoń włożyła zginęła za pazuchę paltła i gmerała w wewnętrznych odmetach, aby wyciągnąć stamtąd po dłuższej chwili białą, starannie złożoną kart-kę.

Radio mruczało cichutko ko-ledy, a choinka migotała na stojaku pod oknem. Bombki i lampki odbijały się od czar-nej jak atrament szyby i rzu-cały na ściane chybotałe cie-nie. Pokój tonął w lagodnym półmroku. Stół nakryty był białym obrusem i płońska na nim świeca. Świętecznie ubra-na rodzina Stelmachów zda-żyła już podzielić się opłatkiem — wszyscy jedli teraz zupe-grzybowa. Czteroletnia Kasia robiła to bez entuzjazmu, ot, zamiast patrzeć w talerz, bez

sprawdę. Proszę poczekać — mówił do słuchawki, po czym zakrył ją ręką i zapytał Mal-gosię: Umawiałaś się z kims?

— Ja?

— Tak.

— No coś ty!

— Dzwonią z drugiej klatki,

że złapali jakiegoś... chłopaka, który ma przy sobie nasz te-lefon i twierdzi, że zaprosiłaś go do domu.

Dziewczyna zagryzła wargi i spłonega rumieńcem.

— Może to Janek? — spoj-rzała na matkę. — Wiesz, ten biedny, bezdomny włóczęga, wspominałam ci o nim, mamu-siu. Poprosiłam, żeby odwie-dził mnie kiedyś albo zatele-fonował, ale nie sądziłam, że zrobi to akurat w Wigilię.

— Trzymają go pod kluczem

— syknął Stelmach. — Barto-sikowie i jakiś milicjant. Była mała awantura. Jeśli nie potwierdzisz, że go zaprosiłaś, chłopak spędzi święta w ko-misarzacie.

— To draństwo! — W oczach Malgosia pojawiły się łzy. — Jak tak można?!

— Dłaństwo, dłaństwo! — zawtórowała siostrze Kasia. — Tak nie można.

— Oczywiście, że nie, córecz-ko. — Wzrok lekarki spoczął na piątym wolnym krześle i na piątym pustym talerzu, które wedle pięknej polskiej

niela i panny — byli dla nie-go jeszcze jedną parą wrogów.

— Co się właściwie stało? — bąknął zmieszany inżynier.

— To mniej więcej, co po-wiedzialem panu przez telefon, panie inżynierze — odparł mi-licjant.

— Ale... kto go tak urządził? Stelmaszczyk strzelił okiem w Bartosika i mruknął cicho:

— Nie ja w każdym razie, panie inżynierze. Sądzę, że chłopiec sam to panu wyjaśn!

Inżynier nie chciał jednak żadnych wyjaśnień.

— Chodź, przyjacielu — kiw-nął na włóczęgę głową. — Na pewno zmarłeś i jesteś głod-ny.

— Nie jeżdżem głodny — rzekł chłopak opuszczając skwapliwie portiernię i rzuca-jąc spojrzenie na drzwi wej-ściowe, za którymi szalał mróz i śnieg, i skowytały z zimna psy, i żerowały w złodowacia-łych śmietniskach koty, i pa-daly ptaki, a przecież była za tymi drzwiami wolność, nikt nie musiał wstydzić się za ty-mi drzwiami brudnych i poho-ratanych rąk, posiniaczonego czoła, podarte go paltta i letnich butów, które można było wy-żąć jak gąbkę. Nikt nie musiał wstydzić się za tymi drzwiami sieroctwa i głodu, a także anonimowej, nie obcho-dzącej nikogo śmierci.

U windy Janek podniósł swoją zeszmaczoną czapkę i nasunął ją drżącymi dłońmi na czoło. Władało nim jedno tylko pragnienie: czmychnąć, uciec, zejść tym ludziami raz na zawsze z drogi, znaleźć jakiś ciepły kąt w innym rejonie miasta i przeczekać — te długie i puste święta, i te straszliwa, bezlitosna zima, a później, kiedy mróz popuści i spłynie śnieg, będzie już dobrze.

Wzdrygnął się jak kundel, kiedy Małgosia dotknęła ręką jego ramienia. Zerknął na nią i od razu odwrócił wzrok, ale ta chwila starczyła, aby dostrzec, że policzki dziewczyny są mokre.

Czego ona znowu płacze? — pomyślał. — Z tymi babami to naprawdę można dostać kota. — Jednocześnie poczuł w sercu dziwne, nieznane ciepło i nie miał odwagi odejść bez słowa.

Automatycznie odrzucił windę, rozsunął się na obydwie strony cicho i bezszelestnie. — Wejść — powiedziała dziewczyna.

trzymała go z całej siły za wilgotny, supławy rękaw. — Nie uciekaj tylko, proszę — szeptała.

— Ale ja nie mam czasu. — Nie kłam. Nieladnie kłamać w Wigilię. — Zamierowałem iść do kościoła — bronił się Janek.

— Na Pasterkę? — Na Pasterkę swoją siostrę. Pasterka jest dopiero o dwunastę.

— No właśnie — mówiła z kobiecą logiką Małgosia. — O dwunastę, a teraz jest dopiero szósta. Miałabym do ciebie wielki żal, gdybyś uciekł. Tymczasem milicjant przyglądał się inżynierowi w tak osobliwy sposób, iż Stelmach pomyślał, że musi coś przed nim ukrywać.

— Chodź panu wciąż o tego chłopca? — zapytał. — Niezupelnie, panie inżynierze. Skoro został przez państwa zaproszony, ja nie mam tutaj nic do powiedzenia, aczkolwiek...

— Tak? — Och, dajmy temu spokój. — Jednak chłopiec został po-

prawa dłoń doszukiwała się reki Stelmacha i uściśnęła ją mocno. — Nie jestem plotkarzem, panie inżynierze, z mojej strony nie panu nie grozi, a żonę potrafię przyhamować. Życzę panu i pańskiej rodzinie wesołych i spokojnych świąt.

— Nawzajem — Głos Stelmacha z trudem przedarł się przez ściśniętą krtani. — Dziekuje panu za szczera, męską radę.

— Nie ma za co, panie inżynierze. — I dobrze, że nie skrzywdził pan chłopca.

— Nikt go więcej nie skrzywdzi — powiedział gwałtownie milicjant. — Powiniennem go chyba sprawdzić, ale dopóki nie będzie rozrabiał i kradł, nikt go nawet nie tknie palcem.

Wybiegł w garniturze na mróz, żeby skorzystać z windy w pierwszej klatce schodowej. Stelmach pojechał z chłopcem i Małgosią na siódme piętro i przeszedł korytarzem na tę samą pierwszą klatkę. Naciśnął guzik windy, a kiedy dwuskrzydło drzwi otworzyły się z

swoją ortalionową kurtkę z angielskimi napisami i swoje bezwzględnie brudne, granatowe dzinsy.

— Nie można chłopca zostawić bez podni — powiedziała lekarka do Małgosi. — Wypierzemy je, jak zaśnie.

— Skąd wiesz, mamie, że zaśnie?

— Bo wiem — uśmiechnęła się Barbara.

— Gdzie go położysz?

— Rozstawię mu polowe łóżko w korytarzu.

Dziewczyna wzięła twarz matki w ręce i pocałowała z całej siły.

— A co potem, mamie?

— Potem będziemy szukali dla niego takiego internatu i jakiejś szkoły.

— I znajdziemy?

— Jak tata pomoże, znajdziemy.

Tata przysłuchiwał się temu z gradową miną. Ale serce miało poruszone i miękkie. Coś śpiewało w nim, kiedy patrzył na swoje dziewczyny, coś podszepiwało, że jeśli na tym cholernym świecie mają znowuwać się wektory dobra i

butów, po czym wyrzucił kożuch na futrzana, klebiastą stronę i wbił go na ramiona. Drzwi kuchenne uchyliły się cicho i padła na podłogę przewiązana tasemką paczka, na której było napisane „Janek”. Wsunął paczkę do przepastnego, parciego worka, zarzucił go sobie na ramie i podparłszy się kijem od szczytki, wparadował do pokoju stołowego pokaszując i stękając. Kątem oka zauważył, iż wykapany, czerwony od pary i gorącej wody włóczęga spoczywa przy stole dzierząc w garści liżkę jakby to była łopata i chlepcząc niby to nieśmiało lecz szybko żupe grzybowa. Siniec na czole mienił się od jodyny.

— Dobry wieczór, dzieci — zagrmiał grubym głosem Stelmach składając wór pod choinką.

— Dobry wieczór, święty Mikołaju — odpowiedziała rezolutnie Kasia.

— Oj, z daleka do was ide, z daleka! Utrudziłem się bardzo i zmęczyłem — narzekał Mikołaj podkręcając w palcach swoje sumiaste wąsy. — Czekacie na mnie?

— Czekamy.

— A byłście grzeczni?

— Byliśmy — pisnęła w imieniu wszystkich Kasia.

— A ty, Janku, również byłś grzeczny?

Chłopak zakrztusił się zupą i jeszcze bardziej poczerwieniał. Cóż to za maskarada?! Łyżka brzęknęła o talerz. Opuścił ręce i wyłamał je z chrzęstem pod osłoną stołu.

— Odpowiedz! — nalegał surowo Mikołaj.

— Co? — bąknął zdetonowany chłopak.

— Byłeś grzeczny?

— Nie wiem.

— Ale nie robiłeś chyba nic złego?

— Casem to i robiłem — wyznał z rozbrajającą szczerością włóczęga, dochodząc widocznie do wniosku, że Mikołaj to taki kolorowy ksiądz i lepiej nie kłamać. Wiedział o czymś, że ma do czynienia z przebranym ojcem Małgosi. Nie zapomniał także, że ten bogaty pan szukał czegoś w drugiej klatce schodowej wydrążając pod wycieraczką klucz i wchodząc do obcego mieszkania. Dodał zatem: — Każdy nieraz zrobi coś złego.

— Mam jednak nadzieję, że od dzisiaj będziesz lepszy.

— Będę — rzekł na odczepne chłopiec.

— To dobrze — westchnął Mikołaj. — No, a co tam u ciebie, Małgosiu?

— W porządku — uśmiechnęła się panna. — Niech towarzyszy Mikołajowi spokojnie.

— Nie ma dwój w szkole?

— Nie ma. Trójka jest tylko z wufu, ale za to z fizyki i chemii otrzymuję stopnie celujące dzięki genom mojego wspaniałego tatusia.

Mikołaj kiwa dobroliwie peruką.

— Jeśli już o genach mowa, to powinnaś mieć również piątkę z wufu. Twój tatuś był przecież znakomitym sportowcem. — Zmrużył figlarnie oko pod nawisłą brwią i zadał niebezpieczne pytanie: — Nawiasem mówiąc, Małgosiu, gdzie jest teraz twój tatuś?

— Mój tatuś wróży ostatnio wieczorami z kart — palnęła dziewczyna.

— U Benka! U Benka włożył — zawtórowała siostrzeczka Kasia.

Lekarka parsknęła zdrowym, szczerym śmiechem. Ale nie było w tym złośliwości, więc i Mikołaj zaczął się śmiać. Robił to wazelako z nutką przymusu.

— Damy zatem tatusiowi prezent, czy też ukarzymy go i nie damy? — zapytał.

— Damy — krzyknęła w obronę taty Kasia.

— Pod warunkiem jednak, że przestanie wróżyć — dodała Małgosia.

— Przestanie czy nie przestanie, trzeba dać! — zaprotestowała płaczliwie mała, traktowała bowiem przedstawienie z całą powagą.

Mikołaj wciąż uśmiechał się dobroliwie, aczkolwiek czuł pod powiekami wilgoć łez.

— Czemu ci tak na tym zależy, Kasiuśko?

— Bo tata jest dobił i go kocham.

— Bardziej go kochasz niż mamę?

— Nie. Kocham ich tak samo.

— I tak powinno być — stwierdził Mikołaj pochylając się, aby ukryć wzruszenie i rozsupłać wór. — No, bierzemy się do roboty. — Wydobłł z dna pierwsze zawiniątko i zdziwił się serdecznie! Coś dla pana inżyniera Stelmacha. Otworzymy, żeby zobaczyć, co

to jest, czy też poczekamy na właściciela?

— Otworzymy! — zdecydowały siostrzyczki.

Mikołaj zdjął opakowanie i podziwiał z zadowoleniem flaszkę yardlewojskiej wody koloniskiej po gołębku.

— Ucieszył się — stwierdził. — Jestem pewien, że się szalenie ucieszy.

— To i my się ucieszymy — szepnęła lekarka.

Mikołaj postawił z pietysmem prezent pod choinką i znowu sięgnął do worka, wydobywając z niego tym razem ogromną niekształtną, parokilogramową paczkę z napisem „Janek”.

— Dla ciebie, chłopcze — zwrócił się do włóczęgi.

Chłopiec zrobił się nagle biały, jakby uciekał z niego wszystka krew.

— Mnie się nic nie należy — wymamrotał pokonując szczytostępek.

— Dlaczego?

— Bo nie jeźdem dobry.

— Skąd wiesz, że nie jeś-

tes?

— Bo wiem. — Drżały mu policzki. Wyciągnął na chwilę spod stołu pobratane ręce i schował je szybko.

— Mam w tej sprawie inne informacje — oświadczył wesoło Mikołaj, i dodał: — Po-

dojdzie!

Chłopiec wstał przewracając krzesło. Podniósł je i zerknął na drzwi, jakby znowu chciał uciec, ale przypomniał sobie o puszcze Czerwonego Krzyża, którą ukrył w taziencie pod wanną. Nie miał ponadto w czym wrócić na mróz, więc schował mu swetry i palto, znikły gdzieś ciepłe kałesony. Choleba by wzięła taki interes!

Stanął przed Mikołajem i spuścił oczy.

— Proszę — Stelmach wręczył mu paczkę.

— Dziękuję.

— Zobaczymy, co jest w środku?

— Zobaczymy — pisnęła Kasia.

Przykucnął na miękkim, wzorzystym dywanie i rozwiązał posłusznie ściągnięty wstążką tobolek. Spod papieru wyjrzały najpierw dwie pomarańcze i dwie tabliczki czekolady. Chłopak położył je na dywanie i brał kolejno do ręki skarby, jakich nigdy jeszcze nie dotykał — szary, puszysty golf, niebieski pulower, parę przeraźliwie białych i straszliwie długich kałesonów, trzy pary welnianych skarpetek, szalik oraz dużą, podbitą futrem kurtkę.

Był praktycznym człowiekiem. Wiedział, iż rzeczy, aczkolwiek używane, są w doskonałym stanie. Wiedział również, że część z nich, jak na przykład kurtka i kałesony, pochodzi od inżyniera, reszta zaś, pulower, golf i skarpetki, od pań.

Wykreślił szyję i spojrział znad dywanu w twarz Mikołaja, aby upewnić się, czy święty akceptuje darowiznę zubożającą go o cenną sztukę garderoby. Taka kurtka kosztuje przecież majątek! Przytulił ją mechanicznie do piersi i smyrał brodą welniane podbitcie. Zagrała w nim krew młodego.

Nie oddam — pomyślał. I powiedział twardo.

— Chyba mnie się nie należy.

— Mikołaj najlepiej wie, co się komu należy — pogroził mu palcem Stelmach. — Jest tam jeszcze jakaś kartka do ciebie.

Chłopak wziął kartkę i zaczął sylabizować:

Janku! Nie napisałeś do mnie w porę, jak to czynią inne dzieci, nie wiem, przeto, czy ubranie, które ci daje, jest odpowiednich rozmiarów. Nie przejmuj się tym! Poleć krawcom, aby dokonali odpowiednich poprawek.

— Dobre wiadomości? — zapytał Mikołaj.

Chłopak sztykował się własnie, aby pokonać szczytostępek i odpowiedzieć, że tak: dobre, nawet bardzo dobre, ale uprzedziła go Kasia.

— Zła — zapłakała z oburzeniem. — Wszyscy coś dostają, tylko biedne, małe dziecko, biedny okluzek, wleczone codziennie za włosy przez śnieg do wstępnego przedszkola, nie dostał nic.

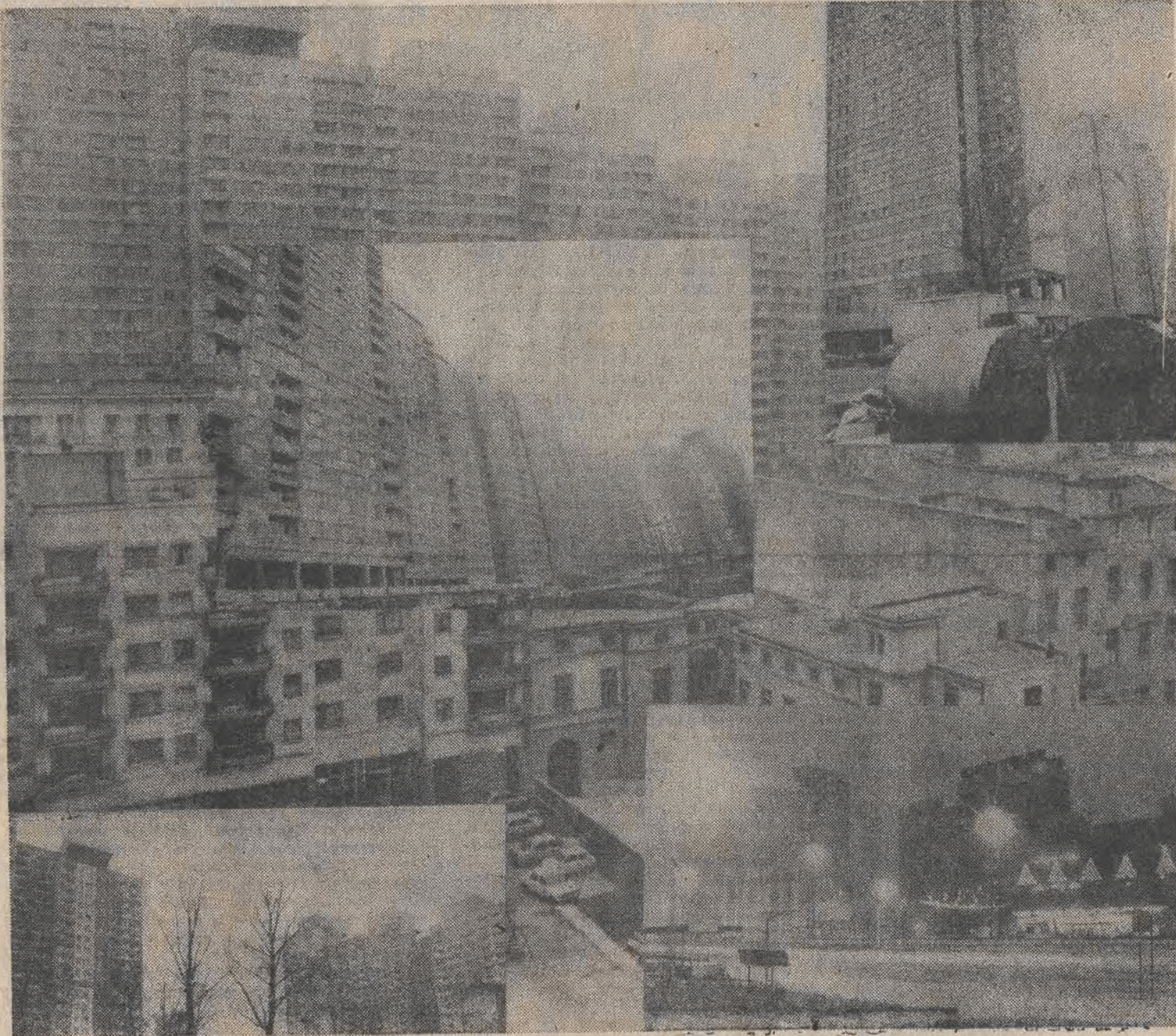


Foto: Grzegorz Gołębicki

— Po co? — Żeby zjeść z nami kolację.

— Już zem jadł kolację.

— No to obejrzyj sobie telewizję i posłuchasz muzyki.

— Wsiadaj, nie rób ceregieli, kolego — zniecierpliwiał się Stelmach.

— Panie inżynierze — powstrzymał go plutonowy.

Andrzej spojrział ze złością na milicjanta.

— Słucham.

— Chciałbym zamienić z panem pare słów.

— Słucham — powtórzył z akcentem Stelmach.

— Ale nie tutaj.

— A gdzie?

— Na boku.

— Na boku? — Brew Stelmacha podskoczyła do góry i opadła. Poważna, zatroskana twarz plutonowego, skłoniła go nagle do uległości. — Zaczekaćcie — powiedział do chłopca i Małgosi, i podążył za milicjantem w kat hallu.

Bartosikowie zniknęli już z pola widzenia, a winda zamknęła się jak Sezam i poszybowała w górę Małgosią, wzywając zamiary chłopaka.

bity — przeszedł do łagodnego ataku inżynier.

— Raczej popchnięty.

— No i trochę jakby podrapany.

— Powiedziałem na ten temat Bartosikowi do słuchu. Ale nie o to chodzi, panie inżynierze.

— Więc niech pan wreszcie powie, o co — szepnęła nieswoim głosem Stelmach i przeniósł wzrok na stojącą przy windach Małgosię.

Chciałem po prostu pana przestrzec — rzekł bez uśmiechu Stelmachczyk.

— Przestrzec?

— Tak.

— Przed czym?

— Pan wie...

— Nie wiem — zaprzeczył Stelmach. Ale wiedział. Patrzył w zimne, milicyjne oczy.

— To jest szantaż, panie sąsiedzie?

— Nie.

— Więc co?

— Rada. Zwykła, męska rada. Sciągniemy oczy i uszy i takie rzeczy roznoszą się błyskawicznie. — W lewej dłoni milicjant wciąż trzymał zakrwawioną chusteczkę, ale jego

dostojną powolnością, był w niej milicjant.

Chłopcem znowu oświadczył, że ucieczki, ale plutonowy uśmiechnął się do niego przyjaźnie.

— Cześć, mały — powiedział.

— Cześć — odparł włóczęga.

Stelmach, chłopiec i Małgosia wysiedli pierwsi. Nim zamknęły się za nimi drzwi, milicjant rzucił jeszcze tropem chłopaka:

— Jakbyś miał jakieś kłopoty, szukaj mnie na siedemnastym piętrze. Znajomy milicjant, kolego, to jest nieraz pożyteczna rzecz.

Janek, nim się nawet zdążył zorientować, został wrzucony do wanny, a część jego bielejny i ubioru obracała się w pralce. Druga, gorsza część, wśród której znalazły się trzy dziurawe swetry, złachmaniony szalik i palto, powędrowały w nylonowym worku na śmieć. Podrzucano mu czyste ręczniki, czyste skarpetki i czystą, choć zbyt obszerną górę od piżamy. Polecono przez drzwi, iż ma na to włożyć

zła, rodzina Stelmachów działa właśnie w tym kierunku.

Tak czy owak, zauważył zgryźliwie:

— Nie ma lepszego lekarstwa na kryzys niż dodatkowy lokator.

Lekarka zmarszczyła wysoko, czyste, jakże mu teraz kochane czoło, zerknęła w głąb pokoju stołowego i szepnęła:

— Andrzej?

— Co?

— Kasia czeka na świętego Mikołaja.

— Gdzie mam się przebrać?

— W kuchni.

Westchnął. Zdjął kożuch z wieszaka w korytarzu i wszedł do kuchni. Czekano tam na niego wszystko, co potrzeba jest, aby załudnić wyobraźnię dziecka i sprawić, aby kochało ten dzień, ten piękny wigilijny wieczór przez całe życie.

Przykleił sobie długie, siwe wąsy i długie, siwe, podobne do sopli lodu brwi. Założył ogromny, czerwony, porowaty nierzwyrodniały truskawkowy i perukę, której włosie obsypało mu szyję złocistymi puklami. Zawiazał dwie niebieskie kokardy na cholewkach

Włodzia milczał chwilę, potem rzekł ponuro:
— Karcew jest prowokatorem.
— Dlaczego? — przeraził się Sasza — Trzy lata przesiedział w więzieniu politycznym, prowadził głodówkę, podcinał sobie żyły.
— Przesiedział, głodówkę prowadził, żyły podcinał — zawołał Włodzia, blednąc po pokoju. — Różni siedzą, rozmaici siedzą i muszą uczestniczyć w głodówkach razem ze wszystkimi... Dlaczego zawieźli go do Moskwy?
— Skazali go na zesłanie — zauważył Boris.
— No i co z tego? — znowu zaczął krzyczeć Włodzia. — Tacy są potrzebni na zesłaniu. „Odstąpił od przekonań, uznał błędy? Nie, przepaszam bardzo, to za mało, udowodnij czynem. Nam potrzebni są donosiciele...”
— Gdyby tak było — zaproponował Sasza — Baranow nie wysłałby go do Czadobca, tylko zostawił tu, w Boguczanach.
— Baranow nie wie. W przesyłce były tylko nasze dokumenty. A to przyjdzie potem, z pocztą specjalną. Karcew chce mu wyjaśnić, że jest swój, że trzeba go leczyć, trzeba ratować. Wszystkich z Wierchneurskiej rozesłali po obozach i więzieniach, a jego do Moskwy. Po co? Do Galerii Trietkowskiej?
— Każdy, kto się z tobą nie zgadza, to albo swolocz, albo prowokator! — powiedział Sasza. — Pójdziesz do Baranowa.
— No cóż — z groźbą powiedział Włodzia — przyłóżcie się do tej roboty, przyłóżcie się.
— Nie strasz. Nie takich widziałem.
— Kogo widziałeś? — znowu krzyczał Włodzia. — Nic nie widziałeś! Maminsyneki! Nie rabataś lasu przy czterdziestostopniowym mrozie! Nie widziałeś, jak ludzie zdychną na śniegu! Jak plują krwią! Karcewa żal ci się zrobiło! A tych, których Karcewowie posyłają na śmierć, nie żal ci?
— Przede wszystkim żal mi ciebie — powiedział Sasza.
Kiedy podeszł do domu Baranowa, Boris się zatrzymał.
— Chodź, Sasza, przemyślmy to wszystko na zimno. Można nie zgadzać się z Włodzią, ale nie można mu odmówić pewnej logiki. Po co Karcewowi potrzebny jest Baranow? Żeby załatwić szpital? To i my możemy wygłaskować. Więc po co? Ty, Sasza, dopiero zaczynasz, a ja już się tu trochę przetrzętem. Nie ma nic straszniejszego od takiego podejrzenia, ono się roznosi błyskawicznie. I na całe życie — nie możliwe jest udowodnienie, że jest inaczej. Gotów jestem iść do szpitala, opiekować się Karcewem, robić co trzeba, nocnik wynosić... Ale aranżować mu spotkania z Baranowem nie chcę.
— Pójdę sam — rzekł Sasza.
— Chodź zrobimy tak — zażądał od Baranowa szpitala, a tego, że Karcew go wzywał, nie powiemy. A tam, w szpitalu, jak mu jest potrzebny Baranow, niech go zawezwie oficjalnie, przez doktora.
— Lekarza wam zapewnię, czego jeszcze — rozdrażnieniem spytał Baranow.
— Trzeba go położyć do szpitala.
— Przecież było powiedziane: nie ma miejsca.
— Człowiek umiera.
— Nie umrze.
— Ale jeśli umrze, damy znać do Moskwy, że odmówiliście mu skierowania do szpitala.
— Żle tu zaczynasz, Pankratow! — złowieszco wyrzekł Baranow.
Mniej więcej za trzy godziny podjechał wóz ze szpitala Sasza i Boris wysiadł Karcewa.
Kończył się gorący czerwcowy dzień, od rzeki wiał lekki wietrzyk. Karcew leżał z zamkniętymi oczyma, dyszał równie, spokojnie.
Wieczorem Łukieszka siedziała znowu na przyczółku w skórzanych butach, odnających jej małą nóżkę. Jaskrawa chustka okrywała głowę i plecy.
Posunęła się, tym gestem zapraszając Saszę, żeby usiadł obok.
Sasza usiadł.
— No to opowiedz coś, Łusza. Przecież masz na imię Łusza?
— Łukieszka wołają.
— Po naszymu Łusza. Będę cię nazywał Łuszeką.
Zakryła usta chustką.
— Podobna ci się, Łuszenko?
Odiata chustka od ust, oczy jej się śmiały.
— Pracujesz, uczysz się?
— Skończyłam naukę.
— Ile klas?
— Pewno trzy.
— Czytać, pisać umiesz?
— Umiałam, ale zapomniałam.
— Pracujesz?
— Za kucharkę. Gdzie będziesz mieszkał?
— W Kieźmie.
— U... — przeciągnęła z rozczarowaniem. — Daleko! U nas tu zesłane żyją, pełno.
— Byłaś w Kieźmie?
— Nie, dalej za las nie chodziliśmy.
— Niedźwiedzia nie nie boisz?
— Boję się. Chodzili my tani na jagody, a on jak wyłecił, ryczy, aż dąbrowa się trzęsie. My w krzaku i do łódki. Jagoda żal a czołkie były, dojrzałe. Rzuciłam. A on leci niebystro, łapw koławi. My się wiosem odpychamy, a on w wodę... Ledwie my na wiosłach uciekli, cały czas krzyczymy, umieramy ze strachu... Oj, koniec... Przyjechał nie wiedzieć jak. Teraz do matczynika nie jeżdżim, boim się.
Mówiła śmiało, podśmiewała się i jednocześnie w zawstydzonym zasłaniała usta ręką chustki.
— Pojedziesz ze mną do Kieźmy? — spytał Sasza.
Przestała się śmiać, popatrzyła na niego.
— Jak weźmiesz — pojedę.
— A co tam będziemy robić?
— Pożyjemy. Ile masz w Kieźmie żyć?
— Trzy lata.
— Pożyjemy trzy lata, potem wyjedziesz.
— A ty?
— Co ja? Zostanę. Tu wszyscy tak, pożyją i wyjeżdżają. A może zostaniesz nad Angarą?
— Nie, nie zostanę.
— Jutro na Sierguńskie Wyspy jedziem. Jedź z nami.
— Po co?
— Na nocowanie pojedziem — poinformowała z naiwnym bezwstydem.
— Łukieszka! — rozległ się głos z sąsiedniego podwórka.
— To pojedziesz?
— Trzeba pomyśleć.

— Ech ty, pomyślny — zamyślny — zaśmiał się Łukieszka i uciekła.
W trumnie leżały wióry. Sasza chciał je wyrzucić, ale Boris powiedział:
— Nie wolno wyrzucać, to nie wiesz?
Sasza nie wiedział — pierwszy raz kogoś chował.
Posługacz i woźnica zeszli do piwnicy, do kostnicy.
Lekarz wyszedł na ganek, popatrzył na Saszę tym samym surowym wzrokiem, którym patrzył na umierającego Karcewa i powiedział:
— Akt zgonu został przekazany pełnomocnikowi rejonowemu.
Sasza i Boris nie odpowiedzieli — po co im akt zgonu, komu go przesyła?
Lekarz nie odchodził, stał, patrzył na nich. Był ich rówieśnikiem.
— Posługacz i woźnica wynieśli ciało, położyli do trumny.
Zabili wieko. Wóz wyjechał z podwórka. Z boku szedł niewysoki chłop — woźnica, za trumną Sasza i Boris. Przejchali długą wiejską ulicę, mijając zbudowane z ball czarnoszare chaty, skreślił w inną, tak samo czarnoszara, wyjechali ze wsi, wspieli się na wzgórze ku drewnianej zabudowie na gluchą cerkwia. Za nią położony był cmentarz.
Wzięli łopaty, zaczęli kopać. Tylko po wier-

ANATOLIJ RYBAKOW

Dzieci Arbatu



chu ziemia była miękka, głębiej była twarda, zmarnięta, z pyłkami lodu.
Oto kończyła się droga życiowa Karcewa, przypadkowego towarzysza podróży etapem. Pracownik „Sierpa i Młota”, pracownik Komsołmu, więzień więzienia politycznego w Wierchneursku, zesłaniec. Czy Włodzia ma rację? Co Karcewa do tego popchnęło? Chęć odkupienia swojej winy, udowodnienia szczerości swojej skrupy? A może obiecali mu wolność? Albo po prostu był słaby?
Odpowiedzi na te pytania poszły do grobu z Karcewem na dalekiej Syberii, na końcu świata.
Ale nawet jeśli tak było, takiego Karcewa Sasza nie znał. Znał chorego i cierpiącego człowieka.
Woźnica odłożył łopatę.
— Starczy. Niedźwiedź się nie dokopie.
Trumnę zdjęli z wozu, położyli na sznurach i ostrożnie przesuwały po świeżo usypanej ziemi, opuścili do dołu.
Potem wyciągnęli sznury i zakopali grób. Wszystko się skończyło. Woźnica wskoczył na wóz, szarpnął za lejce i klusem pojechał do wsi. Sasza i Boris zostali przy grobie.
— Trzeba by chociaż postawić deseczkę z nazwiskiem — powiedział Boris.
Ale nie mieli ze sobą ani dyktu, ani ołówka.
Z góry hen widać było Angarę, toczyła swe wody wśród skał i lasów z nieznanymi ziem do nieznanych ziem. Na horyzoncie woda przybierała kolor nieba, zlewając się z nim, jak gdyby Bóg nie stworzył jeszcze ładu, żeby wodę oddzielić od wody.
Saszę przeszyło uczucie gorzkie i radosne. W tęsknocie i rozpacz, stojąc na zapuszczonym cmentarzu, uświadamiając sobie nagle z absolutną wyrazistością bliskość własnych uderek i cierpień. Ta nieskończona wleczność umacniała wiarę w coś wyższego niż to, dla czego żył do tej pory. Ci, którzy skazują ludzi na zesłanie, myślą się, sądząc, że w ten sposób można złamać człowieka. Można zabić, nie można złamać.

11.
— Przeczytajcie.
Podczas gdy Jagoda czytał swój ostatni meldunek, Stalin przyglądał mu się: wąska prostą twarz w kolorze ceglastoczerwonym z małym wąsikiem pod nosem, jak u Hitlera. Ponury czujny wzrok. Bynajmniej nie piękny.
Wybrał go jeszcze w 1929 roku. Mienziński był ciężko chory, praktycznie wyłączony z pracy, i na Siedemnastym Zjeździe partii zamiast niego do składu KC wprowadzono Jagodę, jego zastępcę. Można byłoby zwolnić towarzysza Mienzińskiego ze stanowiska przewodniczącego OGPU i mianować na jego miejsce Jagodę, ale to byłoby źle zrozumiane — w Mienzińskim wszyscy widzieli następcę Feliksa Dzierżyńskiego. Miesiąc temu Mienziński umarł. Zaraz też zrealizowano dawno przygotowaną uchwałę Biura Politycznego o utworzeniu Ludowego Komisariatu Spraw Wewnętrznych. Wzięli do niego Główny Urząd Bezpieczeństwa Państwowego, milicję, jednostki ochrony nadgranicznej i wewnętrznej, penitencjarnie obozy pracy i kolonie, a także ochronę przeciwpożarową i urzędy stanu cywilnego. Komisarzem ludowym spraw wewnętrznych mianowano Jagodę.
Kandydatura Jagody nie wywołała sprzeci-

(27)

wów w Burze Politycznym — stary członek partii, kadrowy czekiści, nie polityk, nie członek Biura Politycznego, postać „neutralna”, nie naruszył równowagi w kierownictwie partii.
— Swierdłow, z którego krewną ożenił się Jagoda, miał w swoim czasie niewysokie mniemanie o talentach powinowatego: posłał go najpierw do redakcji „Dziennika Wschodu”, potem do podrzędnej pracy w WCKK. Ale Swierdłow nie umiał się poznać na ludziach i nie miał co się chwalić, że cały wydział kadr KC zastępuje mu własny notes. Przecież także JEGO Swierdłow uważał za „indywidualistę”, mówił mu to w oczy jeszcze tam, na zesłaniu w Turuchanську, i ON się nie obraził. Ogólnie biorąc, Swierdłow był prostym dobrym chłopakiem, ale nie był żadną indywidualnością. I Lenin postawił go na czele WCKK, funkcja czysto reprezentacyjna. Po śmierci Swierdłowa Lenin wysłał na to miejsce twerskiego chłopca Kallina — „ogólnorosyjskiego starostę”.
Nieboszyk Dzierżyński też nie darzył Jagody zbyt wielką sympatią, przeznaczał go do drugorzędnych ról — kierownika działu administracyjnego. Ale przy wszystkich swoich zaletach towarzysz Dzierżyński pochodził z panów.
To naturalne, że Mienziński, też z panów, do tego poliglota, znający czterdzieści języków (na co bolszewikowi czternaście języków?), był mu bliższy od Jagody — zwykłego aptekarza z Niżnego Nowogrodu. I przy wszystkich swoich zaletach towarzysz Dzierżyński, trzeba to powiedzieć, nie był wolny od pewnego pozostawstwa. Dlatego i nie lubił Trockiego, ten o wiele przewyższał go w pozostawstwie. To naturalne, że niewykształcony „kancelista” niezbyt imponował Żelaznemu Feliksowi.
Ale w GPU anioły nie są potrzebne, przystojniacy też nie, sztuka rządzenia polega na umiejętności postawienia właściwego człowieka na właściwym miejscu, a więc, i to jest najważniejsze, kiedy stanie się niepotrzebny, usunięcie go. Jagoda na razie jest na swoim miejscu — rozumie prawdziwy sens tego, co się do niego mówi.
Podejrzanie, że Jagoda pracował dla carskiej ochrony, być może, jest niebezpieczne. Ale takie sprawy są skomplikowane i zagmatwane, praktycznie niemożliwe jest ich sprawdzenie. Dowody pośrednie zawsze są chwilowe i niepewne, bezpośrednie dowody w zasadzie nie ma — w pierwszych godzinach po rewolucji Ochrana zniszczyła prawie wszystkie archiwa. Czy to wiele nazwisk byłych donosicieli do nas dotarło? A to, co dotarło, też jest mało przekonujące: Ochrana umiała gmatwać ślady, umiała naprowadzać na fałszywe tropy. I w ogóle dla człowieka, stykającego się z funkcjonariuszami żandarmerii i zmuszonego do manewrowania, żeby ocalić siebie dla partii, nie do uniknięcia były sytuacje, które teraz, po wielu latach, mogą się wydać kłopotliwe.
Udowodnić, że ktoś miał powiązania z Ochraną, trudno, ale jeszcze trudniej udowodnić, że ktoś powiązań z nią nie miał, jeśli takie podejrzenie powstało i jeśli są choćby jakiegokolwiek dowody. Jakież dowody obciążające Jagodę zostały przedstawione, dowody pośrednie, niezbyt przekonujące, ale wystarczające, żeby gdyby się chciało, oskarżyć Jagodę, że był prowokatorem. Osobie, która przedstawiała te dokumenty, powiedział wtedy, że partia uważa te dowody za nieprzekonujące i nakazał, aby nigdy i nigdzie do tej sprawy nie wracać. Ale dokumenty zostawił u siebie. I Jagoda wie o tym. I Osoba, która te materiały przedstawiała, zabronił ruszać. I Jagoda o tym także wie. Będzie oddany ze strachu, i to lepiej niż gdyby był oddany z przekonania: przekonania się zmieniają, strach nie miją nigdy.
Jagoda położył papiery na stół i nie powiedział — Stalin na razie o nie nie pytał. I nie patrzył na Stalina: patrzył na towarzysza Stalina znaczyło zadawać mu nieme pytanie, prowokować do rozmowy, Stalin tego nie lubił, sam wiedział kiedy i co powinien powiedzieć. Oczywiście, Stalin pokazał mu jego własny ra-

port, ale na razie nie wiadomo, co się z tym kryje. Stalin ledwo dostrzegającym gestem pokazał na krzesło, obok którego stał Jagoda. Zaproponował, znaczy, żeby usiadł, rozmowa będzie długa i co już Jagoda rozumiał, poważna w tym sensie że przyjdzie mu rozwiązywać w nim niemało rebusów.
Przechadzając się po gabinecie, Stalin powiedział:
— O czym świadczy wasz raport? Świadczy on o tym, że towarzysze Zaporozec nie radzi sobie ze swoimi obowiązkami. Jeśli likwidacja zinojewowskiej opozycji w Leningradzie była sprawą prostą, można byłoby to zadanie poruczyć towarzyszowi Miedwiedowi i jego aparatowi. Ale towarzysze Miedwied jest człowiekiem Kirowa, a towarzysze Kirow, niestety, nie zdaje sobie sprawy z powagi zinojewowskiego niebezpieczeństwa dla partii i dla niego osobiście. Nietrafnie ocenia sytuację w Leningradzie. Wolno i bezgłownie Stalin przechadzał się po dywanie.
— Co jest szczególnego w tej sytuacji? — kontynuował. — Specyfika sytuacji w Leningradzie polega nie tylko na tym, że w leningradzkiej organizacji partyjnej uchowało się wielu zinojewowców. Najważniejsze jest to, że pozostało ich wielu w kierownictwie leningradzkiej organizacji partyjnej, wielu pozostało w otoczeniu tow. Kirowa. Gdzie, pytanie, podzielił się dziesiątki tysięcy ludzi, którzy głosowali na Zinojewę przed Czternastym Zjazdem partii? Są tam, w Leningradzie, na tych samych miejscach, na tych samych stanowiskach. Towarzysze Kirow twierdzi, że dzisiaj popierają generalną linię partii, dzisiaj popierają KC... Czy rzeczywiście? Tak, popierają towarzysza Kirowa, ale to nie znaczy, że popierają KC. Jak mają nie popierać towarzysza Kirowa, jeżeli towarzysze Kirow zachował ich w Leningradzie w stanie nie naruszonym? Naturalnie, że popierają towarzysza Kirowa, naturalnie, że są oddani towarzyszowi Kirowowi. Ale czy aby towarzysze Kirow nie bierze wierności sobie za wierność partii? Czy aby towarzysze Kirow nie stawia znaku równości między sobą i partią? Czy aby nie za wcześnie to robi? Czy jest coś dziwnego w tym, że uczciwi leningradzcy komuniści są niezadowoleni z podobnej sytuacji w leningradzkiej organizacji partyjnej? Nie ma w tym nic dziwnego. Takie niezadowolenie jest absolutnie słuszne, zwłaszcza, jak sami słusznie piszecie w swoim raporcie, u młodych komunistów, którzy wyrosli i dojrzeli już po okresie zinojewowskim. Oni protestują przeciwko podobnej sytuacji, tym bardziej że na drodze ich rozwoju, ich awansu stoi stara zinojewowska kadra, która, rzecz jasna, awansuje swoich i nie przepuszcza innych, obcych, a obcy dla nich są uczciwi i szczerzy stronnicy KC.
Stalin zamilkł, dalej wolno i bezgłownie chodząc po gabinecie, potem znowu zaczął mówić:
— Na czym polegało zadanie towarzysza Zaporozca? Na tym, żeby zmienić sytuację w Leningradzie, zmienić stosunek organizacji leningradzkiej do zinojewowców, ukazać powagę trockistowskiego i zinojewowskiego niebezpieczeństwa. I co zrobił towarzysze Zaporozec? Nic. Skarży się, że Kirow i Miedwied nie pozwalają mu, wyobraźcie sobie, tego zrobić. Takie skargi niegodne są prawdziwego czekiści. Skarży się, że aparat podlega nie jemu, tylko Miedwiedowi. Głupiec! Niech dobrać sobie ludzi albo niech się przyzna do swojej bezsilności.
Stalin zatrzymał się nagle naprzeciw Jagody.
— Ze stronnictwami Zinojewy i Kamieniewa trzeba skończyć raz na zawsze. Towarzysze Kirow otoczył się zinojewowcami i oni też odpłacają mu za wszystkie jego dobrodziejstwa. Niewątpliwie — Stalin znowu zaczął jest przechadzać na pokój — niewątpliwie, w dzisiejszej konkretnej sytuacji usunięcie Kirowa nie jest na ręce zinojewowcom — on chroni w Leningradzie ich kadrę. Ale w warunkach zaostrożenia sytuacji w wypadku walki o władzę Kirow im będzie niepotrzebny. Sytuacja może się zaostreść także w razie groźby wojny. A wojna jest na ręce jedynie przeciwnikom KC, wojna otwiera drogę do zmiany władzy. Teraz Zinojew i Kamieniew próbują wykorzystać towarzysza Kirowa jako siłę uderzeniową przeciwko KC, ale przyjdzie czas, że stanie się im niepotrzebny i usuną go, żeby wywołać w kraju sytuację krwawą Kirow trzyma za nami, trockistowska żmiej przeciw Stalinowi, ale czy aby nie ukąsi ona samego towarzysza Kirowa?
Wziął ze stołu i rzucił Jagodzie jego raport.
— Partii potrzebne są nie papierki, ale czyny. Jesteście wolni.

C.D.N.

Tłumaczyła:
EWA-KATARZYNA NOWAK

JERZY KOSIŃSKI urodził się w Polsce w 1925 roku w rodzinie żydowskiej. W Polsce (w Łodzi) i w USA, dokąd wyjechał w 1957 roku, studiował socjologię, uzyskał tam dyplom magistra historii i nauk politycznych. W 1973 roku został wybrany prezesem amerykańskiego PEN CLUBU. Jest wy-

kładowca na amerykańskich uniwersytetach. Pisanie po angielsku. Jego pierwszą książką był „Malowany ptak” („The Painted Bird”), ukazała się ona w 1980 roku. Książka ta wywołała wielką sensację na całym świecie. W Polsce była niezwykle i krytycznie przyjęta.

Obecnie jedno z wydawnictw przygotowuje się do wydania polskiego przekładu „Malowanego ptaka”. Jerzy Kosiński wydał również powieści: „Kroki” — „Stępa” nagrodzona w USA w 1989 roku. „Był tam” („Being There”, 1971) „Automat do gry” („Pinball”, 1982) oraz wiele artykułów i dwie

książki na tematy socjologiczne, psychologiczne i z dziedziny krytyki literackiej. Niedawno „Polityka” publikowała wywiad Daniela Passenta z Jerzym Kosińskim. Proza Jerzego Kosińskiego przeobraża jest dla ludzi o mocnych nerwach.

Byłem czarny: moje oczy i włosy były czarne. Widocznie moje miejsce było w innym świecie.

MALOWANY PTAK

JERZY
KOSIŃSKI



Kończyło się lato. Na polach pojawiły się już spony zboża. Chłopi pracowali ze wszystkich sił, nie mieli jednak tyłu koni i wołów, aby móc szybko zebrać plony.

Wysokie brzozy rzeki, znajdującej się w pobliżu wsi, łączył most kolejowy, strzeżony przez ciężkie działa, umieszczone w betonowych bunkrach. Nocą, kiedy wysoko na niebie buczały samoloty, na moście panowała całkowita ciemność. Życie powracało z rana. Żołnierze w hełmach zajmowali stanowiska przy działach, a w najwyższym punkcie mostu wpleciony we flagę wiał się na wietrze kancasty kształt swastyki.

Pewnej gorącej nocy dały się słyszeć dalekie strzały. Stłumione dźwięki przelewały się polami, niepokojąc ludzi i ptactwo. W oddali migotały światła błyskawic. Ludzie powychodzili przed domy. Mężczyźni, paląc swoje fajki z kaczanów kukurydzy, przyglądali się wytworzonemu ludzką ręką błyskawicom, i mówili: „Zbliża się front”. Inni dodawali: „Niemcy przegrzają”. Wybuchło wiele kłótni.

Niektórzy chłopi twierdzili, że kiedy przyjdą sowieccy komisarze, wszystkim sprawiedliwie rozdadzą ziemię, odbiorą bogatym i wspomogą biednych. Skończyła się czasowy wyzyskiwany chłopca dziecięciem, przekupnych urzędników i brutalnych policjantów.

Inni gwałtownie przeczyli. Klęli się na swoje święte krzyże i wołali, że sowieci upadstwowią wszystko, łącznie z żonami i dziećmi. Spoglądali na przerażenie jasne niebo na wschodzie i krzyżeli, że kiedy nadejdą Czerwoni, ludzie odwrócą się od ołtarzy, puszcza w niepamięć nauki przodków i wlecieć będą życie w grzechu, dopóki sprawiedliwość Boga nie pozamienia ich w stupy soli.

Brat powstawał przeciwko bratu, ojcowie wznosili siekiery na swych synów na oczach matek. Niewidzialna moc wtargnęła między ludzi, rozdzieliła rodziny, mąciła umysły. Jedynie starsi, którzy pozostali przy zdrowych zmysłach, biegali bezładnie pomiędzy zwaśnionymi stronami i błagali walczących, by zawarli pokój. Skrzyplącymi głosami krzyżeli, żeby nie rozpoczynać nowej wojny we wsi, bo i bez tego dość już jest wojen na świecie.

Grzmoty zza horyzontu przybliżały się. Ich huczące odgłosy ostudziły nieco sprzeczki. Ludzie zapomnieli nagle o radzieckich komisarzach i boskim gniewie, i jeśli w pośpiechu kopnąć doły w stodółach i piwnicach. Chowali w nich zapasy masy, wlepszynowy, ciocięcy, żyta i pszenicy. Niektórzy przygotowywali flagi na powitanie nowych władców, potajemnie farbując prześcieradła na czerwono, inni zaś chowali w bezpiecznych kryjówekach krucyfiksy, figurki Jezusa i Marii, a także ikony.

Nie z tego nie rozumiałem, wyczuwałem jednak niepokój, wiszący w powietrzu. Teraz nikt już nie zwracał na mnie uwagi. Wałęsałem się od chaty do chaty, słyszałem odgłosy kopania, nerwowe szepty i modlitwy. Kiedy kładłem się na polu i przyglądałem ucho do ziemi dobiegały mnie głuche, dudniące dźwięki.

Czy to nadchodziła Armia Czerwona? Pulsacja w ziemi przypominała bicie serca. Zastanawiałem się, dlaczego sól była tak droga, jeśli Bóg mógł zamienić grzeszników w stupy soli. I dlaczego nie zamieniał ich także w mięso lub cukier? Mieszkańcy wsi potrzebowali tych rzeczy nie mniej niż soli.

Leżałem na wznak i patrzyłem na chmury. Płynęły tak, że to raczej ja wydawałem się przesuwać. Jeżeli to prawda, że kobiety i dzieci mogą stać się wspólną własnością, to każde dziecko miało bycie matek i wielu ojców, i niezliczoną liczbę siostr i braci. To chyba zbyt piękne, by w to uwierzyć. Należał do wszystkich! Gdziekolwiek pójdę, wielu ojców będzie gładził mnie po głowie mocnymi, kojącymi dłońmi, wiele matek przytuli mnie do łona, wielu starszych braci będzie bronił mnie przed psami. A ja będę musiał opiekować się młodszym rodzeństwem. Wyglądało na to, że chłopi nie mają się czego obawiać.

Chmury stapiały się z sobą, raz stawały się ciemniejsze, to znów jaśniejsze. Gdzieś wysoko ponad nim był Bóg i wszystkim stamtąd kierował. Pojałem teraz, czemu nie mógł poświęcić więcej czasu takiej małej, czarnej pchle jak ja. Pod Nim walczyły ogromne armie, nieznane rzesze ludzi, zwierząt i maszyn. Bóg musiał zdecydować, kto ma przegrać, a kto wygrać; kto ma żyć, a kto umrzeć.

Lecz jeśli Bóg naprawdę decyduje o tym, co ma się wydarzyć, to dlaczego chłopi lekali się o swoją wiary, kościoły i duchownych? O ile komisarze sowieccy rzeczywiście mieli zamiar zburzyć kościoły, zbezczeszczyć ołtarze, wymordować księży i prześladować wiernych, to wówczas Armia Czerwona nie miałaby najmniejszej szansy na zwycięstwo w wojnie. Nawet najbardziej zapracowany Bóg nie mógłby nie dostrzec tak ogromnego zagrożenia dla swego ludu. Ale czy w takim razie nie oznaczałoby to, że zwycięzcy okazały się Niemcy, którzy również burzyli kościoły i zabijali ludzi? Z punktu widzenia Boga byłoby rozsądniej, gdyby wszyscy przegrali wojnę, ponieważ wszyscy popełniali zbrodnie.

„Wspólne posiadanie żon i dzieci”, mówili chłopi. Brzmiało to dość zagadkowo. Tak czy

owak, myślałem sobie, przy odrobinie dobrej woli komisarze sowieccy być może zaliczą mnie do dzieci. Chociaż byłem mniejszy niż przeciętni ośmioletni chłopcy, miałem już prawie jedenaście lat i obawiałem się, że Rosjanie mogą potraktować mnie jak dorosłego, a w każdym razie nie będą uważać mnie za dziecko. Poza tym byłem niemową. Miałem również kłopoty z jedzeniem, i zwracałem czasami nie strawione pożywienie. Z całą pewnością zastawiałem na to, żeby stać się wspólną własnością.

Jednego ranka zauważyłem niezwykle ruch na moście. Uwiali się na nim żołnierze w hełmach, demontowali działa i karabiny maszynowe, ścigali niemiecką flagę. Kiedy z drugiej strony mostu odjeżdżały w kierunku zachodnim wielkie ciężarówki, uchyliły także grzywny dźwięki niemieckich pieśni. „Uciekają”, mówili chłopi. „Przeprali wojnę”, dodawali odważniejsi.

W południe następnego dnia przybyła do wsi grupa konnych. Było ich stu, a może więcej. Zdawali się tworzyć ze swymi końmi jedną całość. Jeździli z cudowną swobodą i bez żadnego określonego porządku. Ubrani byli w zielone niemieckie mundury z jasnymi guzikami, na głowach mieli zsunięte nisko na oczy furażerki.

Chłopi rozpoznali ich natychmiast. Przerażeni krzyżeli przeraźliwie, że nadchodzą Kalmucki, i że kobiety i dzieci muszą się szybko ukryć, w przeciwnym razie zostaną schwytane. We wsi całym miesiącami opowiadano sobie straszliwe historie o tych jeźdźcach, zwanych przeważnie Kalmukami. Chłopi powiadali, że gdy niewycieczona niegdyś armia niemiecka okupowała znaczne tereny należące do Rosji, na stronę niemiecką przechodziło wielu Kalmuków, w większości ochotników i dezertersów z armii sowieckiej. Nienawidzili oni Czerwonych, i chętnie przyłączali się do Niemców, którzy pozwalali im rabować i gwałcić, zgodnie z tradycją i obyczajami wojennymi bitnych Kalmuków. Dlatego właśnie wysyłano ich do tych wsi i miasteczek, które należało ukarać za jakieś nieposłuszeństwo, a w szczególności do miast leżących na drodze nacierającej Armii Czerwonej.

Kalmuki, pochyleni nad karkami koni, pedzili galopem i kuli swą wierzchołkową ostrogami, wydając przy tym chrapliwe okrzyki. Pod rozpiętymi mundurami widać było nagie, brązowe ciała jeźdźców. Niektórzy jechali na oklep, część żołnierzy nosiła zawieszoną u pasa szablę.

Wiesi opanowało szalone zamieszanie. Na uliczkach było już za późno. Przypatrzywałem się jeźdźcom z ogromnym zaciekawieniem. Wszyscy mieli tułe, połyskujące w słońcu czarne włosy, właściwie były granatowo-czarne, ciemniejsze nawet od moich, podobnie jak ich oczy i smagła ciał. Mieli duże, białe zęby, wysoko osadzone kości policzkowe i szerokie, jak gdyby spuchnięte twarze.

Kiedy tak im się przyglądałem, poczułem na krótką chwilę ogromną dumę i satysfakcję. Przecież ci butni jeźdźcy byli czarnocy, czarnowłosi i ciemnoskórzy. Od ludzi ze wsi odróżniali się jak noc od dnia. Przybycie tych ciemnych Kalmuków sprawiło, że jasnowłosi mieszkańcy wsi odchodzili niemal od zmysłów ze strachu.

Tymczasem jeźdźcy wjechali już pomiędzy domy i zaczęli wstrzymywać konie. Kresy męcząca w zapamiętanie stannem mundurze i w czapce oficerskiej głośno wykrzykiwał rozkazy. Kalmuki zeskoczyli z koni i przywłączywali je do plotów. Brali z stołów kawy, szaroniebieskiego mięsa, ugotowanego pod wpływem gorąca wydzielanego przez konie i jeźdźców, jedli mięso rękami i popili coś z bukłaków, kaszając i brzygając przy tym śliną na wszystkie strony.

Niektórzy z nich byli już pijani. Wpadli do chat i chwytali kobiety, które nie zdążyły się ukryć. Mężczyźni uzbójni w swoje kosy próbował stanąć w ich obronie. Kalmuk jednym uderzeniem szabli ścinał kręgosłup z chłopców, pozostali usiłowali uciec, lecz powstrzymali ich kule.

Kalmuki rozproszyli się po całej wsi. Powietrze wypełniły przeraźliwe krzyki, rozlegające się ze wszystkich stron. Błyskawicznie rzuciłem się w gęstą kępę malin, rosnących dokładnie na środku placu, i przyplaszczylem się do ziemi jak glista.

Przyglądałem się wszystkim z uwagą. We wsi wybuchła panika. Mężczyźni próbowali bronić domów, do których Kalmuki już wtargnęli. Zabrzmiwały kolejne strzały i jakiś człowiek, ranny w głowę, zaczął biegać w koło, oślepiony swoją własną krwią. Ściął go jeden z Kalmuków. Dzieci rozbiegły się wszędzie, jak szalone, wpadały do rowów, przewracały się, przeskakując ploty. Jakies dziecko popędziło w te krzaki, w których się schowałem, lecz na mój widok wybiegło znowu, by runąć prosto pod kopyta galopujących koni.

Kalmuki wyścigali właśnie do domu półnagą kobietę. Szarpała się i krzyczała, bezskutecznie próbując złapać swoich oprawców za nogi. Śmiejąc się jeźdźcy batogami gnali przed sobą grupę kobiet i dziewcząt. Ich ojcowie, mężo-

wie i bracia biegali wokół błagając o litość, odpędzono ich jednak batami i szablami. Droga przez wieś biegł chłop z odciętą dłońią, szukał wytrwale swojej rodziny, choć z kikuta wciąż chlustała krew.

Tuż obok żołnierze zmusili jakąś kobietę, żeby położyła się na ziemi. Jeden żołnierz trzymał ją za gardło, a pozostali rozsunęli jej nogi. Potem któryś z nich posłał ją, położył się na niej i zaczął poruszać się w rytm okrzyków zachęty swoich kompanów. Kobieta wyrywała się i płakała. Kiedy pierwszy żołnierz skończył swoje, inni rzucali się na nią po kolei. Kobieta szybko opadła z sił i nie broniła się już więcej.

Kalmuki wyprowadzili z domu jeszcze jedną kobietę. Krzyczała głośno i prosiła o łaskę, ale żołnierze obnażyli ją i powalili na ziemię. Dwaj mężczyźni gwałcili ją jednocześnie, jeden zrobił to z przodu. Kiedy ofiara próbowała odwrócić głowę lub zamknąć usta, smagali ją bykownicem. Kobieta osłabła w końcu i poddawała się wszystkim z obojętnością. Inni żołnierze gwałcili od przodu i od tyłu dwie młode dziewczyny, przekazywali je sobie z rąk do rąk, kazali im wykonywać jakieś dziwaczne ruchy. Kiedy dziewczyny opierały się, chłostali je i kopali.

Krzyki gwałconych kobiet dobiegały ze wszystkich domów. Jednej dziewczynie udało się jakoś uciec, wybiegła półnaga na dwór, wyjąc jak zbity pies. Po jej udach elektry strumyczki krwi. Wypadło za nią dwóch roześmianych żołnierzy, na wpół rozebrani gonili dziewczynę po placu wśród śmiechów i żartów swoich towarzyszy. Pochwycili ją wreszcie. Przyglądali się temu szlochającej dziecku.

Żołnierze łapali wciąż nowe ofiary. Pijani Kalmuki podniecali się coraz bardziej. Kilku z nich kopuowało między sobą, później zaczęli prześlęgać się w gwałceniu kobiet na różne sposoby: dwóch lub trzech mężczyzn i jedna kobieta, kilku mężczyzn bardzo szybko jeden po drugim. Młodszych i bardziej atrakcyjnych dziewcząt Kalmuki omal nie porozrywali na kawałki, wśród żołnierzy wybuchły sprzeczki. Kobiety lękały i modliły się głośno. Odpowiadały im wściekle, przejmujące krzyki pozamykanych teraz w domach mężów, ojców, synów i braci, którzy rozpoznawali głosy swoich kobiet.

Na środku placu kilku Kalmuków popiszywało się umiejętnością gwałcenia kobiet na koniach w trakcie jazdy. Jeden z żołnierzy zdjął mundur, postawił tylko buty na swych wlochatych nogach. Najpierw jeździł w koło, a następnie zrezygnował z ziemi naga kobietę, którą doprowadził mu jego kompani. Musiała usiąść na koniu okrzakiem, przodem do jeźdźcy. Koń ruszył szybszym kłusem, jeździec przyciągnął kobietę do siebie i zaczął jej oprzeć się o kark zwierzęcia. Przy każdym gwałtownym kroku konia Kalmuk na nowo wchodził w kobietę, wydając przy tym zwycięskie okrzyki. Pozostali żołnierze nagrodzili ten wyczyn oklaskami. Później jeździec zgrabnie obrócił kobietę tyłem do siebie. Podsadził ją nieznacznie i powtórzył swoją sztuczkę od tyłu, przez cały czas ściskając kurczowo piersi dziewczyny.

Następny Kalmuk, zachęcony przez swoich towarzyszy, wskoczył na tego samego konia, przodem do kobiety, a plecami do karku zwierzęcia. Koń stanął pod tym ciężarem i zwolnił biegu, zaś obaj żołnierze równocześnie gwałcili omdlewającą kobietę.

Kalmuki dokonywali kolejnych sztuk. Przekazywali sobie teraz bezsilne kobiety podczas jazdy, z konia na konia. Jeden z Kalmuków usiłował spłokiwać z klaczą; inni pobudzili ogiera i próbowali wepchnąć mu pod brzuch dziewczynę, którą podtrzymywali za uniesioną w górę nogę.

Przepełniony strachem i wstrętem jeszcze głębiej wczułem się w krzaki. Teraz zrozumiałem wszystko. Pojałem, dlaczego Bóg nie słuchał moich modlitw, dlaczego wieszano mnie na hakach, dlaczego Garbos mnie bił, dlaczego utraciłem mowę. Byłem czarny: moje oczy i włosy były czarne, jak włosy i oczy tych Kalmuków. Widocznie moje miejsce było w innym świecie, przy nich. Dla takich jak ja nie mogło być litości. Wyrokiem strasznego losu miałem posiadać czarne włosy i oczy, podobnie jak ta banda bestialskich barbarzyńców.

Wtem ze stodoły wyszedł wysoki, siwy starzec. Chłopi nazywali go „Świętym”, a być może i on sam uważał się za świętego. Starzec miał na białej głowie wieniec z połówkowych, dębowych liści, w dłoniach trzymał ciężki, drewniany krzyż. Niewidziałem oczy „Świętego” — wzniesione były ku niebu. Jego bosa stopy, zdeformowane przez wiek i choroby, szukały na oślep drogi. Z bezbrzytnych ust płynęły żalobne słowa ponurego psalmu. Starzec zwrócił krzyż w kierunku swych niewidzialnych wrogów.

Żołnierze oprzytomieli na chwilę. Nawet ci, którzy byli pijani, wyraźnie poruszeni z niepokojem obserwowali „Świętego”. Potem jeden z nich podbiegł do starca i podstawił mu nogę. Starzec upadł rozluźniając chwyt i puścił krzyż. Kalmuki naśmiewali się z niego, czekali. Próbował się podnieść, szukając po omacku krzyża, kościelne, sekatę ręce starego człowieka cierpliwie szukały go na ziemi, ale gdy „Święty” był już blisko, żołnierz odciął krzyż

nogą. Starzec czołgał się bezradnie, mamrocząc coś i pojękując z cicha. Wreszcie opadł z sił, oddychał ciężko, z chrapliwym świstem. Kalmuk podniósł ciężki krzyż i postawił go pionowo. Krzyż chwiał się przez chwilę, a potem runął na rozciągniętą twarzą do ziemi postać. Stary człowiek jęknął i zastygł nieruchomo.

Jakis żołnierz rzucił nożem w dziewczynę, która chciała odczołgać się od napastników. Pozostawiono ją krwawiącą na ziemi; nikt nie zwracał na nią uwagi. Pijani Kalmuki wymieniali między sobą zbryzgane krwią kobiety, bili je, zmuszali do robienia różnych dziwnych rzeczy. Pewien Kalmuk wbiegł do domu i wyniósł małą, mniej więcej pięcioletnią dziewczynkę. Podniósł ją wysoko do góry, aby jego towarzysze dobrze ją widzieli. Zerwał sukienkę z dziecka. Kopnął dziewczynkę w brzuch, po ziemi pełzała jej matka, błagając o litość. Kalmuk powoli odpiął i zsunął spodnie, cały czas trzymając dziewczynkę jedną ręką w górze, powyżej swoich bioder. Potem przykucał i wbił się w dziecko raptownym pchnięciem. Kiedy ciało dziewczynki stało się bezwładne, Kalmuk cisnął je w krzaki i zwrócił się ku matce.

W drzwiach jednego z domów kilku półnagich żołnierzy walczyło z potężnie zbudowanym wieśniakiem, który stał na progu wywijając siekierą w obłąkającej wściekłości. Gdy żołnierze obezwładnili go w końcu, z wnętrza domu wyciągnęli za włosy sparaliżowaną ze strachu kobietę. Trzech żołnierzy usiadło na mezu, podczas kiedy reszta torturowała i gwałciła żonę.

Później wyciągnęli także dwie młodziutkie córki tego człowieka. Wykorzystując chwilę, kiedy Kalmuki nieco zwolnili uścisł, chłop poderwał się na nogi i wymierzył najbliższemu żołnierzowi gwałtowny cios. Kalmuk upadł, a czarna zmiażdżona nocy jaskółcze jajo. Spomiędzy włosów wypływała krew i białe kawałki mózgu, przypominające mięsą rozlupanego orzecha. Rozjuszeni żołnierze otoczyli chłopca, obezwładnili go i zgwałcili. Potem wykastrowali go na oczach jego żony i córek. Oszalała kobieta, gryząc i drapiąc rzuciła się na pomoc mężowi. Kalmuki przytrzymali ją mocno, siłą otworzyli jej usta i ryćca z uciechy wciągnęli jej do gardła strzępy krwawego ciała.

Jeden z domów stanął w ogniu. W powstałym zamieszaniu kilku chłopów ratowało się ucieczką w stronę lasu, wlokąc za sobą półprzytomne kobiety i dzieci, które potykały się co krok. Kalmuki na koniach zatrutowali paru ludzi, strzelali na oślep. Schwytali nowe ofiary, które bez zwłoki torturowali na miejscu.

Schowałem się w krzakach malin. Naokoło walczyli się pijani Kalmuki, szanse na to, że nadal pozostaną nie dostrzeżony, topniały coraz bardziej. Nie mogłem już dłużej myśleć; sparaliżowało mnie przerażenie. Zamknąłem oczy.

Kiedy otworzyłem je ponownie, ujrzałem Kalmuka, idącego chwiejnym krokiem w moim kierunku. Jeszcze bardziej przypłazczyłem się do ziemi, przestałem niemal oddychać. Żołnierz zerwał i zjadł kilka malin. Postąpił krok w krzaki i nadeptnął na moją wyciągniętą dłoń. Ból był nieznosny, ale nie poruszyłem się. Żołnierz wsparł się na karabinie i spokojnie oddawał moc. Nagle stracił równowagę, zrobił krok do przodu i potknął się o moją głowę. Kiedy zerwałem się do ucieczki, chwycił mnie i uderzył kolbą karabinu w pierś. Coś pękło we mnie w środku. Cios powalił mnie na ziemię, ale udało mi się podstawić nogę żołnierzowi. Gdy upadł, ucieklek klucząc w kierunku domów. Kalmuk strzelił, ale kula poszła rykoszetem od ziemi i świsnęła obok. Oddał jeszcze jeden strzał i znowu chybił. Zerwałem deskę z jakiejś stodoły, wlałem do środka i skryłem się w sianie.

W stodołę nadal słyszałem nieustające krzyki ludzi i skargi zwierząt, strzały karabinowe, trzaski palących się szop i domów, rzenie koni i ochrypły śmiech Kalmuków. Od czasu do czasu dobiegał mnie cichy jęk jakiejś kobiety. Głębiej zagrzebałem się w sianie, choć każdy ruch przynosił ból. Zastanawiałem się, co tam pękło w mojej pierś. Przyłożyłem rękę do serca; wciąż było. Nie chciałem zostać kaleką. Wyzerpany i wystraszony zapadłem w drzemkę, nie zważając na panujący wokół hałas.

Obudziłem się przerażony. Stodoła zakolała potężną eksplozją; runęło kilka belek i chmury pyłu przesłoniły wszystko. Usłyszałem nieregularne, pojedyncze strzały karabinowe i nieprzerwany terkot broni maszynowej. Wyjrzałem ostrożnie na zewnątrz, widziałem jak pijani, półnagzy Kalmuki próbowali wskakiwać na galopujące w popłochu konie. Z lasu i od strony rzeki słychać było ogień artyleryjski i ryk silników. Nisko nad wsią pędziła samolot z czerwoną gwiazdą na skrzydłach. Po chwili kanonada ustała, ale huk silników wciąż narastał. Zrozumiałem, że sowieci byli tuż tuż; nadeszła Armia Czerwona, nadeszli komisarze.

(fragment)

Przełożył:
MACIEJ ŚWIERKOCKI

Antoni Olman miał pecha: już po raz drugi z rzędu wypadła mu służba w noc wigilijną. Kłął na czym świat stoi, a komendant Ciszewskiego nazwał — i to publicznie — swinią. Ciszewski poczerwieniał jak dziewica, której zaproponowano nieprzyzwoitą zabawę i przyrzekł — też publicznie — że Olmana tak zatarwi, że mu woda w tyłku się zagotuje. A teraz mordę w kubek i wykonać rozkaz! Kto to widział, by strażnik droższy się jak niedopieczona wdowa i to jedynie z powodu, że nie zasiadł z żoną do wiewiórki wigilijnej. Odmaszerować!

Antoni Olman zacisnął szczękę, wpiął do kieszeni pobrańską krótkiej broni palnej (TT kaliber 7,62 numer ewidencyjny 738259) wraz z amunicją, złożył podpis w rejestrze dyżurów i bez słowa wyszedł.

Na dworze wiało, ostry śnieg wciskał się w rękawy, za kolanem, pod czapkę, wiatr tarosił przewieszoną przez ramie torbę. Cały świat był szary, spowity w ruchomą rozmazaną biel, która teraz, pod wieczór zaczynała się nasycać fioletem. Teren zajmowany przez zakłady był rozległy, trasa, jaką Antoni Olman miał przebyć w czasie swojej służby wynosiła prawie pięć kilometrów. W ciągu nocy przemierzał ją trzykrotnie: zaraz po objęciu służby, to znaczy gdzieś około siódmej wieczorem, później tuż po północy i ostatni raz o czwartej rano.

Zakłady Odzysku Metali Szlachetnych były znane nie tylko w mieście. Powszechnie mówiono na nie „Klondike”, gdyż u przeciętnych obywateli wyrobiło się przekonanie, że za murami ZOMS produkuje się złoto, platynę i srebro. To przekonanie utwierdzał także fakt, iż do ZOMS raz w tygodniu przyjeżdżały opancerzone samochody z uzbrojonymi konwojentami, cała straż przemysłowa pobierała wówczas broń, a wchodzących i wychodzących za bramę poddawano szczególnej kontroli. Ciepłe, ciemnozielone samochody były kierowane w stronę spadających zjazdów prowadzących gdzieś w podziemia. Antoni Olman nigdy tam nie był, ale słyszał od innych, że to właśnie tam, głęboko pod budynkami znajduje się skarbiec. Po paru godzinach samochody wyjeżdżały, ceremoniał się powtarzał, z tą jednak różnicą, że od bramy zakładów były one eskortowane przez milicjantów na motocyklach.

Wartownia znajdowała się przy głównej bramie i Antoni Olman nawet się ucieszył, kiedy wszedł do ciepłego jej wnętrza. Wyjął z torby termos, kawalek tortu, dwa słodkie wypelnione czymś bordowym, rybę owiniętą w folię. Następnie sprawdził system alarmowy: kontrolne żarówki były wygaszone, brzęczek milczał. Przez telefon połączył się z milicją, podał swój numer ewidencyjny. Nawet chciał powiedzieć: Wesołych Świąt, ale się powstrzymał. I aż się zdumiął, kiedy w słuchawce usłyszał:

— Wesołych Świąt i spokojnego dyżuru!

Trzy dni wcześniej z więzienia karnego w S. wyszedł na przepustkę za wzorowe sprawowanie się Tomasz Łasuch. Odsiedział sporo, całe dziesięć lat i pozostałe dwa już się nie liczyły. Rok nie wyrok, dwa lata jak za brata. Życiorys Tomasz Łasuch miał ciemny niczym noc grudniowa. Mając trzynaście lat trafił do poprawczaka i po pięciu latach pobytu w tym zakładzie reedukacyjnym zdobył takie życiowe doświadczenie, że wraz z dwoma kolegami dokonał napadu na plebanie w swojej rodzinnej wiosce. Pech chciał, iż ksiądz okazał się niewyrozumiały i zaciekle bronił bogactw doczesnych, jakie był uzbierał. Tomasz Łasuch w czasie procesu nijak nie mógł sobie przypomnieć przebiegu zdarzenia. Pamiętał tylko, że w pewnym momencie ksiądz uciekł zupełnie i przestał się ruszać. Łup był spory. Niestety, nazajutrz już siedzieli.

Wyroki były surowe. Jeśli zakład poprawczy można nazwać szkołą ogólnokształcącą, to więzienie, do którego trafił, okazało się uniwersyteciem. Po dziesięciu latach Tomasz Łasuch był już kimś. Spryt i o-

gromna siła fizyczna sprawiły, iż zmusił do posłuszeństwa i uległości nie tylko tych „spod celli”, ale z całego pawilonu, ba! z całego więzienia. Jednak jakoś nigdy nie było na niego skarg, strażnicy go nawet chwaliłi, ani razu nie był karany twardym łozem. Słowem — wzorowy więzień. Tomasz Łasuch uczył się, chciwie słuchał starszych repów co to odśladują „dożywkę z przerwami”, zapamiętywał adresy, pseudonimy, nazwy miast. Tu także po raz pierwszy usłyszał o Zakładach Odzysku Metali Szlachetnych.

Przyszli „pod celę” jeden taki zgred, właściwie nikt, o którym i wspomnieć nie warto. Mówił dużo i bez sensu. Powtarzał jednak nazwę miasta i fabryki, w której robią złoto. Opowiadał o konwojach owe skarby wywożących, o eskorcie milicyjnej, o tym, że jak ktoś ma szczęście, to czasem może pod płotem znaleźć kawalek owego szlachetnego kruszcu. Potem zgreda gdzieś przeniesiono i Tomasz Łasuch napisał raport do naczelnika, że pragnąłby Wigilię spędzić w gronie najbliższych. Co prawda nie bardzo wiedział czy owi najbliżsi ucieszą się ze spotkania z nim, ale przecież każdy pretekst jest dobry.

Przepustkę uzyskał. Trzy dni przed Wigilią. Wyszedł o dziesiątej rano, a wieczorem tego samego dnia był już przed Zakładami Odzysku Metali Szlachetnych. Zaczęli wychodzący z pracy Jolanta Patek, sprzątaczkę, której życie było podobne do splecionej osnowy lub do niezwykle złożonego stopu metali. Doszczętnie się wszystko przemieszało, zatraciło, straciło. Dwukrotna meżatka i dwukrotna wdowa. Jedna z tych, co to mają powodzenie, ale nie mają wzięcia. A teraz, kiedy przekroczyła czterdziestkę, zupełnie spasowała. Owszem, jakiś chłop czasem na noc, jakas wódka w towarzystwie — i tyle jej życia.

Jolanta Patek nie garnała się do nauki i dlatego od młodych lat zawsze egzystowała w kręgu kucharek, pomywaczek, sprzątań. Teraz także była sprzątaczką, choć jakby o czko wyżej od pozostałych kobiet zatrudnionych w Zakładach Odzysku Metali Szlachetnych: sprzątała w biurówce, konkretnie gabinet dyrektora, sekretariat i dyrektorski wc.

Tego śnieżystego wieczora natknęła się na Tomasza Łasucha. Nie krył skąd przychodził. Wyraził mimochodem zainteresowanie pracą w zakładach od razu się przyznając, że nie ma żadnych kwalifikacji.

— Silny jesteś — oceniła Jolanta Patek, gdy zasiedli do kolacji. — Mogłbyś na rampie. — Pewnie. — Albo w magazynach — zamysliła się. — Nie, tam cię nie dadzą. — Niby czemu? — Magazyny to magazyny. — Nie poradzę, czy jak? — Nie to, tam trzeba mieć czystą kartę.

Tomasz Łasuch zamilkł. Wiedział, że od razu o wszystkim nie można, trzeba wyczekać, wybrać moment.

Rzeczywiście, w czasie drugiej nocy, kiedy okazało się, że Tomasz Łasuch jest nie tylko silny, ale i wytrzymały, Jolanta opowiedziała mu o swoim podłym życiu, o beznadziejnej pracy, o strasznej starości, jaka ją czeka. Przy okazji opowiedziała także o zakładzie, o rozróżkach wśród administracji, o kombinacjach robionych przez tych, którzy pracują bezpośrednio przy odzysku, o częstych wpadkach i procesach, a najwięcej o jakimś Ryśku z magazynu drugiego, który jest bezczelnym skurwiellem i jak mu się zachce, to ją potrafi ścignąć do swojego kantorku nawet w biały dzień.

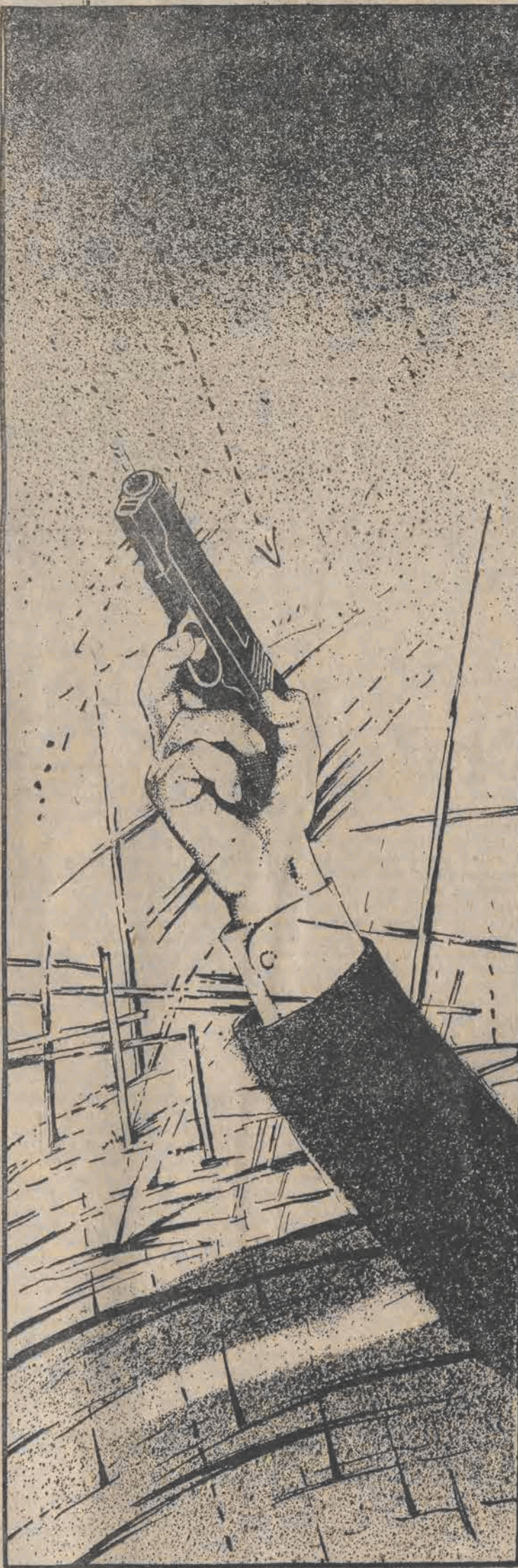
— Znaczą się, do blura? — udał zdziwienie Tomasz Łasuch. — Gdzie tam, w magazynie ma swoją kłitkę. — Co to za magazyn? — Ważny, może nawet najważniejszy, ale mnie tam wpuszczają bez przepustki. Śmieją się, kiedy tam idę, ale wpuszczają.

— Pewnie trzymają tam forsa, albo co. — E, tam, już prędzej złoto czy inszą platynę. Mówię ci, tam są takie drzwi, co ja mó-

Antoni Olman miał pecha i nic z tego nie wyszło dobrego.

To miał być ostatni skok

JAKUB I JAROSŁAW ŁASCY



rys. Janusz Szymanski-Glanc

wię, brama, przez którą wjeżdżają samochody. — Nie próbowałaś wziąć sobie coś od tego całego Ryśka? — Też coś! Chyba jakiś papierek z blurka. Na magazynie przecież nie puszcza, choć to obok.

I Jolanta Patek opowiedziała Tomaszowi Łasuchowi jak się idzie do tego magazynu, ile drzwi trzeba pokonać, gdzie jest kantorek Ryśka, a gdzie właściwy magazyn.

Reszty dowiedział się z obserwacji, choć wymarził oczywiście, kiedy nad ranem opuściwszy śpiącą Jolantę przeszedł wzdłuż murów okalających zakłady, a potem przez cały dzień, aż do wieczora gotował w pamięci wjeżdżające i wyjeżdżające samochody, trasy strażników, godziny ich obchodów. A kiedy wszystko przemyślał, ruszył do miasta.

Antoni Olman wykonał pięciokilometrowy marsz wzdłuż murów. Zmęczony, ale rozgrzany powiesił kożuch, zszedł ciepłe filcaki i zabrał się za przygotowywanie kolacji. Nawet wetknął do butelki po mleku sporą gałązkę świerku. Włączył radio. Nie miał apetytu, za to herbata okazała się wyśmienita. W ci-szy przerywanej jedynie jękami wiatru i pukaniem drobnych śnieżyn o szyby, usypiająco sycyliły się z radiodiodbiornika koledy. Antoni Olman wygodnie rozsiadł się w fotelu i zapalił.

Nie, nie spał, choć nie może także powiedzieć, by czuł. Ot, na moment wyłączył się, przeniósł się w myślach do domu. Z odrętwienia wyrwały go słowa: „Powtarzam: dziś o godzinie osiemnastej, na ulicy Okrężnej, dokonano bestialskiego napadu na funkcjonariusza milicji obywatelskiej sierżanta Władysława Michalskiego. Nieznany sprawca lub sprawcy zabrali pistolet. Sierżant Władysław Michalski o-sierocił dwoje nieletnich dzieci. Ktokolwiek wie... proszony jest o powiadomienie... Jednocześnie ostrzega się, że za ukrywanie przestępcy... Ostrzegamy raz jeszcze: przestępca lub przestępcy są uzbrojeni!”.

Zabijają się i bez wojny — pomyślał Olman. — Co za ludzie!

Słuchał dalej muzyki i wycia wiatru. Do kolejnego obchodu pozostawało czterdzieści minut. Właśnie wyciągał papierosa, gdy zajaśniał brzęczek alarmowy. Olman zerwał się z fotela: jedna z lampek na tablicy zapalała się i gasła. Szybko sprawdził sektor: trzeci. A więc przy magazynie!

W pośpiechu wciągnął na siebie mokry jeszcze kożuch, przewiązywał się pasem, sprawdził magazynek w pistolecie. A brzęczek aż się dusił od jęzgotu i czerwona kontrolka z wyrzutem łypała na niego swoim niespokojnym okiem.

Wybiegł.

W mętnej od zawiei nocy kłoto odbijały się rozmazane światła umieszczone wzdłuż muru. Olman brnął w sypek śniegu przecierając oczy. Sektor trzeci, czyli rząd magazynów był niedaleko, jakieś osiemset metrów. Kiedy dopadł pierwszego budynku, był mokry od potu i musiał przystanąć, by uspokoić oddech. Powoli ruszył wzdłuż muru. Wiatr wył przeraźliwie, chłostał w twarz, oślepiał. Nikogo. Drugi budynek. Też nikogo. Trzeci... Antoni Olman przetarł oczy: szybki cień mignął na lewo bramy wjazdowej... Ponośnie się wyłonił... Zastygł na moment... Znowu przepadł w skłębionej kurzawie. — Stać! — krzyknął Olman, ale wiatr zdusił głos, uniósł go pod niskie otwiane niebo. — Stać! Stać! — Zaczął biec ściskając broń.

Poczuł szarpnięcie, jakby ktoś schwyłszy go za prawe ramię usiłował przewrócić. Strzelał — przemknęło przez myśl. Ale biegł dalej i dopiero drugie uderzenie zmusiło, by zapadł za betonowym słupem oświetleniowym. Wystrzelił dwa — policzył Olman i zdziwił się, że jest tak spokojny. Nie był ranny, choć kożuch w dwóch miejscach był rozdarty. Tamten musiał skryć się za murek i teraz czeka.

— Wyła! — krzyknął. — Nie masz szans!

W odpowiedzi usłyszał przytłumione płaszczyce i kulę narozem sparzyła mu skórę na

policzku. Trzy — policzył. — A mój magazynek jest jeszcze tylko do tego strzelać jak nie przed tobą nie ma? Bardzo wolno — trwało to wieczność — wyrzucił zza słupa. Nie Pustka, noc i zamieć. Nie, jednak coś mignęło, poruszyło się, zakłóciło jednostajność walącego się na ziemię śniegu. Antoni Olman nacisnął spust. Cień znikł.

Pyk! Pyk! — dwa uderzenia pocisków w słup. Pięć — policzył Olman. — Został jeden, chyba, że zrabował także magazynek zapasowy.

Wyrzucił. Wychura jakby dostała szau: teraz śnieg walił nie tylko z góry, lecz wściekle podskakiwał zgniatany go z ziemi i porwał w obłądny, sataniczny taniec.

Antoni Olman uniósł się na kolana, potem na palce nóg, sprężył się i trzymając broń w wyciągniętej ręce skoczył ku magazynowi. W jakiejś przelotnej, niemal nie do uchwycenia chwili dojrzał wzbijający się ponad murek cień i w tymże samym momencie uczył tępe uderzenie w lewy bark. Lecz był to czas przeznaczony dla nich obu: Olman nacisnął spust i wystrzał poderwał mu dłoń ku górze. Cień przepadł. Sześć — skwitował Olman konstatając, że niezwykle ciepło ogarnia jego lewą stronę ciała.

Leżał zaraz za murem, rękami przyściśniętymi do brzucha. Śnieg zdążył przysypać twarz, ale oczy ciągle mrużyły usiłując wypatrzeć pochylonego nad nim Olmana.

— Dobij — powiedział szep-cem.

Antoni Olman z trudem łapał powietrze.

— Bądź człowiekiem — powtórzył leżący.

Olman stał jeszcze chwilę, potem przezyciężając ból i fale słabości ogarniające ciało, zdrową ręką dźwignął leżącego, zarzucił jego ramię sobie na szyję i zaczął iść ku wartowni. Była to najdłuższa droga w jego życiu. Musiał pokonywać napór wichury i coraz częściej nachodzący go słabość. Coraz to walił się w śnieg, wstawał, brnął paręnaście kroków i ponownie staczał się w niebyt, w czarną i ciepłą otchłań nie mającą ani trwania ani świadomości.

— Zostaw mnie — szeptał niekiedy zwisający bezwładnie człowiek. — Jeśli czego żałuję, to tego, że tak niecelnie strzelałem.

— Dobra, dobra — odpowiadał także szepcem Olman. — Pocierp trochę, zaraz dojdziemy.

— Nie jesteś git człowiek — mamrotał niesiony. — Jesteś zwyczajny skurwysyn...

Olman chwycił otwartymi ustami powietrze i nie odpowiadał.

Śnieżycą zmagala się, świat zupełnie zatracił swoje kształty. Antoni Olman zdawał sobie sprawę z faktu, że jeśli padnie i nie potrafi wstać, to zostanie na wieczność w owej nie mającej początku ani końca krainie znajdującej się poza ziemskimi wymiarami. Więc szedł siłą woli, bo siły ludzkie opuściły go już dawno.

Na korytarzu szpitala między skiego spotkały się dwa wózki. Na jednym leżał już zoperowany, z podłączoną kroplówką Tomasz Łasuch, na drugim wieszono przykryte prześcieradłem ciało Antoniego Olmana. Pielęgniarki zrzęcznie manewrując, uśmiechnęły się do siebie.

— Wesołych Świąt — powiedział młodsza.

— Wesołych Świąt! — odpowiedziała starsza.

I rozjechały się w dwa przeciwnych kierunkach.

Zafascynował mnie gramofon z bajecznie kolorową tubą. Stał w dużym pokoju na specjalnie dla niego przeznaczonym szafce. W jej wnętrzu kryły się wyszeregowane czarne kaski, z zakłętymi na nich piosenkami. Te tajemnicze maszyny można było uruchomić po uzyskaniu przyzwolenia babci. Ponieważ babcia, w natłoku zajęć, często zapominała o gramofonie, zdarzało się, że wraz z ciotką Izą łamałmy to niepisane domowe prawo i korzystając z ni-obecnosci babci, po nakręceniu korbki opornej sprężyny, puszczałyśmy płytę w ruch. Jakas pani żaliła się w piosence zawieszonym dyszantem:

Usiadł na płocie
Młodzien w trykocie
I śmiał się, jak ten balwan, śmiał
(...)
On całkiem naga widział mnie,
Zaskoczył mnie w głębokim śnie.
Co za straszny to był cios,
Nie podobał mu się nos.
On całkiem naga widział mnie...

Sens słów piosenek często umykał zrozumieniu pięciolatka. Wszakże ten tekst kojarzył mi się natychmiast z najgrubszą książką w zbiorach mojej babci Z. „Żywotami świętych”. Spośród rycin, bogato ilustrowanych książkę, wryła mi się w pamięć scena „wypędzenia z raju”. Wszyscy się zgadzało. Młodzien w trykocie to Archanioł Michał w zbroi ognistym mieczem zagradzający rajską bramę iwojgu zrozpaczonemu ludziom. Ta naga pani z piosenki — to Ewa. Jedynie nos Ewy nie zgadzał mi się z wizją ilustratora. Ciotka Izabela była słuchaczka tej piosenki na okragło. Ja byłam rad gdy się kończyła, bo po drugiej stronie płyty była moja ulubiona piosenka:

Panna Mania gra na mandolinie,
Udi-bidi-bińdzia, udi-bidi-bińdzia,
Udi-bidi-bińdzia, u-cha-cha!

Działo się to przeważnie w Łodzi na ulicy Radwańskiej.

Na początku był gramofon z bajecznie kolorową tubą

WŁODZIMIERZ SKOCZYŁAS

Jej refren wyzwał ze mnie kaskady niepomaganego śmiechu. Powtarzałem za śpiewającą z płyty, Faliszewskim: *Udi-bidi-bińdzia...* i zataczając się z radości, padałem wyczerpany na obitą zielonkawym motylem kanapę. Ciotka Izabela uspokajała mnie, bojąc się, że śmiech zważy babcię, która raz na zawsze zabroni nam dotykać gramofonu. Na szczęście babcia była zbyt zajęta tym, co działo się w pełnej gwaru sali restauracyjnej, więc z jej strony nic nam nie groziło. Wprawdzie słuch miała dobry, ale wzrok kiepski. Zawsze nosiła przy sobie buteleczkę z lekarstwem, które co jakiś czas wkraplała sobie pipetką do oczu. Mimo słabego wzroku nic nie umknęło jej uwagi. Uchem bezbłędnie wyczuwała moja obecność.

— Włoduś, umyj rączki, bo masz brudne — polecała mi kategorycznie. Kiedy zaś zwinęły w kłębek i drżący z zimna, w nie dogrzanej sypialni, chowałem się, wraz z głową, pod kołdrę, babcia strowała mnie ostro:

— Włoduś, trzymaj rączki na koldrze!

Prowadząc restaurację sprawowała w rodzinie władzę wręcz dyktatorską. Wszystko działo się z jej inspiracji i pod jej osobistym kierownictwem.

Restauracja mieściła się w rogowym domu u zbiegu ulic Radwańskiej (dziś ul. K. Świerczewskiego) i Inżynierskiej, na wprost głównej bramy wjazdowej do reżni miejskiej. Punkt był dobry i ruch niemały, więc wszystkie ciotki wraz z synową — moją mamą, wciągnięte były w klerat codziennych zajęć. Od rana do późnego wieczora, przez obydwie sale restauracyjne, przewijał się tłum spragnionych i głodnych gości, nie grzeszących wyszukanymi manierami. Aby zaspokoić ich apetyty, wszyscy musieli uwijać się jak w ukropie.

W obszernej kuchni, na zapleczu, niepodzielnie królowała pani Kotlińska. Jej talenty kulinarne wysoko cenili stali bywalcy lokalu. Rosła z domowym makaronem i sztukami z kwiatkami, gromadził tłumy amatorów, którzy w oczekiwaniu na wolny stół, raczyli się przy bufecie kieliszkiem wódki i kawalkiem doskonałej kielbasy, produkowanej każdej soboty przez pana Ignaca.

W sobotę, gdy przewalala się fala obiadowych gości, przy wyzozorowanym kuchennym stole, pan Ignac przystępował do dzieła. Niecierpliwie czekałem na ten moment. To nie kielbasy, salcesony czy kaszanki budziły moją ciekawość, ale, pełne niesamowitych treści piosenki śpiewane przez pana Ignaca. Siadywałem po turecku na matym stole wcisniętym w róg kuchni i z wypiekami na policzkach, wysłuchiwałem historii jak to:

Zapadła noc głucha,
W latarni wiatr dmucha,
Z toporkiem Łanucha
Zakrada się,
Fortepian kupuje,
Tischerów morduje...
Głucha noc i dmuchający w latarni wiatr napawał mnie grozą a w wyobraźni dziecka ów, zawinięty w gazetę, toporek — urastał do symbolu uniwersalnego narzędzia zbrodni. Pan Ignac miał niewyczerpany repertuar. Skończywszy balladę o Łanuszu, spoglądał groźnie na fertyczną Julię — pomocnicę kucharkę i już, znad piętrzących się na stole kielbas, płynęła inna piosenka:

Szła dziewczyna szybkim krokiem
I spojrzała lewym okiem,
Na swej matki grób,
Na swej matki grób.

Razem z „szybkim krokiem”. Kiedyś, w dalekiej przyszłości, tekst tej piosenki posłużył mi jako fragment monologu estradowego.

Wtedy, w rewanżu za wielkie bogactwo doznań artystycznych, recytowałem panu Ignacowi wiersze, których uczyły mnie moja mama i ciotki. Bardzo lubiłem deklamować, więc ochoczo wdrapywałem się na skrzynię z węglem i szarmancko szurnawszy nóżką, rozpoczynałem „Przysięgę Kościuszkę”.

Na krakowskim rynku tam ludu gromada,
Tadeusz Kościuszko dziś przysięgę składa...

Pan Ignac, po wysłuchaniu ostatniej strofy, z zapalem klasnął w dlonie, porwał mnie w swoje potężne ramiona i podrażając do góry, wykrzykiwał wzruszony:

— Och, ty pierdoleńcu! Ty maty pierdoleńcu!

W ten niewzruszony sposób dawał wyraz swemu zachwytowi. Podnajmowany przez babcię lokal służył głównie potrzebom restauracji, więc tylko jeden pokój, ten z gramofonem, przeznaczono na jadalnię, salon i bawialnię. Tu ogniskowało się życie całej rodziny. Sypialnie mieściły się na poddaszu, gdzie babcia od właścicielki kamienicy — pani Rauschowej — wynajęła dwa niewielkie pokoiki. Było w nich zimno i nieprzytulnie. Kilka łóżek, komoda z czterema przepastnymi szufladami i krzesła przy każdym łóżku stanowiły całe umeblowanie. Niewielki piec z żółtymi kafli, usytuowany w ścianie dzielącej pokoje, nie spełniał swego zadania. Pokoiki znajdowały się na wprost góry do suszenia bielizny, więc zimą nie ich nie chroniło od mroźnych podmuchów. Nie lubiłem tam chodzić.

Okres świąt Bożego Narodzenia był pełen atrakcji i niespodzianek. Zawsze w „Trzech Króli” pojawiali się „Herody” przyjmowani w domu babci zgodnie z tradycją. Tego dnia restauracja była nieczynna, w jednej z sal odsunięto stołki pod ściany, widownie siedli na ustawionych w kółko krzesłach, a na środku rozgrzewały się „Jasełka”. Zasmiewałem się z dowcipów „Żyda” z piosenki „proszalnego dziada”.

Napił się dziadus ciepłego wina,
Zaczął tańcować koło kominka,
Babcunia rada rączkami klepie,
„Tańcujże dziadu, tańcujże lepiej”.

Niepokoili mnie tylko torba, którą dziad podsuwał widzom, dopraszając się datków. Zrozumiałem — „przyjdzie dziad i weźmie cię do torby”. Niena widziałem sprawcy rzezi niewinłatek — Heroda. Ogarnięty prawdziwym strachem, tuliłem się do mamy, gdy śmierć ścinała kosą głowę Heroda, a diabeł nadziewał go na widły krzyżące:

— Królu Herodzie za twe zbytki
Chodź do piekła boś ty brzydki!

Po skończonym przedstawieniu „Herody” zbierali pieniądze do skarbonki, za zdrowie wszystkich obecnych wypijali po „kruczkę”, szerokim zamachem ramienia opróżniając kieliszek z resztek wódki i odchodzili.

Wszyscy wrócili do zastawionego stołu, a ja, niepostrzeżenie, wywniłem się do drugiego pokoju. Tam, w szufladzie pod lustrem, mama chowała czarny ołówek do brwi. Namalowałem sobie zabójcze wąsy, szminka do ust uróżnowała czubek nosa i policzki, w szafie znalazłem zapomniany melonik, założyłem, sięgając mi do kostek, smokingową marynarkę ojca i chwyciwszy z sieni trzcinową łaskę, wywniłem się na korytarz. Nikle światło żarówek z trudem rozpraszało mrok klatki schodowej. Pokonując strach, cichutko zacząłem wspiąć się na górę. Na drugim piętrze kończyły się kamienne schody i solidna poręcz. Wyżej czyhała na mnie ciemność i strone, przeraźliwie skrzypią-

ce, drewniane stopnie. Zatrzymałem się na półpiętrze. Na dole trzasnęły zamykane drzwi. Ktoś wchodził po schodach. To była moja mama. Dobiegła na drugie piętro i tu, przeczornie, zapaliła przygotowaną wcześniej świeczkę. Cofnąłem się w mrok, a kiedy mama była u schodów, uchyliłem melonika mówiąc uprzejmie:

— Dobry wieczór pani.

Mama krzyknęła przeraźliwie i miękko osunęła się na podłogę. Przestraszony nie na żarty zacząłem głośno beczeć. Po chwili nadbiegł ojciec z ciotkami. Szybko docucili omdlałą mamę i, słaniając się, odprowadzili do łóżka, nie zapomniawszy po drodze sprząć mi tyłka. Ten pierwszy kostiumowy występ przeszedł moje najśmielsze oczekiwania. Dzisiaj już wiem, że użyłem wtedy zbyt silnych środków wyrazu.

Dopiero na Wielkanoc zapomniano o moim wybruku i ojciec zabrał mnie do Teatru Miejskiego (dziś Teatr Stefana Jaracza) na ul. Cegielnianą. Tam, po raz pierwszy na prawdziwej scenie zobaczyłem bajkę o Kopciuszku. Treść bajki znałem ale uwagę moją przykuły latające z góry gołębie, wybierające groch z popiołu i z powrotem wzbijające się całym stadem w niebo. Onie- miałem z zachwytu, gdy dobra wróżka jednym machnięciem zaczarowanej różdżki, w błysku ognia i dymu, zamieniała odzianego w łachmany Kopciuszka, w kapiącą od złota królową.

Na wyjaśnienie dręczących mnie problemów musiałem poczekać jeszcze wiele lat.

Będąc już aktorem Teatru Stefana Jaracza, zaprzyjaźniłem się z Henrykiem Głowackim, elektrykiem teatralnym i niedościgłym specjalistą od efektów scenicznych. Owe urzekały mnie czary były jego dziełem. Po prostu stado wypchanych gołębi, przymocowane do drucianego stelaża, opuszczano z góry na mocnych, jedwabnych nitkach i wciągano z powrotem. Kopciuszek pod łachmanami był ubrany w królewską szatę, a Heniek Głowacki, ukryty w zapadnię pod sceną, w chwili wybuchu magnetyzacji, energicznie ścigał łachmany z aktorki. Ot i cała tajemnica. Byłem dumny, że na swej aktorskiej drodze spotkałem człowieka, który we mnie, wtedy dziecku, wywołał tak niezatarte wrażenie.

Na ulicy Głównej, przy Piotrkowskiej, gdzie dziś jest wielki parking przed łódzkim „Manhattanem”, było kino „Adria”. Czasami siedłem tam razem z ojcem na filmy z Patem i Patachonem. Siadałem w pierwszym rzędzie na balkoniku. Cóż to było za wspaniałe komedie! Nic mi nie przeszkadzało, że kino było nieme i tylko, usadowiony przed ekranem, pianista ilustrował muzyką zabawne perypetie moich ulubieńców. Śmiałem się szaleńczo, podskakiwałem na krzesle i wymachiwałem z radości, berecikami. Kiedyś mój berecik wywładował wśród krzesel, na dole. Już go nie znaleźliśmy. Mała strata, krótki żal, bowiem na drugi dzień dostałem szkolną czapkę. Taką, jaką nosili uczniowie z gimnazjum Żimowskiego.

Kept wojska francuskiego
noszą malpy z Żimowskiego,
A tą malpą się zachwycą
Druga malpa od Staszycy...

Uczniowska czapka sygnalizowała nadchodzące zmiany w moim życiu. Jesienią, wcześniej niżby to wynikało z obowiązku szkolnego, zapisano mnie do klasy „A” w gimnazjum Żimowskiego. Budynek szkolny był z czerwonej cegły i mieścił się przy ulicy Tylniej, na wprost obecnego basenu „Olimpij”. Niewiele wspomnień wyniosłem z tego okresu. Bardziej ekscytowały mnie wydarzenia dotyczące się w pobliżu domu, na Radwańskiej. Za reżnią, przy ulicy Wolowej, na rozległych polach zarosniętych chwastami, rozpoczęto budowę pierwszej łódzkiej radiostacji. Wysoki plot skrywał przed moimi oczami teren budowy. Na szczęście, ludzie którzy tam pracowali, jadali obiady w restauracji mojej babci. Wyodrębniłem wśród nich pana Kawkę. Przyjechał z Poznania i był głównym monterem, wyłaniających się z za plotu, radiowych wież. Jego praca wymagała niezwykłej siły i wielkiej odwagi. Rozpięty jak pajak, na kratownicy wieży, sam wciągał uciepłone do liny stalowe elementy, łącząc je nitami z dolną konstrukcją. Przy jego stoliku, gdy zasiadał do obiadu, nigdy nie brakowało ciekawskich stawiających mu „kolejki” za udzielanie wyczerpujących wyjaśnień o postępującej budowie. Zapytany czy nie boi się pracy na takiej wysokości — odpowiadiał:

— Jo nie mam strachu. Styrę lata i styrę miesiąc bylem za kajzera Wilhelma na francuskim froncie. Dostużyłem się feldfebla. Czego ty się bać?

Kiedys przegadali się z panem Woskowiczem, rzeźnikiem. Poszło im o Augustynasa Waldemarasa, ówczesnego premiera Litwy, który wszczął zatarg z marszałkiem Józefem Piłsudskim, rosząc sobie pretensje do Wilna. Pan Woskowicz wielbił „Dziadka” obrzucał Waldemarasa najgorszymi wyzwiskami. Kawka — poznaniak — programowo nie uznając Piłsudskiego, wziął stronę Litwina. Burza wisiła w powietrzu. Na szczęście napletła sytuację, mimo woli rozładował sam pan Woskowicz. Z pogardą patrząc na jedzącego drugi talerz zupy pomidorowej z ryżem, pana Kawkę, zadrwił:

— I pan jesz ryż? Przecież to trupie zęcy.
Pan Kawka zamart bez ruchu, potem gwałtownie odsunął talerz i wyszedł. Odtąd unikali się wzajemnie.

Dla głównego inżyniera, pana Ormowicza, na czas obiadu przygotowywano zawsze ten sam stół, nakrywany świeżym obrusem. Czasami towarzyszył mu dyrektor całego obiektu, pan Tokarczyk, lub administrator, Bolesław Busiakiewicz, były kapitan Wojska Polskiego, spensjonowany po wypadkach majowych. Tak więc wiadomości miałem zawsze z pierwszej ręki.

Gdy zakończono budowę i łódzka radiostacja miała rozpocząć emitowanie programu, odwiedził moją babcię dyrektor Tokarczyk, prosząc ją o wypożyczenie gramofonu. Tak jest! Przed owym gramofonem, z bajecznie kolorową tubą, ustawiono mikrofon i w eter popłynęły z płyty dźwięki muzyki.

Nie wiem jakim utworem zainaugurował swą pierwszą audycję działający już wtedy redaktor muzyczny, Bolesław Busiakiewicz, ale płyta na pewno pochodziła z „Łódzkiego Salonu Muzycznego” pana Klingbauma. Z zalem myślę, że nie była to piosenka Falliszewskiego — *udi-bidi-bińdzia...*

Po kilku dniach gramofon wrócił na swoją szafkę, jednakże stracił na atrakcyjności, bowiem moje miejsce zajął aparat radiowy zasilany z baterii, a kolorową tubę zastąpił czarny głośnik z ebonitu, wygięty w znak zapytania. Łódzki program radiowy miał ograniczony czas emisji. Odbiorowi towarzyszyły trzaski i gwizdy będące, podobno, wynikiem zakłóceń atmosferycznych. Jednak mimo niedoskonałości odbioru, a również niedoskonałości odbiornika, przy głośniku gromadziła się zawsze spora grupka miłośników radia. Spikerami byli wtedy aktorzy łódzkich teatrów — Marian Lenk i Zdzisław Suwalski.

Po wielu latach pracowałem ze Zdzisławem Suwalskim w jednym teatrze. Natychmiast rozpoznałem w nim bywalca babcię restauracji. Czułem się oniesmielony, gdy po premierze sztuki „Dwanaście krzesel” Ilfa i Pietrowa, w Teatrze Powszechnym Zdzisio zaproponował mi „bruderszafta”. Wtedy, na Radwańskiej, nawet w najśmielszych marzeniach nie przypuszczałem, że dostąpię takiego zaszczytu.

Na początku lat trzydziestych łódzkie radio dorobiło się własnej audycji satyrycznej, wzorowanej na „Wesołym Lwowskiej Fali”. Pojawiła się w programie pod skromnym tytułem — „Dymek z komina”. Audycja miała zasięg lokalny i jakkolwiek nie stworzyła takich indywidualności jak Szczepcio i Tońcio, podobała się... no... prawie wszystkim. Mój serdeczny śmiech przeszkadzał w odbiorze pozostałym słuchaczom, oczekującym na przyniki, których nie szczędono luminarzom naszego miasta. W pamięci zachowałem strzępki słów programowej piosenki, śpiewanej przez zespół wykonawców.

Żuż idzie dymek z łódzkiego komina
Nastawie uszu, panowie, już czas,
Waszą piosenką audycję zaczyna
Wesłoy „Dymek z komina” — wita was.

Tak brzmiał początek audycji, a final:
Przysłowie mówi, że spiesz się powoli,
Bo żółta zająca przegoni, gdy chce,
Wysłcie zające, kochani panowie,
A „Dymek” nasz niechaj żółwem się zwoje!

Krótki był żywot tego programu. Podobno zaszkodziła mu niefortunnie dobrana melodia, skomponowana przez Dunajewskiego do popularnego wówczas filmu „Świat się śmieje”. A może przyniki były zbyt ostre? W każdym razie nie zaszkodził pamiętać, że korzenie „Wesołego Autobusu” i „Programu z Dywanikiem” sięgają odległych i prawie zapomnianych czasów „Dymka z komina”.

Zawsze ciągnęło mnie tam, gdzie działo się coś wesołego. Magnesem był dla mnie teatr pod każdą postacią. Zarówno zawodowy, jak i amatorski. Zazdrościłem kolegom, którzy grali w szkolnych przedstawieniach. Nie miałem szczęścia do „pań od polskiego”. Żadna z nich nie widziała mnie w obsadzie reżyserowanych przez nie sztuk.

Raz tylko udało mi się „podłapać” rolę aniołka, zreszta jednego z wielu, w Żywocie świętego Stanisława Kostki. Przedstawienie grano kilkakrotnie w podziemiach kościoła Matki Boskiej Zwycięskiej, pod światłowym protektorem księdza kanonika Kaczynskiego. Peszyła mnie różowa koszula nocna mojej mamy, w którą byłam odziana. Bibułkowe skrzydła, przypięte gumkami do ramion, skutecznie ograniczały moje ruchy. Sztywny jak krętek, ze złożonymi pobożnie rączkami, śpiewałem nienaturalnie obniżonym, drugim głosem: „Święty, święty, święty...”

Za to, za moje szkolne niepowodzenia, brałem odwet na obcozach harcerskich, gdzie nie skrępowany gustem nauczycielek, popisywałem się przy wieczornych ogniskach wesołymi wierszykami i piosenkami.

Ach, wyjdź na balkon dziewczyno,
I ukaz sukni choć rąbek.
Ja stoję tu, gołębiczo,
Twój stary, siwy gołąbek...

Ten wierszowany monolog niezmiennie wzbudzał entuzjazm słuchaczy i nawet nie spodziewałem się wtedy, że tymi występami wypiszę sobie moją obecną żonę.

Występy podwórkowych akrobatów, cyrk, kino i teatr zawsze były na pierwszym miejscu w kręgu moich zainteresowań. Doskonale bawiłem się na „Gałązce rozmarynu”, granej w teatrze „Skala” (obecnie Teatr Nowy), na „Pigmalionie” w Teatrze Miejskim, ale bezwstydnie przynajmniej do tego, że na „Antygonie” zasnąłem. Wkrótce jednak miało się skończyć beztróskie życie.

Wojna zagnała mnie do obozu koncentracyjnego w Dachau. Pierwsza Wigilia w obozie była smutna, głodna i zimna. Ktoś pokrajał ciawkami czarnego, przydługiego chleba na cienkie plasterki, które miały zastąpić opłatek. Ktoś zaczął cicho nucić koledę. Próbowaliśmy śpiewać. Szło nam niesporo. Niektórzy rozkleili się zupełnie, płacząc bez zępady.

„Jestem se gazda, siedzę se na przyzbie, fajeczkę se pykam, pogoda prześliczna, słonecko świeci, ptasiki ciurkają, ino dzień beł pechowaty...”

Natrętna myśl przywoływała w pamięci pierwsze słowa monologu, którym popisywałem się na harcerskich ogniskach. Może opowiadanie starego gady spotka się tutaj z życzliwym przyjęciem? Zdecydowany, ustawiłem taboret na środku ławy, wzięłem nań i zwołałem:

— Kolesi! Powiem wam gadkę góralską. Jezdem se gazda... Niektórzy paykali ze zgorznięciem chcąc mnie uciszyć, ale milkli w milare, jak snula się moja opowieść. To co mówiłem o perypetiach dwojga „ceprów” — pana i paniusi. Było tak odległe i tak nierealne, że absurdalność roztaczanych przeze mnie obrazów, w zderzeniu z otaczającą nas rzeczywistością, jeszcze bardziej potęgowała komizm sytuacji. Najpierw pojedyncze śmiechy przerywały niepewnie zawieszoną ciszę, a gdy przy kolejnej kraksie gazdowskiej brzyzuszki, buchnął gromki śmiech, wyrywał ze swej dziupli szubowy. Szedł do mnie i byłby mnie palnął w ucho, ale zniewolony beztróskim śmiechem kolegów, zatrzymał się w pół gestu. Śmiech go zwyciężył. Nie rozumiał ani słowa po polsku, a śmiał się wraz ze wszystkimi. Zwabiony naszym śmiechem, zjawił się niespodziewanie blokowy. Na jego życzenie musiałem powtarzać monolog kilka razy. Zarobiłem pierwszą gażę. Pół bochenka chleba.

Zyskałem świadomość, że potrafię natrącić swoją wolę słuchaczom. Przez krótką chwilę wszyscy zapamiętali o otaczającym nas koszmarnie. Kształtując nastroj, wywołiliem z nich serdeczny, niczym nie hamowany śmiech. Przez ten moment byli wolni. Ten wigilijny wieczór zapadł mi głęboko w pamięć. Właśnie wtedy postanowiłem zostać aktorem. Działo się to 24 grudnia 1940 roku. Takich Wigilii przeżyłem pięć. Aby zostać aktorem musiałem poświęcić jeszcze wiele lat pracy. Do dziś usiłuję rozszyfrować mechanizmy wywołujące śmiech. Był śmieszny, był dowcipny, miał poczucie humoru, to — wbrew pozorom — wcale nie znaczy to samo. Ale to już zupełnie inna historia.

Łódź, listopad 1987 rok

Szczerze cieszyłem się na to spotkanie. „Naukowy wróżbiśta” wyraził zgodę na spotkanie po dłuższym wahaniu.

— Słyszałem — powiedziałem po przywitaniu — że posiada pan niezwykle rzadkie dziś karty do taroka?

— Niezwykle tak... Tarok to znana od XVIII wieku, hazardowa gra w karty. Ja natomiast posiadam faktycznie niezmiernie rzadko spotykane, kto wie czy nie jedyne w kraju, oryginalne karty tarota...

Małe pomieszczenie dosłownie obstawione książkami i pałkami, trochę broni, jakieś wólczyce, luki, ozdoby, amulety.

— Posłuchajmy innej nieco muzyki — proponuje JAN SULIGA — będzie nam się lepiej rozmawiało. Ja ją nazywam muzyką motyli...

Po chwili niewielki pokój wypełnia tętniąca melodia grana na instrumentach strunowych.

— Nigdy nie marzył pan o wytworzeniu złota? — pyta gospodarz.

— Nie — mówię zdziwiony. — A pan?

— Ja rozczynywałem się w starych księgach, zakurzonych przepisach, alchemicznych poradnikach — uśmiecha się do wspomnień. — Przez wiele lat także eksperymentowałem. Gotowałem, warzyłem, smażyłem. Próbowałem. Kiedyś, realizując wskazania ze starych, pozłótkich kronik, niemal wysadziłem w powietrze piwnicę w domu babci kolegi... Wszystkie swoje obserwacje, doznania, przemyślenia z tamtych lat i późniejszych zawarłem w książce złożonej w Wydawnictwie „Pomorskie”. Jej tytuł „Jednoróżec albo traktat hermetyczny”. Będzie to bodaj pierwsza powieść... alchemiczna.

— Na karty widać było jeszcze za wcześnie?

— Chyba tak. Choć byłem — jak mówiono — nad wiek rozwinięty, to jednak moje zainteresowania jakoś mijaly się z ambicjami i pragnieniami rówieśników. Zawsze, jak sięgałem pamięcią, intrygowały mnie, wręcz fascynowały — lustra...

— Krzywe zwierciadło? Może drugie ja?

— Nie, zawsze miałem — i mam — wrażenie, że siedzę tu, jakby odwrócony, a za moimi plecami, z tyłu — świat się wali, przewraca. Lustra pomagają mi kontrolować co się tam, za mną dzieje... A kolejna fascynacja — to słowa Świąt widzę ja, widzą inni. Ale ile opisów — tyle wizji. I tyleż światów. Mówiąc czy pisząc jestem kreatorem nowego świata!

— Trzeba było te wizje opisać.

— I pisałem. Zaczęłem mając chyba 8 czy 9 lat. Różne, często fantastyczne, wymyślone historie, trochę wierszy, żońnie — prawie filozoficzne — opisy.

— I gdzie się one podziały?

— Mam je, są bezpieczne, bo nie do rozszyfrowania dla laika.

— Pewnie pisane sympatycznym atramentem...

— Nie. Ponieważ zawsze intrygowało mnie to, co nieodgadnione, niezgłębione, tajemnicze, więc stworzyłem znany tylko mnie i przyjacielowi alfabet. Nikt do dziś nie został w nasz szyfr wtajemniczony; często używam go, gdy chcę coś tylko dla siebie zapisać. A posługuję się nim również sprawnie jak tradycyjnymi literami.

— Mam wrażenie, że został tylko króć do mistycyzmu.

— Jestem mistykiem, choć twierdząc stąpać po ziemi. Mistyka nie zakłada zresztą wiary, zakłada — doświadczenie. A tarot jest jednym z elementów moich mistycznych zainteresowań.

Sięgnął po skórzaną, wytartą etui i wydobyl zeń grubą talię dużych prostokątnych kartoników. Z nabożnictwem przesunął je chwilę w palcach. Migaly mi przed oczami figury niezmiernie podobne do obrazów Dürera... Obok leżała stara, zużyta talia. Gdy sięgnąłem w jej kierunku, szybko przykrył karty dłonią.

— Proszę, niech pan ich nie dotyka. To karty, którymi wróżyła jeszcze moja babcia. Od niej je otrzymałem, nie chcę by trzymał je w ręce ktoś „obcy”.

— Zgoda. Wróży zatem do tarota.

— Pojawili się w Europie w XV wieku, początkowo znany był tylko we Włoszech. Karty te przewidywały — tak się przypuszcza — z Azji, być może przywiezione przez Arabów. O kartach wspomniano jeszcze wcześniej, według starych zapisów nazywano je „naibi”,

co może pochodzić od hebrajskiego słowa „newim” (pro-rok). We Włoszech znane były pod nazwą „tarocchi” choć etymologii tego słowa z XVI wieku nikt już nie znał...

— To nieznanie z klasycznej talii wizerunki różnych osób, kogoś one miały wyobrażać?

— Talia kart tarota składa się z dwóch części. Oto dwadzieścia dwie karty o szczególnie silnym znaczeniu, zwane Major Arcana (Wielkie Wtajemniczenie). A symbole, w kolejności, od zera — to głupiec, jeden — to Magik, następnie — Papież, Cesarz, Cesarzowa, Cesarz i inne. Jest i Diabeł, jest Gwiazda, Księżyc, Słońce, Świat. Major Arcana to jakby współczesne atuty, karty najsilniejsze.

— W drugiej części też widzę występują „osoby”. Czy choć te są podobne do dziś spotykanych kart?

— Częściowo. Pozostałe 36 kart to Minor Arcana, jakby dzisiejsze „kolory”. Każdy z nich składa się z Króla, Królowej, Rycerza, Giermka i kart od dziesiątki do asa.

— Tyle, że symbole odmiennie.

— Nie tak bardzo. Proszę popatrzeć: oto miecz, czyli dzisiejsze — piki, symbolizujące stan rycerski, oto kielichy — czyli kiery, a stan — duchowieństwo, z kolei monety, denary to dzisiejsze kara, zaś monety były symbolem mieszczańskiego stanu, wreszcie — kije, pospólstwo, dziś — trefle.

— Ponoć karty tarota przywiozła do Polski Królowa Bona.

— Jest to możliwe. Karty te rozpowszechnione były na południu Włoch bardzo popularne w dwóch, wielkich rodach: Visconti i Sforza. Sforzowie władali wówczas Mediolanem, a u nadwornego malarza Bonifacio Bembo zamówili kilka tali tarota. Namalował je, a pięć tali, choć niepełnych zachowało się do dzisiejszych czasów. I ciekawostka: we wszystkich brakuje tych samych, czterech kart: Diabła, Wieży, trójki mieczy i rycerza denarowego.

— Dlaczego zginęły akurat te?

— Być może dlatego, że zestawienie tych czterech kart jest złowroczne? W każdym razie oryginałów nie odnaleziono.

— Na wielu kartonikach widnieje ten sam, dziwny napis.

— Tak, „abon droyt”, co można przetłumaczyć jako „góra szlachetna”. Widnieje na wszystkich kolorach; było to ponoć zawołanie rodu Sforzów. Choć na jednej karcie, dwójce kielichowej widzimy inny: „amore mio”. Ale też ta karta wróżyła miłość dwójga...

— Z czasem zainteresowali się tarotem masoni i okultyści.

— O, od czasów Bonifacio Bembo upłynęło jeszcze sporo dziesięcioleci. Tarot rozpowszechnił się w Europie, przede wszystkim we Francji. Pojawili się różne jego odmiany, z których najbardziej znaną jest masylijska. Wiąże się z tymi kartami masę legend, symbolika tarota miała wpływ w wiekach późniejszych na wielu twórców, między innymi na malarstwo Dürera, a także twórczość autora „Rekopisu znalezionego w Saragossie”. Natomiast już w osiemnastym wieku w Paryżu pojawiła się książka „Świat prymitywny” niejakiego Courta de Geblina, który wspomina w niej między innymi o odnalezieniu w Egipcie świętej księgi boga Thotha, a w niej jakoby wizerunków tych 22 Major Arcana. Sugeruje jednocześnie, iż tarot kryje tajemną wiedzę starożytnych Egipcjan...

— Z czasem trafia do muzeum.

— Te pierwsze jego odmiany — można tak powiedzieć, choć istnieją i jest używanych — kilka tysięcy, różniących się ikonografią. Znany jest choćby tarot w mistrzowskim wykonaniu samego Salvatora Dali. Ale przede wszystkim z 78 tarota narodziły się w dziewiętnastym wieku 52 „normalne” karty.

— Pozostał tarot wróżebny... Ale jak od alchemii, luster i pierwszych pisarskich doświadczeń doznał pan do wróżby?

— Wierzę, że każdy z nas znajduje się na pewnym etapie swej życiowej drogi, jakby wśród tych 22 kart. Wszyscy przeżywamy podobne cierpienia, mamy podobne doświadczenia, choć różnie je interpretujemy. Wróżę człowiekowi o nim samym, mówię mu jaki jest, odkrywam, pokazuję jego możliwości, potencjał, zdolności, kompleksy. Nie lubię wróżenia o przeszłości lub przyszłości. A skąd się to we mnie wzięło? Nie wiem. Jeszcze w szkole średniej interesowały



Foto: K. Turowski

Kabala dla... „Odgłosów”, czyli co nas czeka w 1988 roku.

Karty tarota i „naukowe wróżby”

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

mnie wyłącznie zaginione kultury.

— Inkowie, Majowie, Indie? — Trafiam na etnografię. I do sekcji indyjskiej przy kole naukowym filologów polskich. Uczylem się sanskrytu, bo znów wciągnęły mnie oryginalne teksty mówiące o sztuce, plastyce, religii, obrzędowości, mitologii. W 1977 roku wyjechałem po raz pierwszy do Indii, tuż po napisaniu pracy magisterskiej. Później pracowałem przez kilka lat w Muzeum Azji i Pacyfiku.

— Pozostał tarot wróżebny... Ale jak od alchemii, luster i pierwszych pisarskich doświadczeń doznał pan do wróżby?

— Wierzę, że każdy z nas znajduje się na pewnym etapie swej życiowej drogi, jakby wśród tych 22 kart. Wszyscy przeżywamy podobne cierpienia, mamy podobne doświadczenia, choć różnie je interpretujemy. Wróżę człowiekowi o nim samym, mówię mu jaki jest, odkrywam, pokazuję jego możliwości, potencjał, zdolności, kompleksy. Nie lubię wróżenia o przeszłości lub przyszłości. A skąd się to we mnie wzięło? Nie wiem. Jeszcze w szkole średniej interesowały

— Co nie przeszkadza, że ma miejsce. Wyprawa była jak z dziecięcych marzeń: w dżungli, dzikie, mało znane rejony stanu Orissa, a towarzyszył mi przewodnik, kucharz i tragarz. Siedziałem tam kilka tygodni, poznałem między innymi uchodźców tybetańskich, podpadziałem szamanów. Wróciłem cały i zdrowy, tylko jesz-

cze bardziej odurzony tym krajem.

— Przepraszam, ale interesuje mnie skąd pan miał fundusze na prywatną wyprawę?

— Czy to istotne? Z szamańskich praktyk...

— W Instytucie Geografii uchodził pan za specjalistę od Indii...

— W cudzoziemiu. Ale faktem jest, że w czasie wyprawy powstał pomysł pracy doktorskiej o dzikich plemionach i ich zwyczajach. Jest gotowa, choć jeszcze nie obroniona. Będąc zaś na stypendium doktora, w 1984 roku przebywałem przez rok w Indiach. Między innymi wśród plemion w południowym Biharze. Tam powstała znaczna część wspomnianego już „Jednoróżca”, tam zrodził się pomysł innej książki, dla dzieci, pod tytułem „Dżambudwipa — Kraj Różanej Jabłoni”. Jest — to mówiąc najkrócej — historia tego wspaniałego kraju pisaną językiem dla maluchów.

— Gdzie ukazała się ta książka?

— Na razie czeka. „Nasza Księgarnia” planuje ją dopiero na 1988 rok.

— Ile było książek? Czy może będzie? Bo oprócz wspomnianych znam jeszcze jedną, tę, którą dziś dostałem od autora z dedykacją w jemu tylko znanym alfabecie. — „Księgę Dolin”.

— Od 1983 roku czeka na wydanie w „Czytelniku” pierwsza w Polsce powieść w stylu „fantasy” — „Młodość Twarzy”. W planie mam napisanie kolejnej, która traktować będzie o piątce wyprawie Krzysztofa Kolumba.

— Dla odmiany historyczny esej?

— Nie zdradzę szczegółów. Zbyt daleko odeszliśmy od tarota. Pierwszą kabalę zapamiętałem obserwując babcię. Ale jest kilka systemów kabali, na różne odpowiadają pytaniom, najprostszym rodzaj, to trzy osiemkowe rzędy. Ja udoświadczam, rozbudowałem pewne systemy, wymyśliłem kilka własnych i w sumie mogę wykorzystać około 20 rodzajów wróżb — na „zwykłe” karty i tarota.

— Słyszałem, że w Szwecji wróżył pan... Cygankom!

— Fakt. W pubie, w Sztokholmie. Zaczęliśmy dla żartów, ale kończyła nam się gotówka.

zaś piwo było wspaniałe. Po krótkiej wymianie zdań zacząłem wróżyć kilku siedzącym opodal Cygankom. Tak się wciągnęły, że spóźniły się do kina „Świerdzyły na koniec, że jestem lepszy od nich. „Wywróżyłem” ponad 70 koron.

— Wierzy pan w to, co przekazuje ludziom?

— To jest inaczej. Ja im naprawdę mówię to, co mi się kojarzy, co jakby emanuje z układu kart. To nie jest li tylko interpretacja poszczególnych kartoników, dla mnie każda karta ma wiele znaczeń. Pewne układy prowadzą do stwierdzeń, skojarzeń dla mnie samego zaskakujących.

— Inteligentny wróżbiśta po dwóch zdaniach rozmowy, wie czego osoba oczekuje, czego się boi, co ją trapi.

— Ja się zawsze umawiam, że osoba, której stawiam karty nie będzie się odzywać, nie będzie reagować na moje opowieści. Ma być niemym świadkiem. To po pierwsze. Po drugie — tu nie sposób błędować. Kilkakrotnie próbowałem. Ale gdy tylko pójde fałszywym tropem, to dalej już nie w kartach nie widzę, nie z nich nie wynika, mam pustkę.

— Te 20 systemów to oczywiście dobra zabawa?

— Nie. Nikt z proszących o postawienie kabali nie traktuje sprawy w ten sposób. W ogóle czynię to niezbyt często, raczej niechętnie, bo też nie zawsze człowiek ma stosowny nastrój. Ale w tej dziedzinie jest i jeden rodzaj wróżby, dość — powiedzmy — groźny.

— Pewnie „na śmierć i życie”?

— Coś w tym rodzaju. Niezmiernie rzadko godzę się na ten rodzaj kabali, faktycznie w sytuacji zagrożenia życia, na przykład — ciężka choroba. Miałem taki przypadek między innymi w Szwecji, gdzie mnie niemal zmuszono do postawienia kart.

— I cóż?

— Mam nadzieję, że się pomyliłem, liczę na to.

— Mam dla pana trudne zadanie. Czy mógłby pan przewidzieć najbliższą przyszłość „Odgłosów”?

— Muszę mieć jakiś przedmiot należący do nieobecnej osoby, więc...

— Proszę bardzo — legitymacja prasowa, służbowy długopis, a poza wszystkim — ja jestem częścią tejże „osoby”. No i jak?

— Cóż, mogę spróbować. Pod jednym warunkiem. Proszę o spokój. Żadnych okrzyków, komentarzy! Pytania po zakończeniu wróżby.

— Będę milczał.

— Spróbujemy „siódmkę”, czyli zakręt życiowy.

No i zaczęło się. Jan Suliga ułożył z kart dziwny zawiąs. Odwracał je po kolei. Po każdej kolejnej „odsonie” zastanawiał się chwilę, coś do siebie mówił, kiwał głową. Na blacie spoczywały spokojnie: piątka trefliowa, czwórka i szóstka pikowa, jeszcze czarny „joker”, dama pik, a po chwili odkryły się — dziewiątka kier, siódmka kier.

— Miliście kłopoty, były dłuższe okresy stagnacji, samozadowolenia. Jednak pragnienie zmian na lepsze zwyciężyło. Jakies korzystne przemiany nastąpiły. Ale ten rozpad, choć jakby ktoś spoza zespołu hamował, przeszkadzał? Będą zmiany. Znowu zmiany. Następuje ścieranie się wpływów negatywnych, pomoc ze strony, hm... kobiety. Są trudności, które jednak pokonacie, zwiększy się wasz stan posiadania, ale to jeszcze potrwa. I potrzebujecie dużo siły. W sumie tak kształtuje się zakręt życiowy. Ale pomyślnie pokonany — przyniesie zadowolenie, choć nie będzie to miało wymiaru materialnego.

Jeszcze chwilę wpatrywał się w karty. Miałem wrażenie, że opada z niego napięcie.

— No i co? — spytał, przefartł oczy, tyknał zimną kawą i zapalił. — Mówi to coś? Pewnie za mało konkretnie?

— Nie, dlatego... Dzięki w imieniu całej firmy. Proszę powiedzieć na zakończenie: czy jest pan przesądny?

— Nie, nie jestem, choć mam amulet. O, proszę — ten niebieski łańcuszek z paciorkami z laki Lapoński...

— A przed czym strzeże? — Wierzę, że przed ludzką głupotą i zawiścią. Pochodził ponoć z krainy hiperborejów, w starożytnej geografii uważano, że to lud przedziwny, z kranów świata. A ja zawsze chciałem tam dojechać.

— Życzę tego serdecznie!

Dlaczego ubieramy choinkę i palimy na niej świeczki?

Na cześć słońca i życia

MARIAN ZDROJEWSKI



Foto: Grzegorz Galasiński

Przed kilkunastu laty — zbierając materiał do książki „Dom pod Czarną Latarnią” — zapisałem na taśmie magnetofonowej wiele rozmów z ludźmi, starymi i młodymi, pamiętającymi bardzo, bardzo dawne lata. Wtedy właśnie zdumiała mnie pewna wspólna i charakterystyczna cecha, nuta, jaka pojawiła się we wszystkich nieomal wywrotkach. Otóż każdy z moich rozmówców, gdy tylko przedarł się przez omślane patynę lat pokładów i w którymś z zakamarków pamięci począł rozgrzebywać najwcześniejsze przeżycia, natychmiast napotykał rozległe obszary czułych wspomnień świata Bożego Narodzenia.

Jedni wspominali dni poprzedzające Wigilię: długie wieczory i robione przy naftowej lampie choinkowe ozdoby z pstrych bibulek, papierowe gwiazdki, pajacyki z jajecznych skorup; inni wspominali ojca i nocne strojenie bożonarodzeniowego drzewka (przed ciekawskimi oczami dzieci), snopy zboża w kątach izby; matkę krzątającą się przy kuchni, podniecającą wyobraźnię i apetyt zapachy; prezenty spod choinki, wigilijny stół z śniadaniem pod obrusem, z którego zdłbeł, wyciąganych w czasie wieczery, młodzi wrożyli sobie przyszłość. Zielone oznaczało rychły ślub i powodzenie, zwiędłe zaś i szerniałe — przeciwny los. Wspominali niecierpliwie wypatrywanie pierwszej gwiazdy na niebie, jako znaku zasiedlenia do wieczery, karmienie — zwierzakami — opłatka, mające zapewnić zdrowy i liczny przychówek, niecierpliwie nasłuchiwanie o północy ludzkiej mowy zwierząt, choć to nie przynosiło szczęścia...

Najczęściej jednak wspominali chwilę dzielenia się opłatkiem, wieczernię i wspaniałości, jakie się na nią składały. Bo też tak dawniej, jak i dziś, nawet w najbardziej ubogim domu, każda gospodyni prześcigała się w pomysłowości, by na wigilijnym stole znalazło się, jak nakazuje obyczaj, dwanaście potraw (tyle, ile było apostołów). A więc zupy: grzybowa, bywało że młoda, barszcz czerwony z uszkami, bądź sam barszcz z klasyczną staropolskiej kuchni. Potem: karp w szarym sosie lub, w zasobniejszych domach, szupak, a w biedniejszych — śledź przyrządzony na wiele sposobów; grzyby pod różną postacią: nierogi, groch z kapustą, a wszystko to postne, kompot z sliwkowego suszu, pierogi, makowce, „babki”, słynne kutie, makielki, chude ciasta i wiele innych smakowitości. Wieczernia oczywiście bez alkoholu, a jeśli pito to znacznie mniej niż w czasie wielkanocnego „święconego”.

Jednakże najczulsze miejsce w tych wspomnieniach znalazły sobie chwile składanych życzeń przy dzieleniu się opłatkiem — wybaczenia urazów i przewinień, pieczętowane zgodnym pocałunkiem. Chwile wzruszające, które — jak żadne inne — przywołują obraz bliskich, przeżywających poza domem, bądź tych, którzy odeszli na zawsze i o nich każe pamiętać dodatkowa zastawa i wolne miejsce przy stole. Atmosfera rodzinnej „wspólnoty opromienionej życzliwością, pamięcią o nieobecnych. I

samotnych. I nadzieja. Atmosfera baśniowego urzeczenia na widok migotliwych świateł z choinki, pod którą każdy znajduje podarek położony przez kochane ręce. Nawet najskromniejsze mają w sobie wartość wyjątkową, stanowią symbol łączący ludzi miłości i przyjaźni. Te święta, jak żadne inne, mają w sobie wiele niepowtarzalnej poezji, niosą z sobą echa dawno minionych czasów, z których do dziś przetrwała iskra wiecznego żywego piękna i równie żywej tęsknoty do szczęścia i pokoju. Nie bez racji więc używa się je pod wieloma szerokościami geograficznymi za najbardziej rodzinne, za święta zgody i pokoju.

Ileż, jak głębokich przysparzają wzruszeń, skoro są one tak żywe do późnej starości? Jak głęboko zakorzeniły się, skoro wniosły do polskiej kultury i obyczaju tyle klejnotów, budzących do dziś najżywsze wzruszenia? Jak muszą być głębokie, skoro dla nas i dla wielu Polaków żyjących poza krajem są wzruszającym symbolem polskości? Skąd się biorą, gdzie sięgają korzenie zachowanego po dzień dzisiejszy obyczaju bożonarodzeniowego świętowania? Przecież w tym „polskim Bożym Narodzeniu” do dziś też zachowały się ślady... pogańskich obrzędów, obrzędów sprzed wprowadzenia chrześcijaństwa do Polski. Szczególnie w wieczernię wigilijnej dostrzec można ślady obrzędów sięgających tradycji czasów pogańsko-słowiańskich, że wymienię bodaj pamięć o nieobecnych z wolnym miejscem przy stole, zapraszanie na wieczernię ludzi samotnych, bowiem w ten wieczór nikt nie powinien być opuszczony i smutny... A więc...?

Najstarszą wzmiankę o świecie Bożego Narodzenia znajdujemy w rzymskim kalendarzu św. 354 roku. Nieco później obchodzono to święto w Konstantynopolu — dopiero w roku 375... Czy tamten rodzaj świętowania sięgał czasów... starożytnego Rzymu? Przecież zwyczaj ten, wszędzie gdzie jest dziś spotykany na świecie, przyjęły obecna postać dopiero w połowie XIX wieku. Skąd więc biorą swój początek?

Słowiańskie zaślubiny

Jak utrzymują znawcy przedmiotu, powodem przypadającym na dzień 25 grudnia święta Bożego Narodzenia nie jest konkretna data historyczna, lecz to, iż — podług dawnej rachuby czasu — na ten dzień przypadała pora przesilenia zimowego. Był to więc dzień, po którym nocy, powoli, bo powoli, zaczynały się skracać, a dni wydłużać. W wielu religiach ludów rolniczych dzień ten był dniem święta narodzin słońca (Boga Słońca), dla przykładu: Tammuz w Babilonii, Ozyrysa w Egipcie, czy też Mitry w Persji. Przejęcie ludów na osiadły tryb życia, powstanie rolnictwa zwiększyło zależność człowieka od sił przyrody — deszczu, słońca, wylęwu rzek, śniegu, gradobicia, nie zatem dziwnego, że w nowej sytuacji człowieka u źródeł tzw. kultur agrarnych słońce, księżyc, a nawet rzeki były czczone jako bóstwa.

W niektórych krajach północnych i, oczywiście, czasach przedhistorycznych, nie tylko, że czczono słońce jako dobre bóstwo (Dadź-bóg, Biały Bóg), lecz starano się iść jego „tropem”. Słońce od zimy do lata wznosiło się po coraz wyższym kregu, aż do przesilenia letniego, kiedy to dzień trwał najdłużej, potem schodziło na coraz niższe kregi, do przesilenia zimowego i najkrótszego dnia. Układano więc z kamieni labirynty odtwarzające drogę słońca, bądź sypano kopce z wejściem w postaci ślimacznicy, albo też na wzgórzach budowano wejścia w kierunku krącenia słońca, po których odprawiano święte pochody.

W wierzeniach religijnych Słowian — opartych na czczeniu przyrody — kult słońca odgrywał znaczącą rolę. Utrzymywano, że słońce rodzi się w grudniu, z początkiem zimy, i przynosi Ziemi hojne dary; że na wiosnę słońce staje się młodzieńcem, wyzwała Ziemię od władzy bóstwa ciemności i poślubiła ją, zwyciężając w ten sposób bóstwa, panuje wszechwładnie nad światem. W początkach jesieni traci siłę, władzę i znika prawie z horyzontu, kryjąc się we wnętrzościach jakiegoś potwora.

Rzecz charakterystyczna: rozliczni bohaterowie odwiecznych legend mają na imię... „Słońce”. Biblijny Samson — po hebrajsku Szimson — to po prostu „słoneczko”. Samson traci siłę, gdy mu obcinano pukle włosów, odzyskuje siłę, kiedy włosy odrastają — piękna alegoria słabnięcia słońca zimą i powrotu ciepła latem.

Rzymianie obchodzili rozliczne święta, wśród nich najważniejszy cykl świąt zimowych, przede wszystkim Saturnalia, przypadające od 17 do 23 grudnia. Obchodzono je na cześć boga zasiewów — Saturna i jego małżonki Ops, która była uosobieniem płodności ziemi. Były to święta iście radosne, pełne swobody — nierazko nawet wyzudanej — i weselności. Także i równości, gdyż w czasie świąt następowało chwilowe zrównanie klas. Bywało, że panowie usługiwali „przy stołach niewolnikom”.

W tym miejscu warto przypomnieć pewien szczegół z naszych zwyczajów ludowych związanych ze świętami Bożego Narodzenia, zawierający wyraźne ślady rzymskich Saturnaliów. W naszych obyczajach świątecznych także zacierali się chwilowo różnice społeczne na dawnej wsi, akcentowane w podworskich przyśpiewkach świątecznych:

Idą gody, idą, będzie placu dosyć,
Będą gospodynie same wodę nosić,
Będą prać, gotować,
Będą gospodynie kucharek żałować...

Zrównanie różnic wyrażało się szczególnie wyraziście w obyczajach drugiego dnia świąt:

Na święty Szczepan
Każdy stuga pan,
Gospodarz ze stuga
Idą jedną drogą.
Stuga z gospodarzem
Piją piwo razem...

Wracając do rzymskich świąt. W pierwszych wiekach n.e. rozpowszechniło się u Rzymian święto ku czci perskiego Boga Słońca — Mitry. Kult Boga Słońca został nawet, pod koniec III w. uznany przez cesarza Aureliusza za religię państwową. Święto Mitry przypadało

na dzień... 25 grudnia, tj. na dzień przesilenia zimowego.

Palenie kloca

Obrzędem związanym z kultem słońca był, znany prawie u wszystkich ludów Europy, zwyczaj palenia kloca oraz inny — spotykany przede wszystkim u Niemców — spuszczenie ognistych kół ze stoków wzgórz. Z tym kultem łączył się także rozpowszechniony w całej Europie magiczny zabieg podsywania ognia (za pomocą gałęzi świerkowych lub wierchołka jedlicy), podczas którego wypowiadano życzenia: ile iskier, tyle szczęścia i powodzenia, tyle wołów, kóz, świń, tyle ulów...

Pomimo surowych zakazów Kościoła chrześcijaństwa — zwłaszcza na zachodzie imperium rzymskiego — wraz z „poganami” obchodzili początkowo grudniowe święto „narodzenia Mitry”. W miarę rozpowszechniania się i umacniania chrześcijaństwa przejmowano z czasem niektóre elementy kultu Mitry, w tym m. in. i grudniowe święto. Stare legendy zastępowano nowymi, zamiast mitraistycznego „narodzenia Mitry”, pojawiło się, oparte na legendach ewangelicznych, „Boże Narodzenie”. Przy czym data świętowania pozostała nadal 25 grudnia. Zastąpiło ono nie tylko święto słońca, ale i rzymskie Saturnalia oraz następujące po nich święta — tak zwane Kalendarie styczniowe, które Rzymianie obchodzili od 1 do 6 stycznia. Ślady Kalendarie styczniowych dostrzec można w naszym kołędowaniu — w składaniu sobie życzeń, bądź innych praktykach stosowanych ongiś podczas wigilijnej nocy.

Jakkolwiek był to wielowiekowy proces, dokonujący się w walce starych wierzeń i zwyczajów z nowymi, jednak ślady tamtych obrzędów i świąt, owoch chociażby Saturnaliów, nierazko w szczątkowej formie, dostrzec można i dziś pod wieloma szerokościami geograficznymi. Obfite uczyły w czasie świąt, uroczyste bicie świń, które dochowało się do czasów współczesnych np. u Rumunów, przypomina dawniejsze składanie ofiary bogom, nie mówiąc już o owym zacieraniu się na czas świąt różnic społecznych u wielu narodów i grup etnicznych.

Początkowy zwyczaj kołędowania, będący obrzędem kultu agrarnego, stał się z czasem obrzędem obejmującym wszystko, co stanowi idealne szczęście rolnika. Stąd zachowały się w tym zwyczaju motywy pomyślności w gospodarstwie, życzenia dobrych zbiorów, pomnożenia bydła itp., bowiem życzenia są podstawą kołędowania, tym swoistym rodzajem praktyk magicznych. W zwyczajach kołędowania motywy takie spotkać można zarówno w Polsce, jak i w innych krajach. We wspomnianej Rumunii, np. mały kołędniczy odwiedzając domy, rzucając słomę lub podściółkę, wieszając gospodarzom: tyle jagniąt, tyle prosiąt, cieląt, krów itd.

Albo wspomniany obyczaj wigilijny, przetrzany do dziś: dodatkowego nakrycia i zastawienia miejsca przy stole, przeznaczonego dla nieobecnych, bądź mogącego trafić niespodziewanie do naszego domu. O wigilijnej porze każdego uraczyć trzeba. Ten obyczaj wiążemy także z magiczną liczbą biesiadników przy stole. Tymczasem pozostawienie wolnego miejsca przy stole, albo w ogóle ustawienie osobnego stołu z potrawami i napitkami wigilijnymi, było dawniej symbolicznym „karmieniem dusz”, ową pozostałością kultu zmarłych. Na Białorusi czy Ukrainie np. wzywano duchy na wigilijny stół. U Serbów, na nakrytym wigilijnym stole dla umarłych nie kładziono noży i przedmiotów żelaznych, by nie odstraszać od domu i biesiady dusz zmarłych. Rosjanie rozpalali wielkie ogniska i „grzali ojców”, to znaczy ogrzewali w ten sposób dusze zmarłych. Były i są to wyraźne ślady dawnych rzymskich świąt, obchodzonych pod koniec grudnia, tuż po Saturnaliach, świąt

ku czci dusz zmarłych, lecz bardzo... rodzinnych.

Drzewo życia

W starożytności podstawą kołędowania było rozdzielanie zielonych różdżek lub muskanie nimi wraz z powinszowaniem. U Słowian istniał zwyczaj przynoszenia gałęzi przez tzw. podlaźnika, niosącego gałąź lub ucięty wierzchołek jedlicy, nazywany „podlaźnicą” albo „sadem”. Dziewczęta i chłopcy ubierali „sad”, śpiewając przy tym wesołe koledy. Z czasem zwyczaj ten, szczególnie w miastach, zastąpił no niemieckim obyczajem strojenia całego drzewka — choinki, będącej symbolicznym „drzewem życia”. Symbolem przetrwania panowania zimy i złych mocy, nadzieją na wiosenne odrodzenie. Po zapanowaniu chrześcijaństwa choinka stała się dla naszego ludu także symbolem „drzewa wiadomości złego i dobrego”, a opłatające ją stroje łańcuchy, zawieszane na drzewku jabłka — symbolem „węży kusiciela”. Zapalane na choinkach światełka to w prostej linii świeczki zapalane w czasie Saturnaliów, które miały „pomóc” słońcu i znajdującym się w ziemi zasiewom. Rzymianie posyłali je także bliskim wraz z życzeniami pomyślności i różnymi podarkami, wśród nich zielonymi gałązkami, lalkami i słodyczami. („Aby rok we wszystko obfitował”). Na północy Europy przystrajano domy gałęziami choiny, które miały symbolizować zwycięstwo natury nad zimą.

Święto łączące ludzi

Tak rodził się dzisiejszy obyczaj świętowania kulturowany pod wieloma szerokościami geograficznymi — w licznych krajach całej północnej i środkowej Europy, w Kanadzie, Stanach Zjednoczonych, a istota wierzeń i zwyczajów okazały się wyjątkowo trwałe, chociaż przybrały bardzo różne formy. Anglicy na czas trwania świąt — a najbardziej uroczystym dniem jest pierwsze święto — wieszają u sufitu pęk jemioli, a na drzwiach wejściowych, wieniec z gałęzi ostrokrzewu. Do tradycyjnych potraw należą tu m. in. pieczone indyki i specjalny rodzaj bardzo ciężkiego, tłustego ciasta z mniszkiem bakali, tzw. Christmas pudding. We Francji uroczystą kolację w dniu wigilijnym spożywa się późną nocą, nierazko w restauracji z obowiązkowym indykiem i ciastem z czekolady i kremu, w kształcie świętego pnia. W Danii, jak w całej Skandynawii, gwiazdkę obchodzi się bardzo rodzinnie i „o domowemu”. Podczas wigilij światło elektryczne zostaje całkowicie wygaszone — wszędzie muszą się palić świece, również przy każdym nakryciu. Na ten czas hoduje się duże ilości kwiatów o pięknych, czerwonych liściach (ponsethia), które zdobiją witryny, mieszkania. Po Wigilii znikają — do następnej gwiazdki.

Jedno dla tych świąt jest wspólne: zwyczaj przystrajania ulic, placów, sklepów i domów oraz składania sobie życzeń i upominków. To, co wspólne — łączy ludzi. Choć w tym jednym dniu, który zostaje w najczulszej pamięci do późnych lat.

PS. Do niniejszej publikacji wykorzystano m. in. „Obrzędy świąteczne” Władysława Kozłowskiego, Wyd. „Iskry” 1938 r.



Życzenia świąteczne i nowo roczne dla wszystkich czytelników „Odgłosów” składa

mgr turystyki
WOJCIECH MARZYŃSKI
wraz ze współpracownikami

Zima z Wojciechem

- 10-dniowe szkółki narciarskie w Zwardoniu, Świeradowie Zdroju i Bukowinie Tatrzańskiej. Różne terminy a wyłączeniem ferii szkolnych. Cena ok. 18.000,—
- Trzydniowe weekendy narciarskie w Beskidzie Śląskim, dojazd autokarem. Cena ok. 6.500,— a częściowym wyżywieniem, ok. 4.600,— bez wyżywienia.
- Zimowe wczasy z narciarni, leczenie sanatoryjne marcowym słońcem. Termin i ilość dni pobytu wg życzenia klienta, dla rodzin z dziećmi i osób

niepełnosprawnych oferta specjalna. Ceny ok. 1.600—1.800 zł za dobę.

14 miejscowości do wyboru.

Rolnie już pod choinkę oferuje wczasy rodzinne i zorganizowany wypoczynek dla dzieci i młodzieży na LATO '83, a dla nowożeńców przez cały rok kilkukilku nastożniowe podróże poślubne.

„WZCZASY PŁATNE NA RATY W CZASAMI TANYSZYMI”.

Informacje i zapisy:
Biuro Podróż Wojciecha Marzyńskiego
Łódź,
ul. Narutowicza 24

tel. 32-02-71 od poniedziałku do piątku od 10.00 do 17.00, w soboty pracujące od 10.00 do 14.00.

2928-k

Z ogromną gromadą niewolników dla Pałuki trudno się było szybko poruszać ku rzece Notecz, dlatego armia Piastuna wlokła się nogą za nogą. Tym bardziej szło wolno, że z końcem miesiąca kwiecień rozpoczęły się ogromne upały, które spowodowały szybkie rośnięcie traw, ale utrudniały marsz.

W tym to czasie przybył do Piastuna goniec od Herima z radością dla niego wieścią o tym, że Gedania urodziła mu syna, lecz zmarła przy poroku.

— Mam więc następcę. Olbrzym! — zakrzyknął Dago.

I ani ży nie uroził po Gedani, gdyż nie pożałował jej jako kobiety. Posłaniec opowiedział mu szczegółowo, jak to Herim kazał urościć spalić zwłoki Gedani a nad szczątkami stosu niewolnicy ludzkie usypali wysoki kurhan książęcy. Dziecko chowało się zdążyło, było silne i duże, Herim osobiście wybrał dla niego mamkę o piersiach tak pełnych mleka jak u krowy. Na koniec zdradził Dagonowi postanienie, że mało kto opłakiwał śmierć Gedani, ponieważ była okrutna i surowa, szczególnie dla złodziei i gwałcieli, a takich dużo było wśród Polan.

Przyspieszono marsz, Dago bowiem pragnął ujrzyć swego syna olbrzymia, podnieść go do góry, uznać za syna i nadać mu imię.

— Jak go mam nazwać? Jakiego mam mu dać imię? — zapytał Dago swych żołnierzy na jednym z postojów.

Milczeli, gdyż żadne imię nie wydawało im się dostatecznie godne dla Piastunowego syna. Wtedy powiedział Dago:

— Nadam mu imię: Lestk. Bo czyż nie jest czymś najszlachetniejszym i najwspanialszym stać się Lestkiem, obrońcą naszej wolności? Czyż nie na Lestkach wspiera się nasze państwo i nasza armia?

A że mówił do ponad pięciu setek Lestków, usłyszał w odpowiedzi radosny wrzask i uderzenia mieczami o tarcze. Uznali wojownicy, że Dago Pan i Piastun chciał ich przez to wyróżnić i uszlachetnić. Słowo „szlachetny” było już zresztą coraz częściej w użyciu dla nazwy ludzi, którzy mieli prawo nazywać się Lestkami i nosić biały płaszcz. Niekiedy lud po prostu mówił o nich „szlachetni” albo „szlachetnie”, co na jedno wychodziło.

I znowu nadeszło bardzo skwarne południe, armia Piastuna i niewolnicy zatrzymali się na postój, choć tylko pięć albo sześć stajni miało do chłodnej rzeki Notecz. Konie jednak i ludzie piesi byli zbyt zmęczeni, tylko Dagonowi biały ogier wciąż nie okazywał trudów wędrówki. Dlatego Dago ruszył samotnie w kierunku rzeki, aby zrzucić z siebie odzienię i wykąpać się w chłodnej topieli. Nakazał po krótkim wypoczynku pomaszerować w ślad za sobą, gdyż nad brzegiem rzeki on na nich czekać będzie.

Wody rzeki już opadły po wiosennej powodzi, podmywając niewysoką skarpe porośniętą gęstym lasem. W rzece leżały korony ogromnych drzew, które korzeniami wczepiły się w skarpe. Ale między owymi upadłymi do wody drzewami widziało się wymyty przez rzekę żwir i piasek pełne kamieni. W takim to miejscu postanowił wykąpać się Dago, zjechał Vindosem ze skarpy, rozebrał się i cały swój przyodziewek, a także uzbrojenie i nawet Świętą Andale powiesił na łuku siodła. Lękał się bowiem Dago, że gdy będzie zażywał kąpeli, ktoś może ukraść mu uzbrojenie i odzież, natomiast Vindos miał tę właściwość, że nikt obcy nie mógł się do niego zbliżyć bez narażenia na stratanie.

Woda okazała się bardzo zimna, mimo że ostro świeciło wiosenne słońce. Zmęczony pływaniem, usiadł w końcu Dago w koronie wielkiego drzewa na wpół zanurzonego w rzece i z przyjemnością patrzył jak przez jego uda przelewa się woda, a jednocześnie z góry parzy słońce. I tak się w tej przyjemności zapamiętał, że gdy nagle spojrzał na brzeg, zobaczył, że nie ma na nim Vindosa. Ogier zniknął w lesie, co mogło oznaczać tylko jedno — ktoś obcy się zbliżył. Wyskoczył więc Dago z wody i nagi wybiegł na pełen żwiru brzeg rzeki. A w tym momencie chyba ze dwudziestu zbrojnych i konnych wyskoczyło z lasu, zjechało po skarpie na brzeg rzeki i otoczyło Dagona, zamykając mu możliwość ucieczki do wody. Dwadzieścia oszczepów skierowało się w jego pierś i plecy. Z lasu zaś wyłaniali się wciąż nowi konni wojownicy, a wśród nich dwóch w białych linianych płaszczach, z pawimi piórami na hełmach, w błyszczących pancerzach i żelaznych nagolennikach, z podłużnymi teutońskimi tarczami.

— Ej, człowieku! — zawołał po skłavinu jeden z owych wspaniałe uzbrojonych rycerzy. — Pokażesz nam bród przez rzekę, bo inaczej zginiesz.

— Nie znam brodu — odrzekł Dago. — Nie jestem tutejszy.

— Skąd więc jesteś?

— Z daleka panie. Tak jak i ty.

I gniew ogarnął Dagona, że przez swoją nierozwagę tak łatwo dał się schwycić nagi na brzegu rzeki i był gniewny, ponieważ tych obcych wojowników naliczył ponad czterdziestu. Jakim prawem wkroczyli do jego kraju? Kim byli? Do jakiego celu zmierzali? I jeszcze bardziej stawał się gniewny, wspomniawszy, że zaledwie o kilka stajni obozowali jego Lestkowie, którzy tych ludzi mogli roznieść na mieczach.

Ze skarpy zjechał drugi wspaniałe odziany wojownik. Spojrzawszy na jego twarz natychmiast domyślił się Dago, że jest to kobieta.

— Ma piękne ciało, Fulko. I jakie duże posiada przyrodzenie — powiedziała w języku Teutonów.

Dago skłonił się dworsko i rzekł po teutońsku:

— Dziękuję ci, pani, za względy. Przyrodzenie jednak skurczyło mi się od zimnej wody.

Wtedy krzyknął ów Fulko:

— Kim jesteś ty, co znasz także mowę Teutonów? Mów jak się zwiesz i co tutaj robisz?

— Ty, panie, też mi nie powiedziałeś swego imienia.

Rozgniewany bezczelnością nagiego i bezbronnego człowieka, jeden z otaczających Piastuna wojowników, smagnął konińskim batem plecy Dagona, aż ten zacisnął zęby z bólu. Smagnięcie zapiekło go jak gdyby mu przyłożono do pleców rozżarzone żelazo.

— Dlaczego, panie, pozwoliłeś mnie uderzyć? — zapytał Dago.

— Jestem nagi i bezbranny. To niesprawiedliwe.

— Uder go jeszcze raz i naucz sprawiedliwości — rozkazał Fulko w języku Sklavinów, co znaczyło, że on i ta kobieta byli Teutonami, ale ich żołnierze należeli do Sklavinów.

I stało się tak, że Dago nagle pochylił się ku ziemi, chwycił kamień, potem dokonał nagłego obrótu ciałem i wojownika, który znowu zamachnął się batem, uderzył kamieniem prosto w usta, wybijając mu zęby i miażdżąc nos. Jednocześnie skoczył Dago pod brzuch jego konia, a następnie rzucił się do rzeki.

Zanim kilku wojowników zdolało zdjąć z ramienia łuki i chmara strzał poleciała w kierunku rzeki, Dago już wypłynął daleko od nich i zasiadł w koronie zwałonego do wody starego drzewa. Gruby konar sterczący w górę osłaniał go od strzał, które wystrzeliwane z daleka nie miały żadnej celności.

— Czy jest wśród was jeszcze taki, co chciałby mnie uderzyć batem? — zakrzyknął Dago. — Nie ma? A przecież tyłu widzę lajdaków. Czy wiesz, co musisz teraz zrobić, Fulko? Albo przyjdź tu po mnie, albo uciąć głowę temu, co mnie uderzył. W przeciwnym razie wkrótce sam cię wybatuję.

Fulko nie odezwał się. Jego wojownicy stali na brzegu i patrzyli z wściekłością na nagiego mężczyznę, który siedział daleko od nich w koronie zwałonego drzewa i uśmiechał się. Ten zaś, który miał rozbita twarz zeskokczył z konia i rany chłodził wodą rzeki.

Odezwała się kobieta w stroju wojownika:

— Posłuchaj nas, człowieku. Ten, co cię uderzył, już ma za swoje. Wybiłeś mu zęby i miażdżyłeś nos. Wskaż nam bród, a otrzymasz nagrodę.

— Jaką?

— Złotego solidu.

Dago stanął na pniu drzewa zakryty jego grubym konarem.

— To za mało, panie. Muszę mieć głowę człowieka, który mnie uderzył. Nazywają mnie bowiem Dawcą Sprawiedliwości i to będzie sprawiedliwe, jeśli jego głowa przyplynie do moich rąk.

— Jesteś głupcem. Oni cię zabiją.

— To ja ich pozabijam, panie. Ten Fulko to jakiś lajdak. Czemu z nim podróżujesz? Czyżby pochodził z jakiegoś teutońskiego zamtuza.

— Uciekłam z klasztoru — zaśmiała się gardłowo.

— To na jedno wychodzi. Teutońskie klasztory to zamtuzy.

— Jestem z Brabancji...

— Nie byłam tam, panie. Myślę jednak, że wszędzie bywają dziwki.

Fulko wyciągnął miecz z pochwy.

— Dość tego! On nas obraża. Złazcie z koni i nleć kilku ludzi dojdzie do niego po zwałonym drzewie. No, jazda — rozkazał. — Za jego śmierć dobrze zapłacę.

Trzech wojowników zeskokczyło z koni, porzuciło tarcze i w swych ciężkich kolczugach i skórzanych butach, z obnażonymi mieczami próbowali przejść ku Dagonowi po śliskim od wody pniu starego drzewa. Jeden natychmiast spadł do rzeki i z trudem wygramolił się na brzeg. Drugi doszedł do połowy pnia, a Dago, chcąc go zwać do siebie, na swych bosych nogach dobrze trzymających się kory, nawet go zachęcił do walki wychodząc mu w pół drogi. Świsnęła strzała, ale Dago uchylił się przed jej grotem. Wojownik zamachnął się mieczem, stracił równowagę i spadł do rzeki, która go porwała. Trzeci zawrócił na brzeg.

Rozwścieczony Fulko rzucił oszczepem w Dagona, ostrze jednak wbiło się w konar. Dago wyjął oszczep i zakrzyknął:

— Na bogów, nigdy nie widziałem większego głupca. Słuchajcie mnie, wojownicy. Ten wasz pan, od teraz zwie się nie Fulko, ale możecie go zwać Niczym.

Z nieba wciąż świeciło ostre słońce. Jeźdźcy byli w zbrojach lub kolczugach, pocili się; ich konie były spragnione. Zeskokczyli więc z koni, zaczęli je poić, udając, że nie ich nie obchodzi nagi mężczyzna w konarach drzewa. Było dla nich już oczywiste, że człowiek, którego wzięli za jakiegoś prostaka, jest chyba wojownikiem, bo, bywałym w świecie, skoro zna nie tylko mowę Sklavinów, ale jak ich pan, także mowę Teutonów.

Fulko opanował w sobie wściekłość.

— Powiedz mi swoje imię. Być może obraziłem cię, pozwalając, aby mój wojownik uderzył cię batem. Jesteś jednak nagi i nie masz na ciele powiedziane, jak cię traktować. Gdzie jest twój miecz, twoja zbroja, twój koń? Przyłecz się do nas i zapomnij urazy. Idziemy na wielką wyprawę i wrócimy z niej bogaci.

Spotkanie z Bogiem Rzeki

ZBIGNIEW NIENACKI

(1)

— A cóż to za wyprawa? — drwliwie zdumiał się Dago. — Czy chcesz mi powiedzieć, że wybrałeś się do Nawi to jest Krainy Zmarłych? Bo to ci powiem, że przyszedłeś tu żywy, ale pozostaniesz trupem.

— Czego żądasz za wskazanie brodu? — zapytał Fulko.

— Utniesz głowę temu, co mnie uderzył. A ta szlachetna pani rozdzieli się do naga, abym i ja mógł zobaczyć jej przyrodzenie, jako ona widziała moje.

Kobieta zachichotała radośnie.

— Chętnie się rozdziewam, człowieku. Zrobię ci tę przyjemność. To powiedziawszy zeskokczyła z konia, rzuciła na piasek hełm,

ściągnęła kolczugę, spodnie, bluzę i naga weszła w rzekę. Miała długie, jasne włosy, piersi małe, ale jędrne, brzuch płaski, uda smukłe. Mogła uchodzić za piękność.

— Podobam ci się?

— Jesteś, panie, prawie tak ładna jak księżna Helgunda.

— Znasz ją?

— Jębałem ją krótko, bo potem rozgniewani wojownicy roznieśli księżną na mieczach.

— Kłamiesz — wrzasnął Fulko. — Ona jest żywa u księcia Karaka.

Dago roześmiał się:

— Potwierdzasz, że jesteś głupcem, panie Niczym. Teraz już wiem, że wędrujesz z Jumna, bo ci kazano pomóc księżnej Helgundzie. A to ci powiadam, że przed jej dziwką co weszła do wody zostanie księżną, niż ty spotkasz Helgundę.

— Kim jesteś? — zapytała kobieta, która zdawała się nie czuć obrażoną słowami Dagona. A on pomyślał, że należy do tych kobiet, które poznał na dworze cesarza Rhomajów. Niektóre z nich, aby się podnieść, kazały się obrzucać najbardziej obelżywymi słowami.

— Nie jesteś zwykłym wojownikiem — stwierdził nagle Fulko.

— Czy nie możemy się porozumieć?

— Przejdździesz do mnie na służbę. Wtedy może będziesz nosił imię: Kłós. Wierz mi, że czterdziestu lajdaków to dobra sprawa dla mnie. Potrzebuję twoich ludzi. I ciebie także, jeśli zabijesz człowieka, który mnie uderzył.

— Nie mogę tego zrobić.

— Czy nie pojmujesz głupcze, że on uderzył władcę? — zawołał Dago.

— To ty mówisz głupstwa. W tym kraju władą jedynie księżna Helgunda, kobieta, a ty jesteś mężczyzną. Arne, co robisz? — Fulko chciał powstrzymać nagą kobietę, która już płynęła w kierunku Dagona, siedzącego okrzakiem na drzewie. Zauważył jednak Dago, że przypasała sobie do biodra pas z nożem.

Dago podał jej rękę i naga Arne siadła obok niego na pniu, odrobnie zalewanym przez nurt rzeki.

— Jesteś naprawdę piękna i masz ładne przyrodzenie — oświadczył Dago, obejmując ją wpół. — Gdyby woda nie była tak zimna, wziąłbym cię w ręce na ich oczach, bo nie znam wstydu.

— Ja też nie znam wstydu — odrzekła i wyrwała nóż z pochwy. Ale Dago przewidział ten gest i chwycił ją za nadgarstek. Po chwili nóż znajdował się w jego ręku.

— Ostro — stwierdził Dago, a potem gdy ona dygotała z lęku, pociągnął ostrzem noża po obrośniętym łonie, gojąc jej trochę włosy.

— Co robisz. To boli.

— A twój nóż. Czy nie bolaloby mnie twoje pchnięcie?

Z brzegu krzyknął Fulko:

— Nie rób jej krzywdy, człowieku. Możesz ją jebać, ale nie rób jej krzywdy.

Dago rzucił nóż w nurt rzeki.

— Muszę cię pożegnać, panie. Nie podoba mi się, że ten, tam na brzegu, ostatni głupiec, zarządza twoim tyłkiem jak własnym.

— To dla niego uciekam z klasztoru.

— Jego tyłek należy do mnie, gdyż jego będę batożyć. Twój zaś należy do ciebie. Daruję ci go. Nie będę cię jednak jebał z czyjegóż przyzwolenia, ale gdy najdzie mnie ochota.

Pogłaskał ją po piersiach, po szyi, po mokrych jasnych włosach.

— Wierzę ci, panie, że jesteś władcą — oświadczyła. — Kobieta czuje, że ma do czynienia z kimś niezwykłym.

— A czy nie przyszło ci do głowy, że po prostu odczuwasz mój majestat? Nawet kiedy jestem nagi oni też powinni go dostrzegać. Czy wiesz jak długo uczyłem się sztuki posiadania majestatu?

— On jest grafem — wskazała na Fulkę — A ty?

Dago na krótko zamyślił się. A potem rzekł:

— Graf Fulko. Zdradca i banita, skazany na śmierć przez Ludwika Teutońskiego. Służył Obodrytom. Najmity. Ze też od razu nie domyśliłem się, z kim mam do czynienia.

Dago stanął na pniu i zawołał gromko:

— Grafie Fulko i wy, najmici z Jumna. Rozgoście się tutaj i czekajcie na mnie. Wezmę was do swojej służby i zapłacę lepiej niż książę Hok. Ale musi paść głowa człowieka, który mnie uderzył. Albowiem kto podnosi rękę na władcę, ten podnosi rękę na bogów.

— Kim jesteś? — zawołał z brzegu graf Fulko.

A wtedy Dago podniósł obydwie ręce bardzo wysoko i obwieścił:

— Jestem Piastunem...

Rzucił się w rzekę i dał ponieść jej prądowi. Jego głowę, oddalającą się od nich wraz z nurtem widzieli aż do najbliższego zakola. Prąd był bystry, mroczny i pełen wirów. A jednak ten człowiek pływał jak wydra lub bóbr, nie lękając się ani głębin, ani wirów.

Arne — naga i mokra — wyszła na brzeg rzeki i podeszła do Fulki:

— Co teraz zrobimy? — zapytała po teutońsku.

Fulko wzruszył ramionami.

— Chyba nie uwierzyłaś temu szaleńcowi. Nie widziałem nigdy władcy nagiego, bez konia i oręża, a także bez wojowników.

— Zabij go. Mówię ci, zabij go, zanim nie będzie za późno — powiedziała Arne, wskazując palcem na wojownika, który przyłożył szmatę do zmiażdżonej twarzy.

Fulko chwycił Arne za ramię i zwrócił się do swych żołnierzy:

— Czy któryś z was chce tę dziwkę?

Udali, że nie słyszeli słów Fulki. Niektórzy nawet odwrócili wzrok od nagiej Arne i udawali, że są zajęci urządzaniem obozowiska. Znosili chrust z lasu i układali go na żwirze nad rzeką. Dawali tym Fulce do zrozumienia, że są głodni i należy im się posiłek. Ich proste umysły odczuwały strach. Nie bali się ludzi uzbrojonych w pancerze i hełmy, w miecze i oszczepy. Ale przed owym nagim osobnikiem, który ani przez chwilę nie okazał lęku, drażnił się z nimi jak z uwiecznionym w klacie dzikim zwierzęciem, odczuwali strach.

— Panie. To nie był zwykły człowiek, ale Człowiek Wodny. — powiedział w końcu jeden z wojowników Fulki. — To był pan tej rzeki. Złóż mu, panie, ofiarę. Złóż ofiarę tej rzeki.

— Jaką ofiarę? — zapytał Fulko.

— Taką, panie — i ów wojownik nagłym uderzeniem miecza uciął głowę człowieka ze zmiażdżoną twarzą.

A potem spokojnie zabrał się do zdejmowania juków ze swojej konia. Podobnie czynili inni. Złożyli ofiarę Bogu Rzeki i byli spokojni o swój los.

Fulko chwycił rekojęcie miecza, chcąc uśmiercić zabójcę. Wstrzymał się jednak, napotkawszy groźne spojrzenia własnych żołnierzy. Nagle pojawił się władza nad tymi ludźmi wymknęła mu się z rąk jak śliska ryba. Odszedł kilka kroków i usiadł na ziemi, zastanawiając się, czy z takimi ludźmi nie jest czymś ryzykownym przedzierać się przez obcy kraj, aby dotrzeć do państwa Visulan i stanąć przed księżną Helgundą.



CDN

Fragmenty drugiej części II tomu „Dagome ludex”.

Rys. Janusz Hajmowski-Głoga

— Tu jest Azja — stwierdził lapidarnie. — Jeżeli chcemy zakończyć z twarzą tę cholerną wojnę, musimy porażać sobą. Porażać, rozumiesz? A poza tym — dodał — okrucieństwa na wojnie to sprawa nie moralności, a punktu widzenia. Zapamiętaj to sobie!

Wiem, co załatwiać za pomocą telefonu, co osobiście, a nie mogę skupić się na sprawie najważniejszej. Choćby z samej ciekawości.

Podczas pisania książki mój tok myślowy ulegał rozbięciu na kilka niezależnie rozwijających się mniejszych, że tak powiem, myśli, odbiega od wątku głównego, kluczy — bez udziału mojej woli — po nie zamierzonych traktach, aby w końcu sam zawiązać się w swolistą całość, bogatą o hiperbole, parabole, alegorie wydumane po drodze. Odezwało się to we mnie właściwie niedawno.

Jest to predyspozycja cechująca podobno pisarzy utalentowanych, różniącą ich od grafomanów przeciskających się ze swoją myślą wazutkiem torom, niezdołnych do wzniesienia się na wyżyny i dostrzeżenia krain widzialnych tylko z wysokości. Nie uważam się za literata. Smykalę do pióra wypróbowałem dotąd w gazetkach uczelnianych, z raczej niezbyt szczęśliwym skutkiem, tym razem jednak ten nowo narodzony dar latania nad szczytami nie poprowadził mnie do celu. Zrobiłem okrężną rundę po sprawach w tej chwili nie najważniejszych, pobłądziłem po obrzeżach wielkiego świata i wróciłem do punktu wyjściowego: w łańcuchu naszych azylantów w Szwecji znajduje się słabe ogniwo. Gdzie ono jest?

Mam w pamięci mnóstwo fotografii. Wyciągnę kilka z nich. Na pierwszy ogień tę:

Przedstawia postać-stereotyp. Widziałem tysiące takich. Gdybym nie miał z nią osobiste do czynienia, nie zwróciłabym na siebie uwagi. Bo z jakiego powodu? Ze uśmiechnięta od ucha do ucha? Gdy się ma dwadzieścia trzy lata, nie urodziło się z garbem, ma się ojca dużego biznesmena, musi się czuć jak młody bóg, zważywszy zaś, że się ma śliczną rozkochaną w sobie dziewczynę, gęba takiego szczęśliwca nie może nie być radosna. Postać ta stanowczo nie przedstawia nikogo szczególnego.

Takiego Jima Starke poznałem po jego przylocie do Wietnamu. Mam jeszcze kilka jego fotek. Na przykład tę.

To też on. Odmienniony przez dżunglę, ale wciąż on, prozę wierzę mi na słowo. Większość naszych ludzi wychowała się na filmach o przygodach zagubionego w dżungli białego chłopca wychowywanego przez małpy. Wszyscy potem bawia się w silnego, zwinnego jak małpa Tarzana, uwielbiają szympansy i marzą o wyratowaniu z opalów pięknej Jane.

Jim Starke odmieniał różnicą między dżunglami. Między tą z celulozoidu, wyprodukowaną w Hollywood, a prawdziwą, w Azji. Duży udział w tej przemianie odegrała konfrontacja teorii z praktyką. Zderzenie takie, jeżeli wychodzi się zeń cało, zmusza do myślenia, a od tego tylko krok do podejmowania decyzji, nie zawsze optymalnych. Koszt tego bywa różny.

Jim ma przynajmniej tę pociechę, że gdziekolwiek by nie był, może liczyć na miliony swego tatę. Na tym oto zdjęciu kamera uchwyciła go walczącego się po Malmkillnadsgaten — lupanarze Sztokholmu. Pieniądza pieniędźmi, a na zupełnie beztróskiego Jim tutaj nie wygląda.

To przez zakochaną w nim przed odlotem do Azji dziewczynę, która — dziwne, jak na dziewczynę — na wiadomość o jego dżerczy z szeregów, wyszła za mąż za innego. Patriotka.

Dramat często przeradza się w banal. Trudno. Weźmy zdjęcie Dustina Longstone'a.

Dustin ma w nazwisku „long” — długi. Liczy sześć stóp cztery cale wzrostu. Nazywają go „Wieżą”. Konstrukcje takie są wrażliwe na podmuchy wiatru, stają się bezbronne, kiedy nie mają oparcia o rodzinny grunt. Im wyższe są, tym wrażliwsze. To nie powód jednak do patrzenia na nie bykiem.

Dustin jest naszym zmartwieniem: LSD. Stadium zaawansowane. Jeżeli nie weźmie się w garść, może być z nim źle.

Jego wina jest to, że nie postarał się o papierek zwalniający go z poboru, co przy jego konstrukcyjnej kruchości nie byłoby trudne. Głównym jednak powodem nieszczęścia tego wrażliwego na poezję chłopca jest miłość. Nie do dziewczyny, jak w przypadku Jima — miłości w smarkatych latach miewają krótkie nogi — do Ameryki. To ona odwołała się do swoich synów o pomoc, a dobrego Dustinka nie mogło zabraknąć w szeregach obrońców ukochanej mamusi. Tandem melodramat ze szlachetną obsadą roli głównej. Bohater błąka z pomocą zagrożonej przez napaśnika ofierze, niepomny braku własnych sił; pierwazy cios na szczękę bywa dla takiego wykańczającym nokautem. Biedny Dustin. Stało się to na oczach wilkołaków już otrząskanych z tą robotą. Gdyby dowódca kompanii miał trochę oleju w łepety, gdyby pamiętał o pełnych gaciach, takie miał podczas swego debiutu w tym teatrze, z Dustinka byłby ludzkie. A tak — kłops. Ciąg dalszy można sobie wyobrazić.

Narkotyki to ostatnia rzecz w świecie, przy której woli... lepiej nie dopowiadać. Rekawy koszuli Dustin nosi spuszczone, zapięte na guziki, ale szklisty wzrok i drżenie palców mówią swoje. Jeszcze się wstydił. Kiedy głód narkotyku przyprowadził go będzie o torsi, bariery pekna.

Przedruk w całości lub we fragmentach zastrzeżony.

Matnia

3

LEONARD

Brak perspektywy. A wszystko z tego, że jakiś urlopowicz, skończony lajdak, wygadał się o jego kłapie w spotkaniu z wrogiem i rzecz doszła do rodzinnego miasta Dustina. Dla nas amnestia będzie wybawieniem, jemu drzwi do domu nie otworzy. Tragedia do kwadratu.

Zostawmy go w spokoju, sięgnijmy po coś optymistyczniejszego. O jest: Alexander Jacob Zagora!

Twarz jego jest kombinacją nosa, zacisniętych warg, toporkiem wymodelowanej brody i oczu — tylko ornitolog znalazłby odpowiednie podobieństwo, szukając go także w świecie ptaków już wymarłych. Ta twarz, za którą nie dąłoby się złamanego centa, może jednak mylić.

Strategiczne lotnictwo Stanów Zjednoczonych wyposażone jest w ośmiolinkowe samoloty odrzutowe typu B-52, nosiciele bomb nuklearnych. Są to największe bombowce świata o zasięgu praktycznie globalnym. Użycie tych maszyn zastrzeżone jest dla prezydenta. Tylko on jest władny ogłosić alarm „W” — od warg — wojna. Pamiętajcie: nadane w eter „W” oznaczać będzie początek końca. Każda maszyna ma swój z góry wyznaczony cel. Będzie to prawdopodobnie lot bezpowrotny. Dopóki jednak alarm nie podwerze maszyn w powietrze, ich załogi mają rajskie życie.

Alex stacjonował na wyspie Guam, największej bazie tych bombowców na Pacyfiku. I, byłby, być może, nadal tam przebywał, gdyby pewnego dnia nie przyszedł rozkaz zaatakowania Phenjanu bombami konwencjonalnymi. Chodziło o jednorazową demonstrację siły, po której Wietcong mieli ostatecznie narobić w spódnice.

Los Alexa został przerwany przez rakietę ziemi-powietrze. Potem nastąpiły: ucieczka z niewoli, przedzieranie się w pojedynkę przez dżunglę bez broni i żywności, różne inne, naturalne w takich przypadkach przygody. Alex unikną rozmów na temat przestępstwa go przez kontrwywiad naszej armii, ale coś tam musiano poszukać, jakiś nadgorliwiec spytał, czy przypadkiem czerwoni nie pomogli mu „w ucieczce”, i dostał za to w głowę. Dla takiego Alexa mogło to być wystarczającym powodem do uniesienia się honorem. Niektórzy ludzie z naszych służb specjalnych pozwalają sobie, a nie z każdym można.

To, oprócz Davida, którego zdjęcie przeglądać nie potrzebuję, moim najbliższym towarzysze niedoli, którzy wiedzą o mojej kłacie i znają jej ostrze. Ręce za nich głowa.

Za Jima też. Kiedy jednak po swojej stracie zaczął szukać pociechy w towarzystwie wackara svenka flickora i stał się bywalcem lupanarów na Malmkillnadsgaten, oddaliłem się od niego. Kobiety i kłiszek — nie mam zaufania do tej mieszanki. Jim nie dał mi podstaw do podejrzenia, ale tak będzie lepiej.

Przegląd fotografii skończony, pytanie pozostałe bez odpowiedzi.

Jeszcze jedno zdjęcie. Przedstawia interesującą postać, warto jej poświęcić nieco uwagi.

Ted D. Cullinan, urodzony w Phoenix, Arizona, rocznik 48, wzrost sześć stóp, oczy jasnoniebieskie, bez znaków szczególnych, absolwent Akademii Lotniczej w Colorado Springs, pilot, dowódca dywizjonu śmigłowców, ostatnie służbowe miejsce postoju: lotnisko sajskońskie Tan Son Nhut.

Inne dane: małowoinny, tolerancyjny, kole-

żeński. Współczynnik inteligencji (IQ): A.A.

Hobby: kolekcjoner jadeitów meksykańskich. Wszyscy w armii znają się z imienia, odzywają się do siebie po imieniu, nazwisko pada z okazji wyróżnienia, awansu bądź śmierci. Kapitan Ted D. Cullinan nie był wśród kolegów nazywany imieniem. Na jednego z najdzielniejszych oficerów-pilotów naszych śmigłowców wolano: „Cullinan”. Nie pora teraz ani miejsce tłumaczyć, dlaczego tak wolano.

Kiedy się poznaliśmy, Cullinan już nie latał ze swym dywizjonem palić napalmem czerwonych wiosek, nie obyspywał żrącymi defoliantami pół ryżowych i gajów bananowych, nie brał udziału w ewakuacji okrażonych oddziałów. Dramatyczny występ ekipy US Army na deskach teatru Azji Południowo-Wschodniej dobiegał końca. W gliniastoczerwonej delcie Mekongu tonął prestiż Ameryki. Prestiż światowego supermocarstwa dostawał niesamowicie cieni od nie uzbrojonego przeciwnika. Ostatnie szarża obronne w Xuan Loc i Bien Hoa pady. W Waszyngtonie myślenie jeszcze o zaradzeniu znu nową rozszadą generałów sajskońskich. O zamianie tym razem generała Nguyen Van Thieu na jakiegoś generała Ping Pong Donga czy Dong Ping Pongą myślano, kiedy cały zmurszały kram walił się w posadach. Od pogromu uchroniły nasze dywizje mogli już tylko cud. Ale Pan Bóg trzyma się z dala od takich sytuacji. Cud jest sam w sobie wydarzeniem niezwykłym. Dwa cudy w jednym miejscu to o jeden za wiele — pomyślał zapewne Bóg i rozwiązanie sprawy pozostawił tym, co ją sobie namotali. Potem nastąpiło to, co w ostrzeliwanym mieście zatłoczonym uciekinierami nastąpić musiało a finałowe spuszczenie kurtyny znane jest światu z relacji reporterów prasowych przesyłanych bezpośrednio ze sceny, opowiadanie o tym można sobie darować. Śmierć była zawsze współtowarzyszką życia. Przed erą telewizji spowijał ją jednak całun nabożnej tajemnicy, obecnie jest ona oklepianym składnikiem dnia oglądanym przez ludzi od kolebki i uchodzącym uwagi.

Identyfikacja na widok śmierci zadawanej z rozkazu reagował Cullinan, dopóki pewnego dnia nie zaświecił mu w głowie znak zapamiętania. Jeden jedyny od chwili promocji na oficera zawodowego. Nie mogąc zaś znaleźć na odpowiedź w duchu dyscypliny wojskowej, zdecydował się na rozbrat z mundurem.

Wojna dla jednego jest tragedią, dla innych interesem. Te drugą prawdę odkryto dawno temu i co obrótniejsi ciągną z niej ile się da. Biadolenia o nieludzkości wojny, o cierpieniach bliźnich nie należy brać poważnie do serca. Anglicy, ci mistrzowie podwójnej gry i złotego środka, znaleźli dla tego nazwę: lip service — służba warg; krótko to nazywają, ale prawdziwie. Słowa nie kosztują. Morale, współczucie — na tym towarze nigdy im nie zbywa, miłosierdzie zaś zostawiają Bogu. Oni się tej postawy wcale nie wypierają. Wojnę należy prowadzić o coś przelichalnego na realne wartości, nie dla upuszczenia krwi. A jeżeli tak, jeżeli prowadzący wojnę robi to z przerażenia swych ambicji, to dlaczego nie zarobić na jego głupocie?

Dużo na naszym występie w Wietnamie uszczknął dla siebie Singapur, Hongkong, Manila, Dżakarta, Kuala Lumpur, Bangkok oblały się na naszych chłopakach, ale Singapur, który już za czasów przynależności do Korony Brytyjskiej poznał gusty białej klienteli, zagarnął dla siebie najwięcej. Za dobre sprawowanie się w akcji — urlop. Mając przepustkę w kieszeni wsiadało się gratis do luksusowego jumbo-jeta i po krótkiej drzemce w klimatyzowanej kabinie wsiadało w zaczarowanym świecie pełnym dziewcząt z wysp obu oceanów oblatujących Azję. Wszystko za cenę tygodniowego żołądka szeregowca! Dodać do tego azjatyckie przemysłowości w najstarszym zawodzie świata, wsparcie fajeczką opium — żyć, nie umierać!

Beks jest niebezpieczny dla młodych mężczyzn, firma nie mogła pozostawić go samopas. W krótkim czasie mieliśmy w tym przemysle swoich ludzi. Ponieważ niektórzy okazywali się mało odporni na metody właścicieli singapurskich saloonów, otrzymałem jedno z najpodlejszych zadań w mojej karierze.

Zwiedzając pewnego dnia największy w świecie zbiór miniaturowych rzeźb z kamieni szlachetnych w słynnym House of Jade poczułem na sobie czyjś wzrok. Oglądałem kunsztownie wykonaną figurynkę Buddy, dzieło zapewne życia jakiegoś anonimowego artysty z czasów dynastii Ming. — To nefryt — powiedziałem sam do siebie. — Wspaniała robota.

— Jadeit — poprawiono mnie za pleców z arizońskim akcentem.

Nie odwracałem się. — Ta zielen... — ciągnąłem. — Byłem przekonany, że to nefryt.

— Jadeit. Te kamienie są do siebie podobne budową, twardością, miejscami występowania, barwą. — Ręka posładacza arizońskiego akcentu wychynęła zza moich pleców. — Proszę spojrzeć na barwy eksponatów: białawe, zielonawe, czerwone, do czarnej — wszystko jadeit. A polysk: od na wpół szklistego do perłowego, przeświecające lub przezroczyste. Jadeit, U Chińczyków kamień szczęścia.

Podniosłem oczy na uprzejmego eksperta. Był mego wzrostu, w moim mniej więcej wieku, zbudowany jak rasowy lekkoatleta, oczy jeziora Titicaca, przy pełnym wschodzie słońca, całość uzupełniały kędzierzawe rude włosy. Gdzieś tę twarz już widziałem. — Panu przyniósł szczęście? — mówiłem wciąż do siebie.

— Jestem Cullinan — przedstawił się ekspert. — Ted, ale wolają mnie z nazwiska.

Już nie miałem wątpliwości, z kim mam przyjemność. Twarz tę widziałem w naszym albumie dezertów, aktywne wrogich wojnie w Wietnamie.

— Wiem — powiedziałem. Spojrzenie znawcy jadeitów obleciało mnie badawcze z góry na dół.

— Ja też wiem... Mam przyjemność z facetem z CIA. Zgadza się?

— Całkowicie.

Taka szczerość zobowiązuje. As naszego lotnictwa zaprosił mnie na drinka. Zbliżało się upalne południe. Zaproponowałem mój klimatyzowany pięciogwiazdkowy hotel, Cullinan wolał Chińską Dzielnicę. Rozumiałem go.

Z Mostu Niepodległości skieraliśmy w dół uliczki przyległej do rzeki zapchanej do nie możliwości dzonkami. Tumult panował tam niesamowity. Przekupnie targowali się o ceny z dostawcami ryb, riksaszarze nawoływali przechodniów do usuwania się im z drogi, klaksony taksówek ostrzegały riksaszarzy, chodnik stanowił wąż zaferowanych żółtoskórych ciał ludzkich posuwających się we wszystkich kierunkach naraz. W Rangunie, Bangkoku czy Dżakarcie, nie mówiąc o Dacie w przynie, a jącym głodem Bangladeszu, gdzie podkoszulek czy para butów warte są więcej niż życie człowieka, policja nie gwarantuje białym bezpieczeństwa w tych dzielnicach. Gdyby tak skądś padł strzał lub zadano cios nożem w plecy, sprawca uszedłby nie spostrzeżony, a reszta to już sprawa szurów wielkich jak koty, których na szczęście w przeraźliwie czystym Singapurze nie widać.

— Nie obawia się pan? — spytałem.

Zza koszuli w piorunujące zygaki, z krótkimi rękawami, wyrzuconej na spódnice, pokazano mi czarną kolbę coita kaliber 44. Ciężka artyleria. — Idzie pan ze mną dalej czy żegnamy się?

Ja też miałem coś takiego w kieszeni, tylko bardziej pakownego. Nie pożegnaliśmy się.

Spotkań takich nie zapomina się do końca życia. Równikowy żar nie przeszkodził nam w okolegowaniu tuzina knajpek z lampionami, w posmakowaniu malajskich delcji, przy których słynna francuska kuchnia jest snack-bar, w zakropleniu tego baterii męskich napojów. Z ofert pań proponujących dotrzymanie nam towarzystwa nie skorzystaliśmy, szkoda było na nie czasu.

Finał eskapady po najpiękniejszym, jaki w życiu widziałem, skrawku Azji odbył się w moim hotelu. Przez przesłonięte moskitierami okna wlewała się z pobliskich wzgórz oszalała noc. Była późna noc, ale łóżka pozostały nie tknięte do rana.

Mój gość nie zdradzał obawy o nagranie swoich wypowiedzi na taśmę, o uśpienie go i porwanie, o wyładowanie z mego luksusowego apartamentu w podmiejskim kanale. Wielu interesujących rzeczy o jadeitach, o innych minerałach dowiedziałem się tej nocy. Za dużo jak na pracownika CIA, abym nie dowiedział się w tym zasłony dymnej, skrywającej coś innego niż szlachetne kamienie. Cullinan sprawiał od początku wrażenie człowieka nerwowo wyczerpanego, stojącego przed trudną do wzięcia przeszkodą. Bezczeremonialnie odchyliłem tę zasłonę.

C.D.N.

Rys. Janusz Szymański-Glanc

